

*graham*

**MASTERTON**



*Rook*



**GRAHAM MASTERTON**  
**Rook**

**TYTUŁ ORYGINAŁU: ROOK  
PRZEŁOŻYŁ ZBIGNIEW A.  
KRÓLICKI  
ROZDZIAŁ I**

Jim usłyszał krzyki i gwizdy na korytarzu na moment przed tym, zanim przerażona Muffy

wpadła jak bomba do klasy wołając:

–Oni się pozabijają! Panie Rook! Oni się pozabijają! Upuścił flamaster, zerwał się wywracając krzesło i skoczył do drzwi. Muffy złapała go za rękaw.

–Musi ich pan powstrzymać, panie Rook! Zupełnie oszaleli!

Pobiegł korytarzem i dopadł męskiej toalety. Zebrało się przed nią dwudziestu czy trzydziestu uczniów, wrzeszczących, gwizdzących i łomoczących pięściami w drzwi szafek.

–Zejdźcie mi z drogi! – krzyknął Jim i przepchnął się przez tłum do toalety.

Na drugim końcu pomieszczenia bili się dwaj czarni siedemnastoletni chłopcy.

Jeden z

nich – wysoki i dobrze zbudowany – zepchnął drugiego pod umywalki i tłukł jego głową o

lustra. Krew płynęła im obu z nosów, opryskując ścianę jak farba w aerozolu.

Jim złapał wyższego z nich za kołnierz koszulki i obrócił go twarzą do siebie.

Twarz

chłopaka przypominała maskę: spocona, zalana krwią, z wytrzeszczonymi oczami.

Oszalały z

wściekłości, ledwie zdołał wybełkotać:

–Puść mnie, człowieku, ja muszę... No puszczaj! Zabiję go! Obraził mnie!

–Tee Jay! – wrzasnął Jim. Chłopak usiłował się wyrwać, ale Jim jeszcze mocniej okręcił kołnierz jego koszulki, niemal go dusząc. Potem przycisnął chłopca do wyłożonej

kafelkami ściany i spojrzał na niego najgroźniej jak potrafił. – Tee Jay, co na Boga w ciebie

wstąpiło?

–On mnie obraził... obraził... Zabiję go za to... Zamorduję tego sukinsyna... Nie próbuj

mnie powstrzymać, bo nie zdołasz... nie zdołasz, słyszysz?

Jim, nadal przytrzymując Tee Jaya pod ścianą, obejrzał się na drugiego chłopca, Elvina,

który opierał się o umywalki. Z jego warg i nosa sączyła się krew.

–Elvin, nic ci nie jest?

Tamten zakaszlał i pokręcił głową. Jim zwrócił się do wysokiego jasnowłosego chłopca

stojącego w drzwiach toalety.

–Jason, weź Philipa i zabierzcie Elvina do gabinetu lekarskiego. A pozostali niech wynoszą się stąd do diabła! To nie kabaret!

Ponownie odwrócił się do Tee Jaya. Chłopak wciąż trząsał się od nadmiaru adrenaliny i ani na chwilę nie odrywał oczu od Jima, pociągając nosem i szurając nogami. Jim nie poznawał go. Tee Jay był zazwyczaj taki spokojny i zrównoważony. Najwyższy w klasie i raczej przystojny, jeśli pominąć ślady po trądziku na policzkach, doskonały koszykarz. Nie był zbyt bystry, ale żaden z uczniów w klasie Jima Rooka nie był zbyt bystry. Jednak Tee Jay zawsze bardzo się starał i nigdy nie był przesadnie drażliwy. Przynajmniej do tej pory.

–Ochłoniesz wreszcie czy nie? – warknął Jim.

Tee Jay znów próbował się wyrwać i kołnierz koszulki pękł.

–Nie, do cholery! Ten skur...

–Tee Jay, rany boskie! Wysłuchaj mnie, dobrze? Mógłbym kazać cię aresztować! Chłopak jeszcze raz spróbował się wyrwać, ale potem odwrócił głowę i wbił wzrok w drzwi toalety.

–Tee Jay? No, Tee Jay! – odezwał się Jim uspokajająco i chłopiec spojrzał na niego oczami szklistymi od łez.

–Przepraszam – wykrztusił. – Chodziło o to, co powiedział mi Elvin. Nie mogłem...

–A co Elvin ci powiedział? – dopytywał się Jim. – Co mógł takiego powiedzieć, żeby sprowokować cię do takiego zachowania?

–Nic. Nic nie powiedział.

–Więc zacząłeś go bić bez żadnej przyczyny? Tee Jay otarł grzbietem dłoni zakrwawiony nos.

–Powiedziałem przepraszam. W porządku?

–Wcale nie w porządku. Mam z wami dość roboty, nawet jeśli nie zachowujecie się jak wściekłe psy. Zamierzam dokopać ci i zaprowadzić cię do doktora Ehrilchmana... on zdecyduje, czy będziesz mógł tu zostać, czy odejdziesz.

–Człowieku, pobiliśmy się tylko. To wszystko.

–Bijąc się nie rozwiążesz żadnych problemów, Tee Jay. Myślałem, że masz wystarczająco dużo rozumu, żeby o tym wiedzieć.

–Gdybym miał trochę więcej rozumu, nie byłbym w klasie specjalnej, no nie? Jim puścił kołnierz koszulki Tee Jaya i cofnął się o krok.

–Dobra – powiedział. – Możesz iść. Skoro uważasz naukę w klasie specjalnej za poniżającą, to opróżnij swoją szafkę i idź do domu. Nie chcę w mojej klasie nikogo, kto sądzi,

że spory można rozstrzygać bijąc ludzi. I nie chcę, w mojej klasie nikogo, kto nie jest dumny

z tego, że do niej chodzi.

Czekał przez chwilę, ale Tee Jay nadal stał przy ścianie pociągając nosem. W końcu z

wściekłością rąbnął pięścią o drzwi ubikacji.

–Jezu, Tee Jay! Pomyśl, co ryzykujesz! Nawet jeśli Elvin obraził cię, co z tego?

Nie

mów mi, że jesteś taki delikatny! Może chcesz siedzieć razem z dziewczynami?

–Nie wolno ci tak do mnie mówić, człowieku! – burknął Tee Jay.

–Ach tak? Więc o co chodzi? W tym semestrze zrobiłeś większe postępy niż

ktokolwiek

inny w mojej klasie. Kiedy tu przyszedłeś, nie wiedziałeś, kim był Szekspir. Ledwie

potrafiłeś

czytać. Nie umiałeś dodawać. Myślałeś, że prezydent Waszyngton miał na imię

Denzel.

Pomyśl, jak daleko zaszedłeś. A teraz jesteś gotów odrzucić wszystko, czego

dokonałeś... z

jakiego powodu? Z powodu próżności? I ty sądzisz, że zasługujesz na szacunek?

Tee Jay natychmiast znów wybuchnął gniewem.

–No właśnie! Zawsze pan tak robi! Poniża pan ludzi i robi z nich głupców! Udaje

pan

przyjaciela, ale przez cały czas śmieje się z nas w kułak za naszymi plecami.

–Wcale się nie śmieję, Tee Jay. Doprowadź się do porządku i wróć do klasy.

Chłopak podszedł do niego powłócząc nogami.

–Mógłbym cię załatwić, człowieku.

–Dopiero teraz przyszło ci to do głowy? – zapytał Jim, wytrzymując jego

spojrzenie.

Nie potrafił zliczyć, ile razy taki zbuntowany nastolatek stawał przed nim,

ostrzegając go w

ten sam sposób. W ciągu siedmiu lat nauczania przystosowawczego został raz

dźgnięty

śrubokrętem w bark i stracił dwa zęby. Ponieważ jednak przez ten czas miał do

czynienia z

prawie trzema tysiącami trudnych, zapóźnionych w rozwoju lub dyslektycznych

dzieciaków,

uważał, że i tak miał szczęście. Jego poprzednikowi przestrelono płuco.

Nastąpiła chwila napiętego oczekiwania. Tee Jay nigdy jeszcze nie stawiał się w

ten

sposób, więc trudno było przewidzieć dalszy rozwój wydarzeń.

Ale Tee Jay w końcu powiedział tylko „O kurwa” i potrzasnął głową, jakby

przeszło go to

wszystko obchodzić, wbił ręce w kieszenie i niedbałym krokiem wyszedł z toalety.

**Jim**

**odprowadził go spojrzeniem, a potem popatrzył na zbryzgane krwią lustro. Za czerwonymi smugami dojrzał swoją sylwetkę. Szczupły, ciemnowłosy, trzydziestoczteroletni mężczyzna o oczach barwy matowych zielonych górskich kryształów, z popołudniowym zarostem – chociaż była dopiero 9.20 rano. Wyraziste rysy nadawały jego twarzy nieco nawiedzony wygląd, jakby źle sypiał i wiecznie nie dojadał. Ubrany był w dżinsową koszulę z krótkim rękawem oraz czerwono-zielony krawat w palmy i tancerki hula. Miał wąskie ramiona, a zegarek, który nosił na przegubie, wydawał się dla niego za duży. Czasami, szczególnie po takich awanturach jak ta dzisiejsza, zastanawiał się, co on u diabła robi, usiłując zreformować niereformowalnych. Można było całe miesiące pracować nad takim uczniem jak Tee Jay – miesiące powolnych postępów, trudu, dukania i ściskanych kurczowo ołówków – a potem nagle, z najidiotyczniejszego powodu, wszystko diabli brali i znów miało się do czynienia z aroganckim, ordynarnym, głupim ulicznikiem. Właśnie miał wyjść z toalety, kiedy wydało mu się, że dostrzegł bardzo wysokiego mężczyznę przechodzącego korytarzem. Widział go zaledwie przez moment, bo nieznajomy szedł bardzo szybko i cicho, mimo że podłoga korytarza była pokryta gładkimi plastikowymi płytkami, po których raczej nie można było się cicho poruszać. Wyszedł szybko z toalety i spojrzał w ślad za mężczyzną. Na tle słonecznych okien na końcu korytarza dostrzegł czarną sylwetkę – jeszcze wyższą, niż wydawała się na pierwszy rzut oka – w ciemnym workowatym garniturze i czarnym kapeluszu z szerokim rondem i niskim denkiem, przypominającym staroświeckie kapelusze noszone przez Elmera Gantry.**

**–Hej, mogę panu w czymś pomóc? – zawołał, ale nieznajomy nie odpowiedział.**

**–Przepraszam pana, czy mogę w czymś pomóc? – powtórzył. Tamten jednak skręcił za róg korytarza i zniknął.**

**Jim pobiegł za nim. Kiedy mijał zakręt, wpadł na Susan Randall, nauczycielkę geografii,**

taszczącą stos bezładnie ułożonych książek, które posypały się na podłogę szeleszczącą kartkami kaskadą.

–Co ty wyprawiasz? Pędzisz jak koń w składzie porcelany! – zawołała Susan z oburzeniem.

–Naprawdę mi przykro – powiedział Jim. Zderzenie było tym bardziej krępujące, że Susan Randall bardzo mu się podobała, chociaż wciąż traktowała go bardzo podejrzliwie.

Była brunetką o krótko przyciętych włosach, wydatnych ustach i figurze, która zapewniłaby

jej rolę statystki w serialu „Słoneczny patrol”, a dzisiaj jeszcze włożyła jego ulubiony sweter

w żółte paski. Nawet uczniowie gwizdali z podziwem na jej widok.

Uklęknął i pomógł Susan pozbierać książki, boleśnie świadom tego, jak wysoko uniosła się

jej spódniczka, kiedy przykucnęła obok niego. Zerknął przez ramię koleżanki, ale korytarz był

już pusty. Ani śladu mężczyzny w kapeluszu Elmera Gantry.

–Czy... hmm... widziałas tu kogoś, zanim wpadliśmy na siebie? – zapytał.

–Czy widziałam tu kogoś...? Kogo?

Boże, te perfumy. Kiedyś zadał sobie trud i sprawdził ich markę: „Je Reviens”.

Dość

drogie jak na kobietę utrzymującą się z pensji nauczycielki.

–Był tu jakiś wysoki gość w czarnym garniturze i kapeluszu. Nie mogłaś go nie zauważyć.

–Nie widziałam tu żadnego wysokiego gościa w czarnym garniturze i kapeluszu.

W

ogóle nie widziałam tu nikogo.

–Musiałaś...

–No cóż, przykro mi, Jim, ale nie. A teraz wybacz mi, ale muszę wracać do mojej klasy.

Jestem dziesięć minut spóźniona.

Złapał ją za ramię.

–Rzeczywiście nikogo nie widziałas? Naprawdę?

–Nie, Jim. Rzeczywiście naprawdę nikogo nie widziałam. A teraz przepraszam.

–No dobrze – mruknął i puścił jej ramię. Stał i patrzył, jak stukając obcasami

odchodzi

do swojej klasy. – Ale chyba chodziło ci o słonia! – zawołał za nią.

Stanęła jak wryta.

–O czym ty mówisz? Żaden słon. Naprawdę nikogo nie widziałam.

–Mówię o sklepie z porcelaną. Nie chodzi o konia, a o słonia.

Susan zaśmiała się i Jim również się roześmiał. Ale kiedy poszła, znów zaczął spoglądać



na pustym korytarzu i zastanawiać się, w jaki sposób tamten facet w kapeluszu Elmera Gantry zdołał zniknąć. Nagle zrobiło mu się zimno, chociaż nie miał pojęcia dlaczego. Wyczuł też dziwną woń, która wcale nie przypominała zapachu „Je Reviens”. Jeszcze raz rzucił okiem na korytarz, a potem poszedł powiedzieć woźnemu, żeby pościerał krew. Gdy wrócił do drugiej klasy specjalnej, Tee Jay i Elvin siedzieli już na swoich miejscach, posiniaczeni i ponurzy. Elvin miał rozciętą wargę, a Tee Jay podbite lewe oko.

Reszta uczniów gadała i wierciła się, jak chmara szpaków na dachu. Kiedy Jim wszedł, wszyscy wstali, ale nie przestali rozmawiać. Jim zignorował to, bez słowa poszedł do okna, chwycił klamkę i otworzył je. Potem poszedł do swojego biurka i usiadł, odchylając krzesło w tył i splatając dłonie za głową. Przez dłuższy czas siedział, patrząc na nich i nadal nie mówiąc ani słowa. Rozmowy powoli cichły. Jego milczenie wyraźnie działało im na nerwy. Zazwyczaj wpadał do klasy i od razu zaczynał mówić, tymczasem tego ranka siedział milcząc w tej samej pozycji, jaką przeważnie oni przyjmowali: z krzesłem odchylonym do tyłu i dłońmi splecionymi za głową oraz opuszczonymi powiekami sygnalizującymi brak zainteresowania i niezmacony spokój.

Po dwóch lub trzech minutach zapadła głęboka cisza. Mark Foley zachichotał, a jego sąsiad z ławki, Ricky Herman, prychnął pogardliwie, ale poza nimi wszyscy siedzieli w milczeniu.

W końcu Jim wstał i wyszedł zza biurka. Spojrzał na Tee Jaya i na Elvina. Potem po kolei spojrzał na każdego ze swoich uczniów. Było ich dziewiętnastu: od urzędującego w pierwszej ławce piegowatego Titusa Greenspana III w grubych szklach po siedzącą na końcu Sue-Robin Caufield ze strzechą jasnych włosów, w opiętym wiśniowym podkoszulku.

John Ng z Wietnamu Południowego – grzeczny, nieśmiały i ledwie rozumiejący, co ktoś do niego mówi; Beattie McCordic, zaciekle feministka z krótko przystrzyżonymi włosami,

tatużem i

afazją wzrokową – chroniczną niezdolnością zapamiętywania, jak nazywają się różne

rzeczy. Na przykład nie potrafiła powiedzieć „młotek”. Nie mogła zapamiętać tej nazwy.

Zamiast tego mówiła: „ten kawałek metalu z rączką, używany do wbijania gwoździ”. Był też

David Littwin, żyłasty, wysoki chłopak, prawie przystojny, gdyby nie odstające uszy,

jąkający się tak bardzo, że wypowiedzenie jednego zdania zdawało się trwać wieki. Rita

Munoz, ciemnooka i ciemnowłosa dziewczyna o wargach szkarłatnych jak kwitnący

tropikalny kwiat, która kwestionowała wszystko, cokolwiek mówili nauczyciele, chcąc po

prostu ukryć fakt, że niczego nie rozumie. Wszyscy uczniowie Jima byli dzieciakami, które

nie nadawały się nigdzie indziej. Byli zbyt agresywni, zbyt głupi, zbyt niedojrzali – lub po

prostu mieli trudności z przyswajaniem sobie wiedzy. Jim wiedział, że wielu z nich ma

bardzo wysoki iloraz inteligencji. Jednak wysoki IQ nic nie daje, jeśli nie potrafisz lub nie

chcesz go wykorzystać, albo jeżeli używasz go w sposób bezsensowny czy aspołeczny.

Jim podszedł prosto do biurka Tee Jaya i oparł się o nie dłońmi.

–Dzisiaj chcę porozmawiać o szacunku – zaczął. – Czy ktoś z was ma jakieś zdanie na

ten temat?

Beattie McCordic natychmiast podniosła rękę.

–Doskonale, Beattie. Powiedz nam o szacunku.

–Szacunek jest wtedy, kiedy ludzie dają innym spokój. Na przykład jeśli kobieta siedzi w

jednym z tych miejsc, gdzie podają mieszane napoje, i jakiś mężczyzna podchodzi do niej i

zaczyna ją namawiać, żeby poszła z nim do łóżka, i ona mówi nie, a on przestaje ją

namawiać. To jest szacunek.

–Owszem, to dość sensowna definicja szacunku. Jeszcze ktoś chce coś powiedzieć?

John Ng podniósł rękę.

–Szacunek to odmawianie modlitw za przodków.

–Tak, oczywiście. Uznanie długu wobec ojców i praojców.

–Oraz matek i pramatek – wtrąciła Beattie.

–Tak, Beattie. Ale może przyjmiemy zasadę, że za każdym razem, gdy mówimy o ludziach, mamy na myśli również kobiety, nie tylko mężczyzn.

Ricky Herman oświadczył:

–Szacunek jest wtedy, kiedy nie jesz samym nożem.

–I gdy nie mówisz „kurwa” przy mamie – dodał Mark Foley.

–I nie bekasz publicznie ani nie drapiesz się po dupie – dorzucił Ricky.

–I nie pierdzisz przy stole. Mój ojciec ma hopla na tym punkcie. „Czyżbyś

pierdnął?” –

pyta mnie, a ja odpowiadam: „Mam nadzieję, bo jeśli to zapach obiadu, to nie będę go jadł”.

Jim popatrzył na Tee Jaya i zapytał:

–A cóż toba, Tee Jay? Powiedz nam coś o szacunku.

Chłopak spuścił głowę i przestępował z nogi na nogę.

–No, Tee Jay. Myślałem, że jesteś klasowym ekspertem w tej dziedzinie.

Czekał, uśmiechając się lekko, ale kiedy nie doczekał się odpowiedzi, wrócił za biurko.

Beattie miała pewnie trochę racji. Szacunek polega również na tym, żeby pozostawiać innych

w spokoju – i właśnie tego chciał Tee Jay.

–W osiemnastym wieku żył we Francji pisarz nazwiskiem Wolter, który napisał: „Żywym winniśmy szacunek, ale martwym wyłącznie prawdę” – powiedział Jim. –

No cóż,

nie zgadzam się z tym. Umarli zrobili już wszystko, co mieli do zrobienia. Możemy szanować

ich osiągnięcia, ale jaki sens ma krytykowanie ich niepowodzeń, skoro już nigdy nie będą

mieli okazji za nie przeprosić ani ich naprawić. Natomiast żywi mają jeszcze okazję wszystko

naprawić i dlatego winniśmy im raczej prawdę. Jeśli któryś z waszych przyjaciół zrobi coś

złego, jeśli zacznie przeklinać swoich rodziców, bić młodsze dzieci, zabierać im pieniądze lub

palić crack, a wy powiecie mu: „Jesteś idiotą. Bezmózgowcem. Marnujesz życie” – będzie

to prawda. I ten wasz przyjaciel nie będzie zasługiwał na szacunek, dopóki się nie zmieni, bo

na szacunek trzeba sobie zasłużyć.

Tee Jay odwrócił głowę i groźnie spojrział na Elvina.

–Spokojnie – powiedział ostrzegawczo Jim i chłopiec usiadł prosto. – Chcę, żebyś otworzył książkę na stronie trzydziestej siódmej i przeczytał drugi akapit.

Tee Jay otworzył „Pierwszą czytanekę” i przez chwilę siedział w milczeniu.

–No? – ponaglił go Jim.

–Właśnie przeczytałem. Aż do końca – odparł chłopak.

–Chciałem, żebyś przeczytał ten akapit na głos, Tee Jay.

Tee Jay zacinając się przeczytał fragment tekstu, wodząc palcem od słowa do słowa. Lewe

oko miał już całkiem zapuchnięte, więc musiał przechylać głowę na bok.

–„Ten czas... wymaga... aby Ameryka nauczyła się... lepiej wy... wyko...

–Wykorzystywać. Lepiej wykorzystywać – pomógł mu Jim.

–...lepiej wykorzystywać swoje... największe bogactwo...

Jim wziął od chłopca książkę i dokończył za niego:

–...rzesze swoich godnych szacunku i lojalnych obywateli, których dobre imię winna

chronić, i – w razie potrzeby – oczyszczać z plamiących je zarzutów, aby rozbłysły nowym

i jaśniejszym blaskiem”.

Odłożył książkę.

–Tak Walt Whitman mówił o Thomasie Paine, a jeśli kiedykolwiek jakiś człowiek zasługiwał na szacunek, był nim właśnie Thomas Paine. Ryzykował życie walcząc o równość

i sprawiedliwość oraz o wszystko, co uważał za słuszne... – przerwał na chwilę, a potem

dodał spoglądając prosto na Tee Jaya: – Jeśli będziecie tak postępować, wy również

będziecie zasługiwali na szacunek.

Skończywszy lekcję, Jim zabrał się do sprawdzania pracy domowej z poprzedniego dnia,

w ramach której uczniowie mieli napisać liczącą trzysta słów charakterystykę Ripa van

Winkle. Nigdy nie zadawał wypracowań dłuższych niż trzysta słów, bo niektórzy z nich z

trudem pisali dwadzieścia przez godzinę. „Stara van Winkle wciąż mu mękolila, więc poszedł

do lasu, łyknął sobie coś i obudził się dwadzieścia lat później, kiedy już nie żyła, więc miał

spokój”.

Inni pisali po sześćset słów niezrozumiałych bzdur. „Ludzie mówili że burze to burze ale

nie bo to były raczej te goblinopodobne stwory grające w kręgle i pod Ripem van Winkle

uginały się kolana”.

Beattie McCordic zrobiła oczywiście z jędzowatej żony Ripa van Winkle wzór feministki:

„Był typowym, nic nie wartym facetem, który niczym się nie przejmował i nie zamierzał

wziąć się do żadnej pracy – a tymczasem całe to opowiadanie obwinia jego żonę o to, że mu dokuczwała, usiłując nakłonić go do jakiejś roboty. Nawet jego pies w tym opowiadaniu uważa, że gość ma pieskie życie, ale co taki pies wie, poza tym ten pies był samcem, a co oni wiedzą (mówię o samcach)”. Jednak pomimo tych niedociągnięć w pracach wszystkich uczniów Jim wyczuwał prawdziwą chęć zrozumienia problemu i upartą żądzę wiedzy. Byli jak ludzie zamknięci w ciemnym pokoju, usiłujący po omacku dotrzeć do drzwi. Czasem miał ochotę zapłakać nad tym, co pisali – nie z rozpaczy, lecz ze współczucia. „Rip van Winkle pozwolił ażeby jego dzieci nigdy nie miały butów, a synowi wciąż spadały spodnie” – do tego sprowadzał się sens wypracowania Marka Foleya, jednak Jim wiedział, co w opowiadaniu wywarło na Marku największe wrażenie: niefrasobliwy, leniwy ojciec, który nigdy nie zajmował się dziećmi ani nie dawał na nie pieniędzy, tak że jego syn musiał nosić podarte pludry, „które z trudem przytrzymywał jedną ręką, jak dama tren sukni w niepogodę”. Mark wyniósł z domu podobne doświadczenia, więc historia Ripa van Winkle była dla niego czymś więcej niż tylko literaturą – znał ją z autopsji, a teraz po raz pierwszy próbował wypowiedzieć się poprzez fikcję literacką. Kto wie, pomyślał Jim, zamykając zeszyt Marka i kładąc go do koszyka „Sprawdzone” – może właśnie jemu sążone jest zostać kiedyś nowym Washingtonem Irvingiem? Zabierał się za wypracowanie Rity Munoz (napisane jak zwykle dużymi literami i wielokolorowymi flamastrami), kiedy przypadkiem spojrzął przez okno. Na zewnątrz było oślepiająco jasno, a mimo to widział dobrze całe podwórze, aż do budynku kotłowni. Tuż pod jej ścianą grupka chłopców grała w koszykówkę, a Sue-Robin Caufield opierała się o poręcz ławki, rozmawiając z Jeffem Griglakiem, kapitanem szkolnej drużyny lekkoatletycznej i jednym z najlepszych uczniów, jacy od wielu lat uczęszczali do Westwood Community College. John Ng siedział na drugim końcu ławki, wyjadając coś z kartonowego

**pudełka i**

**czytając „Wyspę skarbów”.**

**Nagle drzwi kotłowni otworzyły się i stanął w nich wysoki mężczyzna w kapeluszu**

**Elmera**

**Gantry. Zatrzymał się na moment i spojrzał w lewo i w prawo, jedną uniesioną**

**dłonią**

**osłaniając oczy przed słońcem, a potem pospiesznie przeciął na ukos szkolne**

**boisko i zniknął**

**za budynkiem, zostawiając drzwi otwarte na oścież.**

**Dziwne, ale wydawało się, że żaden z bawiących się na podwórzu uczniów go nie**

**zauważył. Żaden z grających w piłkę chłopców nie przystanął nawet na chwilę, a**

**Sue-Robin**

**nadal flirtowała z Jeffem Griglakiem. Jej włosy falowały i błyszczały w świetle**

**późnego**

**ranka.**

**Jim zmarszczył brwi, podniósł się zza biurka i podszedł do okna, osłaniając oczy**

**dłońmi.**

**Oprócz uchylonych drzwi kotłowni wszystko wyglądało normalnie. A jednak...**

**Mimo tego pozornego spokoju Jim miał wrażenie, że stało się coś złego. Czuł się,**

**jakby**

**spoglądał na obraz celowo zaprojektowany tak, żeby zbijać z tropu; jak malarstwo**

**Renę**

**Maigrette’a lub rysunki M. C. Eschera przedstawiające nie kończące się schody.**

**Opuścił**

**klasę i szybko przeszedł korytarzem do wahadłowych drzwi prowadzących na**

**zewnątrz.**

**Wokół słyhać było śmiechy, gwar i krzyki, ale Jim nie zwracał na nic uwagi.**

**Przeszedł**

**przez środek boiska, odbiwszy piłkę, która wpadła mu w ręce, i doszedł do drzwi**

**kotłowni.**

**Zajrzał do środka. Dostrzegł poręcz i cementowe stopnie wiodące do kotłów,**

**jednak resztę**

**pomieszczenia skrywał mrok. Zawołał:**

**–Hej, jest tam ktoś?**

**Nasłuchiwał przez chwilę, ale nie doczekał się odpowiedzi. Zawołał ponownie, lecz**

**i tym**

**razem nikt mu nie odpowiedział. Podejrzewał, że mężczyzna w kapeluszu Elmera**

**Gantry**

**wszedł tutaj, żeby coś ukraść – a może chciał wyrządzić jakieś szkody?**

**Kilkakrotnie**

**zdarzało się, że byli uczniowie wracali zemścić się na szkole, którą obwiniali o**

**swoje**

**niepowodzenia. Musieli złożyć na kogoś lub na coś winę za swoją nieumiejętność**

**radzenia**

**sobie w życiu.**

**Jim włączył górne światła i rozejrzał się wokół. W kotłowni unosił się silny zapach dymu i**

**gazu, ale dwa duże, pomalowane na szaro kotły wydawały się nietknięte. Żadnych utraconych**

**zaworów, żadnych uszkodzonych rur. Jim już miał zgasić światło i wyjść, kiedy w cieniu**

**między kotłami dostrzegł jakiś błysk. Czarna, lśniąca strużka płynąca po podłodze.**

**Wyglądała jak wyciekający skądś olej. Jim zszedł po schodach, podszedł do zbiorników i**

**przykucnął.**

**Oleisty płyn przepłynął już tak daleko po posadzce, że prawie dotknął jego buta.**

**Jim**

**zanurzył w nim palec, obejrzał go uważnie i nagle poczuł zimny dreszcz przebiegający mu po**

**krzyżu. To nie był olej. Ciecz wydawała się czarna na tle cementowej podłogi, ale na palcu**

**okazała się ciemnoczerwona.**

**Jim wyteżył wzrok, usiłując dojrzeć coś w ciemności. Pogmerał w kieszeni i znalazł**

**pudełko zapalek z meksykańskiej restauracji „El Torito”. Kiedy zapalił jedną, rozbłysła na**

**moment, ale jedynie oparzyła mu kciuk. Pożałował, że nie wziął latarki. Pod zbiornikami coś**

**było – jakiś ciemny, podłużny kształt – lecz nic więcej nie zdołał dostrzec.**

**W kucki z trudem wcisnął się między zbiorniki, wymacując sobie drogę. Było tu tak**

**gorąco, że zanim zdołał posunąć się jakieś trzy kroki naprzód, pot ściekał mu z czoła i**

**koszula lepiała się do pleców.**

**Miał wrażenie, że słyszy bulgoczący jęk, więc zatrzymał się i nasłuchiwał, chociaż szum**

**kotłów wszystko zagłuszał.**

**Zapalił kolejną zapalkę i krzyknął:**

**–Czy jest tu ktoś?**

**Znów usłyszał ten wysilony, bulgoczący dźwięk. Jakby ktoś usiłował mówić, pijąc wodę**

**ze szklanki.**

**Powolutku posuwał się naprzód, aż nagle dotknął czegoś ciepłego i mokrego.**

**–O Boże! – krzyknął i cofnął się gwałtownie.**

**Zapalił następną zapalkę, a od niej kilka pozostałych, które razem dały jaśniejsze**

**światło.**

**Na betonie przed Jimem leżał Elvin, którego rozpoznał tylko po podkoszulku z emblematem**

**Dodgersów, mokrym teraz od krwi. Chłopiec był cały poraniony – na ramionach, na twarzy,**

**na całym ciele, jakby ktoś chciał podziurawić każdy skrawek jego ciała. Rany wyglądały jak**

**rozwarłe pyski wyrzuconych na brzeg ryb.**

**Wyczuwając ciepło palących się zapalek, Elvin usiłował podnieść rękę. Wydał jeszcze**

**jeden charczący dźwięk – ale był to już ostatni bulgoczący wydech powietrza i krwi z**

**przebitych płuc. Kiedy zapalki dopaliły się i światło zgasło, Elvin zgasł również i Jim**

**pozostał sam w ciemności między huczącymi kotłami.**

**Chwycił lepka od krwi dłoń chłopca, uścisnął ją i szepnął:**

**–Pozostań z Bogiem, Elvinie. Tak cholernie młodo... – nie zdołał wykrztusić nic więcej.**



## ROZDZIAŁ II

Porucznik Harris zapukał w otwarte drzwi klasy i wszedł do środka. Był niski i krępy, miał zadarty nos, krótkie blond włosy i czerwoną szramę na brodzie. Nosił piaskowego koloru garnitur z poliestru, ze śladami potu pod pachami.

–Pan Rook? – zapytał. Jego głos był łagodny, choć nieco chrapliwy.

Jim stał przy oknie, spoglądając na zewnątrz. Na jego biurku leżała kartka z ostatnim wypracowaniem Elvina „Mój ulubiony wiersz”. Wyjął je ze swoich akt z zamiarem oddania rodzicom chłopca. Elvin wybrał „Trzy” Gregory’ego Corso – trzy krótkie wiersze, z których ostatni mówił o śmierci i przemijaniu:

Śmierć szlocha, gdyż Śmierć jest człowiekiem  
siedzącym cały dzień w kinie, gdy umiera dziecię.

Jim nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Na zewnątrz nadal błyskały czerwono – niebieskie światła radiowozów, choć ambulans i samochód koronera odjechały już dziesięć ‘ minut temu. Druga klasa specjalna dostała wolne na resztę dnia i powiedziano im, że mogą nie przychodzić nazajutrz, jeśli będą zbyt zdenerwowani. Wezwano trzech psychologów, żeby pomogli uczniom uporać się z tym, co zaszło. Elvin przyjaźnił się ze wszystkimi. Był powolny, bardzo powolny, ale też nieskończenie cierpliwy i chętny do pomocy wszystkim, którzy tego potrzebowali – czy chodziło o naprawę rozrusznika samochodu, przybicie półki, uszczelnienie ciekącego kranu, czy też o zanieśenie gdzieś czegoś. Najlepiej porozumiewał się z innymi nie słowami, lecz poprzez praktyczne działania.

Jim rozumiał to i pozwalał mu wykonywać różne drobne prace w szkole – naprawiać płoty, oczyszczać basen i reperować uszkodzone szafki. Elvin zwykle śpiewał przy pracy.

Czuł się wtedy szczęśliwy.

A teraz, w wieku siedemnastu lat i czterech miesięcy, już nie żył.

Porucznik Harris chodził nerwowo po klasie.

–Co może mi pan powiedzieć o Thomasie J. Jonesie? – zapytał.

–O Tee Jayu? A co chciałby pan wiedzieć? Że jest czarny? Niezbyt mądry? Że pochodzi

**z rozbitej rodziny?**

**–Chcę wiedzieć, czy byłby zdolny do popełnienia morderstwa pierwszego stopnia. Jim odwrócił się od okna i spojrzał na porucznika.**

**–Nie potrafię panu na to odpowiedzieć, ale sądzę, że odpowiednio sprowokowani, wszyscy jesteśmy zdolni do popełnienia morderstwa pierwszego stopnia.**

**–Niech pan da spokój, panie Rook. Widział pan ciało Elvina. Widział pan, co z nim zrobił zabójca. Sto dwanaście ran kłutych, tyle naliczył lekarz sądowy. Większość**

**z nas**

**przeszłaaby czuć się sprowokowana po zadaniu zaledwie jednej.**

**–Nie wiem, co próbuje mi pan powiedzieć...**

**–Usiłuję dowiedzieć się od wszystkich, którzy go dobrze znają, czy miał motyw i predyspozycje psychiczne do zamordowania Elvina Claya. Pan jest jego**

**nauczycielem i z**

**pewnością zna go pan lepiej niż ktokolwiek inny oprócz jego matki.**

**–Nie sądzę, żeby to on był mordercą – odparł Jim.**

**–Na pewno nie jest niewiniątkiem.**

**–Niech pan posłucha, Jay ma trudności z czytaniem i ledwie opanował tabliczkę mnożenia.**

**Jego matka trzy córki i jeszcze czterech innych synów, i wszyscy mieszkają razem w**

**trypokojowym mieszkanku w najgorszej części Westwood. Jest inteligentny i pełen zapału**

**do nauki, ale także opóźniony w rozwoju i głęboko sfrustrowany, jak większość dzieci w**

**mojej klasie. Gdyby nie parę uszkodzonych genów, może mógłby zostać kimś naprawdę nie**

**zwykłym.**

**–Jednak dziś rano przyłapał go pan na bójce z Elvinem, prawda? I z tego, co wiem, była**

**to bardzo zaciekle walka. Ponadto Thomas J. Jones w obecności kilku świadków groził, że**

**zabije Elvina – powiedział Harris. Wyjęł notes i przerzucił kilka kartek. – Dokładnie powiedział tak: „Zabiję go... zabiję go za to... zamorduję tego sukina...”**

**–Tak – odparł Jim. – Dokładnie tak powiedział. Ale był wtedy wściekły. Elvin powiedział coś, co go rozzłościło, nie wiem co. Ale moim zdaniem te groźby nie**

**miały**

**żadnego znaczenia.**

**Porucznik Harris obrzucił Jima pełnym niesmaku spojrzeniem.**

**–Naprawdę nie miały żadnego znaczenia? Przecież w niecałe dwie godziny później znalazł pan w szkolnej kotłowni śmiertelnie ранego Elvina, podziurawionego jak durszlak.**

**–Tee Jay tego nie zrobił. Już z nim rozmawiałem. Przez całą przerwę był ze swoimi**

kolegami z drużyny... oni też to potwierdzili.

–No cóż, to prawda. Mamy jednak dziesięciominutową lukę. Tee Jay opuścił swoich

kolegów mniej więcej o jedenastej zero pięć i powiedział, że musi zadzwonić do wujka.

Zauważono, jak wychodził z głównego budynku szkoły, i ponownie zobaczono go dopiero

około jedenastej piętnaście.

–Czy ktoś zauważył go wchodzącego do kotłowni? – zapytał Jim.

–Nie, proszę pana. Jednak nie o to chodzi, ale o to, czy miał dość czasu, aby pójść do

kotłowni, by dokonać morderstwa. Miał motyw i miał sposobność. Co więcej, miał na ubraniu

sporo śladów krwi, która – jak sam przyznaje – jest krwią Elvina.

–To krew po walce w toalecie. Te ślady niczego nie dowodzą.

–Może i nie. Jednak przeprowadzimy kilka testów.

–A co z mężczyzną w czerni? – zapytał Jim.

–Słucham...?

–Mężczyzna ubrany na czarno. Czarny garnitur, czarny kapelusz z szerokim rondem.

Czytałem prace uczniów, spojrzałem przez okno i zobaczyłem, jak wyszedł z kotłowni.

Przystanął i rozejrzał się wokół, jakby sprawdzał, czy ktoś go nie zauważył, a potem odszedł.

–Czy zachowywał się podejrzanie?

–No cóż, jakby skradał się... Tak, to odpowiednie słowo. Skradał się.

–Tego ranka na boisku było siedemdziesięciu dziewięciu uczniów... i żaden z nich nie

dostrzegł nikogo nieznanego? – zapytał porucznik z powątpiewaniem.

–Ten człowiek wyszedł z kotłowni na oczach wszystkich – powiedział Jim. –

Otworzył drzwi, rozejrzał się i po prostu poszedł sobie, przez sam środek boiska.

Ktoś musiał

go widzieć.

–Czarny garnitur? Czarny kapelusz z szerokim rondem? – porucznik Harris przejrzał

swój notatnik i potrząsnął głową. – Żaden z pańskich uczniów nie widział nikogo takiego.

–Może i nie. Ale ja na pewno go widziałem.

Porucznik schował notes do kieszeni.

–Więc może zechce mi go pan opisać?

–Nie będzie pan notować?

–Zapamiętam, panie Rook. Ile miał wzrostu?

–Trudno powiedzieć, bo miał na głowie kapelusz, na pewno sześć stóp. Niezbyt

**mocno**

**zbudowany. Najwyżej osiemdziesiąt pięć kilogramów.**

**–W czarnym garniturze?**

**–Zgadza się. Workowatym, luźnym, nie dopasowanym.**

**–Potrafiłby pan opisać jego twarz?**

**–Raczej nie. Patrzyłem pod słońce.**

**–Nie wie pan nawet, czy był czarny, czy biały?**

**Jim zastanawiał się chwilę, ale w końcu przyznał, że nie wie. Zarówno za**

**pierwszym, jak i**

**za drugim razem mężczyzna w kapeluszu Elmera Gantry odwracał twarz albo krył**

**ją w cieniu**

**ronda kapelusza, jakby nie chciał pokazać jej Jimowi. Ale dlaczego nikt inny go**

**nie widział?**

**SueRobin Caufield była najwyżej piętnaście stóp od niego, kiedy wychodził z**

**kotłowni, a Jeff**

**Griglak stał twarzą do niego.**

**Porucznik Harris znów wyjął swój notes i zaczął zadawać przewidziane procedurą**

**pytania.**

**Ile Jim ma lat? Czy je żonaty lub rozwiedziony? Gdzie mieszka? Numer jego**

**telefonu i**

**konta? W końcu powiedział:**

**–Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas.**

**–I co dalej? – zapytał Jim.**

**–Thomas J. Jones został aresztowany jako podejrzany o morderstwo pierwszego**

**stopnia.**

**Zabierzemy go na posterunek, na przesłuchanie.**

**–Aresztowaliście Tee Jaya? A co z facetem w czarnym kapeluszu i garniturze?**

**Porucznik Harris zrobił dziwną minę, na pół przepraszącą, na pół lekceważącą.**

**–Będziemy mieli szeroko otwarte oczy, panie Rook.**

**–Chce pan powiedzieć, że nie zamierzacie go szukać?**

**–No cóż... muszę powiedzieć, że pański opis jest bard skąpy – Poza tym oprócz**

**Pana**

**nikt inny go nie widział. Wiem, że ma pan dobre chęci. I wiem, że zawsze broni**

**pan swoich**

**uczniów. To godne podziwu. Jednak ja muszę opierać się na faktach.**

**–Na faktach? Faktem jest, że ten gość w czarnym kapeluszu i garniturze wyszedł**

**z**

**kotłowni na moment przed tym, zanim poszedłem tam i znalazłem umierającego**

**Elvina.**

**–Nie znaleźliśmy żadnych odcisków palców, panie Rook. Oprócz pańskich.**

**–A zatem nie było też śladów palców Tee Jaya?**

**–Nie. Jednak nie znaleźliśmy też odcisków Elvina. Jediną osobą, która deptała po**

**krwi**

Elvina, był pan.

Jim ze znużeniem potarł czoło.

–Poruczniku, naprawdę nie mogę uwierzyć, że Tee Jay mógłby zrobić coś takiego. To do niego zupełnie niepodobne.

Porucznik Harris prychnął pogardliwie.

–Z doświadczenia wiem, panie Rook, że właśnie ludzie pozornie najlepiej nam znani

sprawiają nam najprzykrzejsze niespodzianki.

Jim spakował się i właśnie zmierzał do wyjścia, kiedy usłyszał, że ktoś go woła. Odwrócił

się i zobaczył spieszącą do niego Ellie Fox. Ellie prowadziła zajęcia z plastyki i była drobną

kobietką z perkatym noskiem i prostymi włosami koloru toffi, przytrzymywanymi szeroką

opaską. Nosiła zawsze obszerne bawełniane kitle, džinsy i sandały, i miała zatknięty za

uchem ołówek lub pędzel – na wypadek gdyby ktoś nie zauważył, że ma do czynienia z

artystką.

–Jim! – zawołała. – Chciałam porozmawiać z tobą w zeszłym tygodniu, ale jakoś nie

mogliśmy się spotkać!

–Ellie, przepraszam, ale po tym, co się dzisiaj stało... czy nie możemy porozmawiać

jutro?

–Jim, to ważne. Naprawdę.

–Zajrzę do ciebie jutro z samego rana. Obiecuję.

–Chodzi o Tee Jaya. Pomyślałam, że chciałbyś to zobaczyć...

–Tee Jaya? Co to takiego?

Wzięła go pod rękę i poprowadziła z powrotem na schody.

–Chodź i zobacz. Powiesz mi, co o tym myślisz.

Poszedł za nią rozbrzmiewającym echem korytarzem do pracowni plastycznej. Dla drugiej

klasy specjalnej pracownia plastyczna była szczególnie ważna. Tutaj właśnie mogli nauczyć

się, jak wyrażać siebie barwą, światłem i kształtem. Nawet jeśli nie umieli pisać, mogli

wypowiadać się kredkami i farbami. Jeśli nie potrafili dodawać, mnożyć lub dzielić, mogli

robić naszyjniki z błyszczących paciorków. Mogli rzeźbić w glinie i malować palcami. Ellie

Fox niemal obsesyjnie wierzyła w uzdrowicielskie działanie sztuki.

–Ludzie najczęściej zabijają się dlatego, że nigdy nie patrzą na obrazy, rzeźby, na nic –

mówiła. – Sztuka wyprowadza cię na zewnątrz. Sztuka czyni cię normalnym, normalnym na duszy i na ciele.

Właśnie trwała lekcja modelowania – osiem dziewczyn i trzech chłopcy usiłowali lepić

zwierzęta z gliny. Kiedy Jim przechodził przez pracownię, kilkoro uczniów spojrzęło na

niego z ciekawością. Usłyszał ciche szepty rozchodzące się po pokoju:

–...mówi, że Tee Jay tego nie zrobił...

–...widział jakiegoś faceta ubranego na czarno...

–...co, może to był Cień? Czego się naćpał?

–...może myślisz, że Tee Jay mógł to zrobić?

–...pewnie to Jednoręki...

Ellie przystanęła przed dużą szarą szafką. Otworzyła górną szufladę i powiedziała:

–Tutaj przechowuję najlepsze prace uczniów. Wszystko to, co twórcze, mocne, inne. –

Podniosła głos, żeby słyszała ją cała klasa. – Oczywiście o ile nie jest to obsceniczne i nie

obraża szkoły ani grona pedagogicznego West Grove Community College.

W kącie pracowni rozległy się zduszone chichoty i Jim spostrzegł, jak Jane Fidaccio

pospiesznie utracą ogromny penis nosorożcowi, którego właśnie modelowała.

Ellie wyjęła z szafki trzy duże płachty papieru i rozłożyła je na blacie. Wszystkie trzy

obrazy namalowano w kolorze czerwonym, pomarańczowym i czarnym. Jeden ukazywał

człowieka palonego żywcem na stosie pogrzebowym. Drugi przedstawiał szereg ludzi

podążających przez dżunglę. W pierwszej chwili Jim nie ujrzał w nim nic przerażającego,

dopóki nie dostrzegł, że ludzie szli szeregiem, ponieważ nabito ich na długi pal, niczym

szaszłyk. Trzeci malunek przedstawiał nagą kobietę leżącą na plecach i pożerającą swoje

nowo narodzone dziecko, jeszcze okryte łóżyskiem.

–To płace Tee Jaya – powiedziała Ellie.

–Jezu! Są naprawdę niesamowite – przyznał Jim.

–Zamierzałam je zniszczyć, ale pomyślałam, że najpierw powinieneś je zobaczyć.

–Czy Tee Jay wcześniej również malował takie rzeczy?

Ellie potrząsnęła głową.

–Dopiero od dwóch tygodni. Zapytałam go, co to oznacza, a on powiedział, że ma to coś

wspólnego z jego dziedzictwem.

–Jego dziedzictwem...? Urodził się w Huntington Park, a potem jego ojciec dostał pracę

szofera i cała rodzina przeniosła się do Santa Monica. Cóż to za dziedzictwo?

–Nie mam pojęcia – odparła Ellie. – Jednak wydawał mi się bardzo niespokojny. Jim podniósł obraz przedstawiający ludzi w dżungli.

–Widzisz te litery? V-O-D-U-N. Co one mogą oznaczać?

–Tee Jay nie chciał mi tego wyjaśnić. Powiedział, że jego obrazy mówią same za siebie.

–Mnie one nic nie mówią – stwierdził Jim. – Spójrz... co tu jest napisane z boku?

S-

A-M-E. Co to ma znaczyć? Sam E.? Może to jakiś akronim... Albo anagram.

–Może mógłbyś go o to zapytać? – podsunęła Ellie. Jim kiwnął głową. Ellie była mądrą

kobietą, wrażliwą i mądrą.

–Mogę je zatrzymać? – zapytał.

–Oczywiście – odpowiedziała. – Nie chcę, żeby zobaczyli je moi nowi uczniowie. Mogłyby mieć na nich wpływ.

Jim zwinął malunki Tee Jaya i założył na nie gumkę.

–Ja stawiam – oświadczył, gdy Ellie odprowadzała go do drzwi. – Może tę specjalną

pizzę Rooka, którą wciąż ci obiecuję? Tę z wędzonym tuńczykiem?

–Nie teraz – odparła. – Zaczekajmy, aż wszystko się uspokoi.

–W porządku, Ellie. Wcale nie chciałem robić tego od razu.

–Jasne – powiedziała, jakby żaden z mężczyzn, z którymi się widywała, nigdy nie chciał robić tego od razu.

Jim najpierw poszedł do domu, do swojego mieszkania na pierwszym piętrze pomalowanego na różowo betonowego bloku opodal Electric Avenue w Venice.

Na dziedzin

cu był mały basen, wokół którego mieszkańcy odpoczywali na zardzewiałych, sfatygowanych

leżakach, popijając grzani wino i czytając grube powieści sensacyjne. Wieczór był ta ciepły,

że na dwór wyszła nawet siedemdziesięciosześcioletnia pani Vaizey w obszernych szortach z

czarnego jedwabiu i marszczonej bluzce bez ramiączek. Na czole miała jeden z tych

wystrzałowych daszków imitujących homara, które były ostatnim krzykiem mody jakieś 15

lat temu.

–Wyglądasz na zmartwionego, Jim – powiedziała, osłaniając dłonią oczy przed

słońcem. – Kiepski w Black Rock?

Jim kiwnął głową.

–Jeden z moich uczniów został dziś zabity. Wszyscy jesteśmy bardzo przygnębieni z tego powodu.

–Zabity? To okropne! Jak to się stało?

–Nie jesteśmy pewni, ale wygląda na to, że zadźgał go inny uczeń.

–Świat nie jest już taki jak dawniej, Jim. Za moich czasów chodziło się do szkoły po to,

żeby się uczyć, a nie zabijać innych uczniów albo dawać się samemu zabijać.

–To prawda, pani Vaizey. Jednak nie jestem przekonany, czy to zabójstwo to taka prosta

sprawa, jak się wydaje.

Bładoróżowy homar na jej głowie obdarzył go spojrzeniem paciorkowatych oczu i poruszył plastikowymi szczypcami.

–Pan myśli, że jest inaczej, prawda? To dlatego, że pan sam jest inny.

–Niech pani da spokój z tym mistycyzmem, pani Vaizey. Szanuję pani zdolności, ale dziś

zginął jeden z moich najlepszych uczniów, więc to nie jest odpowiednia chwila.

–Nonsens – odparła. Skóra na grzbiecie jej dłoni była jak pomarszczona bibułka. –

Właśnie to jest odpowiednia chwila. Dlaczego uważa pan, że jest inaczej?

Jim zerknął na Myrlina Buffielda z mieszkania 201, który udawał pogrążonego w lekturze

Primary colors, ale w rzeczywistości uważnie słuchał ich rozmowy. Myrlin miał czterdzieści

kilo nadwagi, krótko obcięte czarne włosy, ogromne piersi, złoty kolczyk w kształcie sztyletu

oraz białą, lśniącą skórę. Nikt nie wiedział, z czego żyje. I nikt nie miał ochoty zgadywać.

–Może wpadnie pani na drinka, pani Vaizey? – spytał Jim. – Porozmawialibyśmy w cztery oczy.

–Piwo? – spytała podejrzliwie pani Vaizey.

–Za kogo pani mnie ma? Bourbon.

–W takim razie z chęcią.

Jim wziął jej gazetę, okulary oraz przybory do szycia i pomógł jej wejść po schodach. Nie

rozmawiał z nią zbyt często, głównie dlatego, że zawsze usiłowała namówić go, żeby dał

sobie poczytać z ręki, powróżyć z kart lub fusów herbacianych. Wierzył w różne dziwne

rzeczy, ale nie we wróżby, uroki i duchy. Uważał, że przyszłości nie da się przewidzieć, a

kiedy ktoś umiera, to umiera i już. Pstryk; Światło gaśnie, i tyle.



Otworzył drzwi swojego mieszkania i wprowadził pani; Vaizey do środka. Rolety były spuszczone, więc w pokoju panował półmrok. Nie było tu bałaganu, ale wiele świadczyło o tym, że mieszka tu samotny mężczyzna. Nakrycie na kanapie było pomarszczone, wazonie na parapecie stały zwiędłe kwiatki, a wczorajsza gazeta nadal leżała tam, gdzie ją Jim rzucił, tak samo jak jeden z kapci.

Pani Vaizey ostrożnie pociągnęła nosem, jednak poczuła tylko duszne, nieruchome powietrze, którym przez cały dzień nikt nie oddychał.

–Gdzie pański kot? – zapytała.

–Kotka Tibbles? Wróci, jak tylko stwierdzi, że tu jestem. Nigdy nie wpuszczam jej tutaj za dnia. Mam alergię na zapach kocich odchodów.

Kiedy pani Vaizey usiadła na kanapie, poszedł do kuchni po butelkę Jima Beama. Nalał dwie spore porcje, po czym trącił się ze staruszką.

–Za Elvina, który dzisiaj zginął – powiedział. – A także za sprawiedliwość, wrażliwość i szacunek.

–Wypiję za to – oświadczyła pani Vaizey. – Cokolwiek ma pan na myśli.

–Myślę o młodych ludziach, którzy umierają zbyt młodo, pani Vaizey. Wie pani, Elvin w ogóle nie miał szans. Był tak cholernie powolny, że nie potrafiłby złapać nawet kataru. Jego ojciec był inwalidą, a matka nie radziła sobie z niczym. Ale zawsze był taki pogodny. Zawsze cieszył się z tego, co miał.

–Kto go zabił?

–Kolega z klasy, Tee Jay. Przynajmniej tak sądzi policja. – Jednak pan tak nie uważa?

–Sam nie wiem... Tee Jay i Elvin pobili się wcześniej, ale po walce widziałem idącego korytarzem wysokiego mężczyznę w czarnym garniturze i w czarnym kapeluszu. Zniknął, zanim zdążyłem mu się lepiej przyjrzeć. Potem zobaczyłem go wychodzącego ze szkolnej kotłowni, w której Elvin został zakłuty na śmierć. Widziałem tego człowieka tak, jak teraz panią, jednak nikt inny go nie widział. Nikt.

Pani Vaizey opróżniła kieliszek i otarła usta grzbietem dłoni.

–Myślę, że powinnam obejrzeć twoją dłoń, Jim.

–Z całym szacunkiem, pani Vaizey, ale to nic nie da.

–Jim... masz w sobie coś. Zawsze to wiedziałam. Masz aurę.

–Aurę? Co to takiego?

Pani Vaizey zakreśliła rękami krąg w powietrzu.

–To rodzaj poświaty, jaką roztaczają wokół siebie niektórzy ludzie. Czasem szczęśliwa

osoba potrafi świecić jak latarnia. Ale większość ludzi ma mieszane światło...  
różne barwy

dla różnych części osobowości, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

–A jaką ja mam barwę? – zapytał Jim, nalewając jej kolejnego drinka.

–Twoja aura ledwie się jarzy. Bardziej przypomina cię niż poświatę.

–I co to oznacza? Że jestem przygnębiony?

Pani Vaizey potrząsnęła głową.

–Nic podobnego. To oznacza, że jesteś w kontakcie z zaświatami. Pewna część  
ciebie

może poprzez codzienność dostrzec inny świat. To trochę tak, jakbyś w  
słoneczny dzień

spoglądał przez witrynę sklepu: musisz osłonić oczy dłońmi i przycisnąć twarz do  
szyby,

jednak zawsze coś zdołasz dojrzeć.

Jim chciał coś odpowiedzieć, ale pani Vaizey chwyciła jego dłoń w swoje  
szponiaste palce

ozdobione wielkimi srebrnymi pierścionkami i mocno ścisnęła.

–Jak myślisz, co dzisiaj widziałeś, Jim? Zobaczyłeś mężczyznę, którego nikt inny  
nie

widział. Czy sądzisz, że ten człowiek był żywy, czy też mógł być czymś innym?

–Nie wiem, co ma pani na myśli mówiąc o „czymś innym”. Chodzi o ducha?

–Może o ducha. Ale kto wie? Nie tylko duchy zmarłych wędrują po tym świecie.

Czasem

dusze żywych też to potrafią.

–Wędrówka dusz?

Pani Vaizey nie odpowiedziała. Oстрыm, polakierowanym na pomarańczowo  
paznokciem

wodziła po linii serca, rozumu i życia Jima.

–Jesteś bardzo mądry – stwierdziła. – Jednak problem w tym, że jesteś również  
bardzo

uparty. Nie lubisz słuchać rad innych ludzi. Zawsze uważasz, że wszystko  
potrafisz zrobić

lepiej. Ale miewasz też chwile zwątpienia, kiedy podejrzewasz, że mogłeś wybrać  
złą drogę.

W takich chwilach masz wrażenie, że drzewa otaczają cię ciasnym kręgiem, a w  
gąszczu

słyszysz dziwne pomruki.

Opróżniła drugą szklaneczkę burbona.

–Oczywiście to metafora – dodała po chwili.

Jim patrzył na jej srebrny kolczyk drżący w blasku słońca. Wiedział, że powinien sceptycznie potraktować gadaninę staruszki, jednak po dzisiejszym morderstwie

gotów był

przyjąć niemal każde wyjaśnienie tego, co zaszło. Jeśli Bóg pozwalał, aby ginęli tacy młodzi

ludzie, to najwidoczniej żyjemy w świecie, w którym nie ma żadnej logiki ani sprawiedliwości, pomyślał.

–Jesteś bardzo emocjonalny i zdolny do wielkiej miłości – ciągnęła pani Vaizey. – Kiedyś kochałeś i zawiodłeś się, i potem potrzebowałeś długiego czasu, żeby się

z tym

pogodzić. Ale niedługo pojawi się w twoim życiu kolejna miłość... i ten związek przetrwa, ze

wzlotami i upadkami, do końca twego życia.

–Ze wzlotami i upadkami? Nie jestem pewien, czy mi się to podoba.

–Wszystkim parom zdarza się pokłócić, zwłaszcza tym, które naprawdę się kochają.

–Pewnie tak – mruknął bez przekonania.

Pani Vaizey oglądała teraz jego linię życia. Wolałby, żeby nie wbijała paznokcia tak głęboko. Po chwili spojrzała na Jima i jej twarz przybrała przedziwny wyraz.

Patrzyła na

niego tak, jakby nie mogła uwierzyć, że naprawdę istnieje. Znów popatrzyła na jego dłoń i w

końcu powiedziała:

–Zupełnie tego nie rozumiem...

–O co chodzi?

–To bardzo dziwne. Zazwyczaj, jeśli czyjaś linia życia się urywa, można przewidzieć,

kiedy ta osoba umrze. Z dokładnością do roku.

–I co? Moja urywa się?

Pani Vaizey kiwnęła głową.

–Spójrz tutaj... na samym dole. Urywa się i zupełnie znika.

–Chyba nie chce mi pani powiedzieć, że umrę młodo? Mój ojciec i matka nadal żyją.

–Jim, ta linia urywa się bardzo wcześnie. A to oznacza, że powinieneś już nie żyć.

–Co takiego...?

–Nie może być mowy o pomyłce. Widać wyraźnie, że umarłeś w wieku dwunastu lub

trzynastu lat.

Jim roześmiał się.

–Umarłem mając dwanaście lub trzynaście lat? To nie świadczy najlepiej o chiromancji.

**Chyba nie wyglądam na zmarłego, prawda?**

**–To nie pomyłka – odparła pani Vaizey zupełnie poważnie.**

**–Więc mam uwierzyć, że jestem martwy, tak?**

**–Teraz nie jesteś martwy, ale kiedyś byłeś. Pewnie tylko przez chwilę. Jednak nie żyłeś.**

**Jim cofnął rękę i przycisnął ją do piersi.**

**–To nie ma sensu – powiedział.**

**–Nie byłabym tego taka pewna, Jim – odparła pani Vaizey. – Może jednak. Czy byłeś**

**kiedyś chory jako dziecko? Poważnie chory?**

**–Owszem, mając dziesięć czy dwanaście lat dostałem zapalenia płuc.**

**–Pamiętasz, co się wtedy działo?**

**–Niezbyt wyraźnie... Jako dziecko zawsze byłem bardzo słabowity. Złapałem grypę,**

**która przeszła w zapalenie płuc. Ojciec i mama zabrali mnie do szpitala, i tam zajęli się mną**

**wszyscy ci ludzie w bieli. Byli wspaniali. Zabierali mnie na spacer i rozmawiali ze mną. W**

**końcu zaprowadzili mnie z powrotem do mojego łóżka i wyzdrowiałem.**

**–Jak wyglądali ci ludzie w bieli?**

**–Nie wiem. Chyba jak lekarze i pielęgniarki. Były ich tuziny... i wszyscy rozmawiali ze**

**mną, wszyscy próbowali mnie podnieść na duchu. I w końcu poczułem się lepiej.**

**Pani Vaizey podstawiła szklaneczkę i Jim nalał jej kolejną porcję burbona. Słońce już**

**zachodziło i szerokie smugi światła padały na jedyny obraz, jaki Jim powiesił na ścianie: dużą**

**reprodukcję „Upadku Bredy” pędzla Velazqueza, z holenderskimi żołnierzami wręczającymi**

**klucze do miasta hiszpańskim lansjerom. Jim zawsze czerpał z niego siłę, ponieważ obraz**

**przedstawiał zaciekłych wrogów traktujących się z kurtuazją i zrozumieniem – co zawsze**

**usiłował zaszcześcić uczniom swojej klasy specjalnej.**

**Pani Vaizey powiedziała:**

**–Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że ci ludzie mogli nie być lekarzami i pielęgniarkami?**

**–Nie rozumiem...**

**–Byłeś wtedy bardzo młody i prawdopodobnie bliski śmierci. Być może nawet w stanie**

**śmierci klinicznej. Jednak po tamtej stronie jest wiele dobrych duchów, które starają się**

**skierować młode duszyczki z powrotem, jeśli to jeszcze możliwe. Jim potrząsnął**

głową.

–Przykro mi, pani Vaizey, ale nie wierzę w życie pozagrobowe.

–Mimo że sam widziałeś duchy?

–Pewnie śniły mi się tylko.

Pani Vaizey znów chwyciła go za rękę i zaczęła wodzić paznokciem po linii życia.

–Jeśli raz widziałeś duchy, możesz zobaczyć je znowu. Byłeś bliski śmierci, a to

dało ci

jakby dodatkowy zmysł, którego nigdy nie stracisz.

Jim patrzył i krzywił się, gdy pani Vaizey oglądała jego dłoń. Po dłuższej chwili zmarszczyła brwi i nachyliła się jeszcze niżej.

–Coś nie tak? – zapytał.

–Nie wiem... Nie rozumiem tego. Masz podwójną przerwę i hakowaty skręt. Czeka

cię

dziwne spotkanie, niepodobne do niczego, czego dotychczas doświadczyłeś.

Potem stanie się

coś przerażającego. Ale nic więcej nie potrafię odczytać.

Jeszcze raz pociągnęła paznokciem po jego linii życia. Jim poczuł przeszywający

ból i

nagle z jego dłoni buchnęły płomienie.

–Jezu! – wrzasnął i natychmiast zacisnął dłoń. Mimo to płomienie trysnęły mu pomiędzy palców i objęły całą pięść.

Chciał się zerwać, ale pani Vaizey krzyknęła „Nie!”, złapała leżącą na kanapie

poduszkę i

nakryła nią jego rękę. Przytrzymała ją przez dłuższą chwilę, a potem ostrożnie

podniosła,

upewniając się, że płomienie zgasły. Jim powoli rozwarł palce. Ogień zniknął,

pozostawiając

tylko lekkie zaczerwienienie skóry.

–Czy to boli? – spytała pani Vaizey.

Jim uniósł dłoń i poruszył nią.

–Właściwie nie. Czuję tylko słabe pieczenie... ale to chyba wszystko. Co się stało,

do

diabła?

–To ostrzeżenie – oświadczyła pani Vaizey. Była tak wstrząśnięta, że drżały jej

ręce. –

Słyszałam o tym, ale nigdy czegoś podobnego nie widziałam.

–Ostrzeżenie? Przed czym?

–Nie mam pojęcia. Są pewne rzeczy, których ludzie nie powinni wiedzieć.

–Niech pani da spokój, pani Vaizey. Musi mi pani powiedzieć, o co tu chodzi.

Przez chwilę milczała, zastanawiając się. Potem powiedziała:

–No dobrze... Chyba powinienesz znać prawdę. Czasami, kiedy śmierć jest blisko,

ludzie

noszą jej znaki na swoim ciele. Im bardziej wrażliwa jest dana osoba, tym

wyraźniejsze znaki.

Znałam kobietę z Santa Barbara, której zsiniały wargi, i trzy tygodnie później śmiertelnie

zatrula się cyjankiem. W Westwood mieszkał pewien producent filmów, któremu na

ramionach wciąż pojawiały się ślady ugryzień. Przed upływem roku podczas wizyty u

znajomych został zaatakowany przez dwa dobermany, które go zagryzły.

Umilkła na moment, a potem dodała:

–Widywałam też oparzenia u ludzi, którzy później zginęli w ogniu. Jednak nigdy jeszcze

nie widziałam płomieni. Musisz być bliżej świata duchów niż ktokolwiek ze znanych mi

ludzi.

–Co to oznacza? – spytał Jim. – Że zginę w płomieniach?

Pani Vaizey nie odpowiedziała.

–Przecież to nie jest nieuniknione, prawda? – dopytywał się Jim. – Teraz, kiedy znam

moje przeznaczenie, mogę je chyba zmienić?

–Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś zdołał uniknąć swego przeznaczenia – odparła

pani Vaizey, kładąc dłoń na jego ręce. – Ale może tobie się uda, kto wie?

## ROZDZIAŁ III

Kiedy Jim przyszedł następnego dnia do szkoły, zastał uczniów swojej klasy specjalnej cichych i przygnębionych, ale nikogo nie brakowało oprócz Amandy Zaparelli, której właśnie zdejmowano aparat ortodontyczny. Nie zdziwił się, że wszyscy przyszli. Chcieli podzielić się swoim żalem i stwierdzić, że stolik Elvina jest pusty i ich kolega naprawdę odszedł na zawsze. Jim wiedział, że w ciągu jednego semestru klasa potrafi żyć się bardziej niż rodzina i utrata kolegi może być bardziej bolesna niż śmierć wuja czy innego krewnego. Wszedł do klasy, wpychając do spodni niebieską dżinsową koszulę. Czuł się fatalnie. Przez całą noc śniły mu się czarne postacie w kapeluszach z szerokim rondem, płomienie i głosy szepczące w nieznanym obcym języku. Kilkakrotnie zapalał światło, żeby obejrzeć ślady na swojej dłoni. Zrobił sobie dzbanek gorącej czekolady i patrzył na nią przez pół godziny, a potem wylał nie tkniętą do zlewu.

„Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś zdołał uniknąć swego przeznaczenia – powiedziała mu pani Vaizey. – Ale może tobie się uda, kto wie?”

–To będzie szczególny i bardzo trudny dzień – powiedział. – Wczoraj straciliśmy nie tylko Elvina, ale również Tee Jaya. Policja oskarżyła go o morderstwo pierwszego stopnia i o ile wiem, nie szukają innego sprawcy.

Przeszedł między rzędami stolików na koniec klasy i stanął przy Sue-Robin Caufield.

Dziewczyna włożyła dziś bardzo opięty i wydekoltowany czarny podkoszulek i zawiązała; na szyi cienką czarną wstążkę. Jim ze znużeniem pomyślał, że to dla niej typowe: nawet w żalobie chciała wygiąć seksownie. W przeciwległym rogu sali Greg Lake marszczył brwi i mrugał oczami, jakby jechał pod wiatr na motocyklu. Cierpiał na brak koordynacji ruchowej i jeśli ktoś powiedział jakiś żart, reszta klasy kończyła się śmiać co najmniej minutę przed tym, zanim Greg zdołał przywołać uśmiech na twarz.

Jim powiedział:

–Chcę, żeby wszyscy zapamiętali jedno: chociaż smutne nam z powodu odejścia

**Elvina i**

choć nas to złości, wedle prawa nikt nie jest winny, dopóki nie dowiedzie mu się winy. Tee

Jay został oskarżony, ale nie skazany. Zaczekajmy więc, aż sąd orzeknie, czy Tee Jay

naprawdę za to odpowiada

–Och, pewnie – mruknął Ray Vito, odwracając się na krześle. Miał kruczoczarne włosy

zaczesane do góry, nalaną trójkątną twarz i wąski orli nos. – Pewnie O. J.

Simpson też był

niewinny, co?

–Sędzia uznał O. J. Simpsona za niewinnego, i to wystarczy.

–Niech pan da spokój, panie Rook. Wszyscy śledziliśmy ten proces. To niemożliwe.

–Śledziliście proces, lecz nie przedstawiono wam faktów w taki sam sposób, jak sędziom. Kiedy zapoznali się z dowodami, uznali, że budzą uzasadnione wątpliwości,

również mam uzasadnione wątpliwości co do tego, czy Tee Jay zabił waszego kolegę.

Widziałem, jak ktoś opuszczał kotłownię tuż przed tym, zanim znalazłem martwego Elvina

Nie wiem, kto to był ani co tam robił. I nie mogę pojąć, dlaczego nikt inny go nie zauważył.

Ale to on musiał ostatnią osobą, która widziała Elvina żywego, więc nie przesądzajmy sprawy.

Russell Gloach podniósł rękę. Miał krótko ostrzyżone czarne włosy i szkła tak grube, że

musiały być kuloodporne. Ważył przeszło sto kilo i cierpiał na bulimię, która utrudniała mu

naukę. Nie mógł wytrzymać czterdziestu pięciu minut bez ciasteczka, batonika czy kanapki.

Jednak mimo swej tuszy miał bardzo bystry umysł i potrafił być bezczelny.

–Nie wierzę, że widział pan tam kogoś – powiedział. – Myślę, że broni pan Tee Jaya...

usiłując przekonać wszystkich, że Elvina mógł zabić ktoś inny.

–Dlaczego miałbym to robić? – zdziwił się Jim.

Russell wzruszył ramionami.

–Tee Jay należy do klasy specjalnej, prawda? Cokolwiek zrobił, jest jednym z nas.

Jim przez dłuższą chwilę spoglądał na niego, a potem skinął głową.

–Oczywiście – powiedział w końcu. – Tee Jay jest jednym z was.

–Chodzi o to, że ostatnio Tee Jay zachowywał się naprawdę dziwnie – wtrąciła Muffy.



Była drobniotka i bardzo ładna, i miała najbardziej wymyślną fryzurę, jaką Jim widział w

życiu. Zakręcone i pracowicie poupinane włosy ozdobiła wstążkami i paciorkami. Chyba

musi wstawać o piątej rano, żeby uczesać się tak przed wyjściem do szkoły, pomyślał. Tee

Jay i Muffy chodzili ze sobą przez dwa lub trzy tygodnie, ale nie bardzo do siebie pasowali.

Tee Jay był milczący i lakoniczny, podczas gdy Muffy była jak eksplozja w wytwórni

sztucznych ogni.

Przynajmniej do wczoraj, kiedy Tee Jay również eksplodował.

–Co rozumiesz pod słowem „dziwnie”? – zapytał ją Jim.

–No cóż, zawsze był bardzo spokojny, no nie? – oświadczyła Muffy. – Nic nigdy

go nie ruszało. Ale przez ostatnie dwa tygodnie zupełnie zamknął się w sobie. Prawie z nikim nie

rozmawiał. Musiał pan to zauważyć.

–Nie, nie zauważyłem – odparł Jim. – Jednak teraz, kiedy o tym mówisz, uświadomiłem sobie, że chyba rzeczywiście tak było.

Pomyślał o obrazach, które pokazała mu Ellie: o nabitych na pal ludziach idących przez

dżunglę, o kobiecie zjadającej własne nowo narodzone dziecko.

–Myślę, że miał jakieś kłopoty w domu – stwierdziła Muffy. – Nie chciał o tym mówić, ale wiem, że kiedyś spał w samochodzie, a innym razem zadzwonił o drugiej w nocy i

zapytał, czy mógłby u mnie przenocować. Powiedziałam, że nie. Moi rodzice dostaliby szału.

Jim powoli przeszedł na środek klasy.

–Czy jeszcze ktoś zauważył coś dziwnego w zachowaniu Tee Jaya?

–Zaczął mi dokuczać za to, że jestem Żydówką – powiedziała Sherma Feldstein, śniada,

pulchna dziewczyna z pieprzykiem na twarzy i gęstymi czarnymi brwiami.

Powtarzał, że jest

tylko jedna religia: ta, którą on wyznaje. Mówił, że wszyscy Żydzi to... no, użył brzydkiego

słowa.

–Czy powiedział ci, jaka to religia?

Sherma potrząsnęła głową.

–Mówił coś o krukach, lustrach i świecach. A także o proszku. O wdychaniu proszku.

–Czy zrozumiałaś coś z tego?

–Nie – odparła Sherma. – Kiedy mu to powiedziałam, oświadczył, że jeśli nie

zrozumiałam od razu, to nigdy nie zrozumieć.

–Ja też coś zauważyłam – wtrąciła Beattie McCordic. – Grał w tę grę, w której przerzuca się jedną z tych okrągłych rzeczy przez siatkę. Było gorąco, więc zdjął górę tego,

co miał na sobie, i wtedy zobaczyłam na jego plecach mnóstwo znaków.

–Mówisz o tatuażu? – zapytał Jim.

–Nie, nie. Te znaki były takie jak wtedy, kiedy się skaleczysz. Jak one się nazywają...?

–Mówisz o bliznach?

–Właśnie, blizny. Wszystkie wyglądały jak kółka.

–No cóż, jeśli ktoś chce mieć kółka na plecach, to dlaczego mielibyśmy mu tego zabraniać? Pewnie miał je od lat.

–Nie, nie od lat. Były całkiem nowe. Jakby zupełnie świeże, czerwone i w ogóle.

Sharon Mitchell również podniosła rękę. Z równym zaangażowaniem podchodziła do praw

czarnych obywateli, jak Beattie do praw kobiet. Była bardzo ładna i bardzo wysoka – miała

prawie metr osiemdziesiąt i przez całe życie cierpiała z powodu swojego wzrostu, koloru

skóry i płci. Zawsze podpisywała swoje wypracowania „Sharon X” na cześć Czarnych

Muzułmanów, i Jim nigdy nie nazywał jej inaczej. Wiedział, kiedy należało ich traktować

poważnie, obojętnie jak buntowniczo czy irracjonalnie postępowali. I tak byli wystarczająco

nieszczęśliwi.

–Tak robią niektóre szczepy w Afryce – powiedziała Sharon. – To próba męskości.

Ma dowieść, czy chłopiec potrafi znieść ból, a także określić, do jakiego należy ducha.

–Nie rozumiem...

–Niektóre plemiona mają takie opiekuńcze duchy, które strzegą ich przez całe życie. No

wie pan, tak jak rodzice chrzestni. Kiedy chłopiec osiąga wiek męski, starszyzna wybiera dla

niego ducha, który ma go ochraniać, dawać mu dobre rady i zabijać jego wrogów.

Zabijać wrogów? Jim przypomniał sobie czarno odzianą postać wychodzącą z kotłowni i

powiedział:

–To ciekawe, Sharon. Chciałbym dowiedzieć się o tym więcej.

–W domu mam mnóstwo książek na ten temat. Przyniosę je do szkoły i będzie pan mógł

sobie poczytać.

Jim rozejrzał się po klasie.

–Dzisiaj idę porozmawiać z rodzicami Elvina i jestem Pewny, że wszyscy chcielibyście, żebym przekazał im wasze kondolencje. A jutro wspólnymi siłami napiszecie list z wyrazami współczucia, który wszyscy podpiszą. Przez całą noc zastanawiałem się, co powiedzieć wam dzisiaj o Elvinie, Jednak sądzę, że najlepsze, co mogę zrobić, to przeczytaj wam wiersz Emily

Dickinson.

Wziął książkę i otworzył ją. W klasie było tak cicho, że słyszał oddechy uczniów.

Ponieważ nie mogłem czekać na Śmierć,

Ona uprzejmie zaczekała na mnie;

W powozie podróżowaliśmy sami

Ona, ja i Nieśmiertelność.

Za nami została szkoła, gdzie na przerwie

Dzieci bawiły się w kółko graniaste.

Za nami zostały pszeniczne łany

Za nami zostało zachodzące słońce.

I tak przeminęły wieki całe, a jednak

Zdały mi się krótsze niż dzień.

I zrozumiałem, iż łby naszych koni

Zwrócone są ku wieczności.

Odłożył książkę. Siedzącej tuż przed nim Jane Firman łyzy ciekły po policzkach.

Oboje z

Elvinem cierpieli na dysleksję i spędzali razem długie godziny, usiłując zrozumieć coś z

czytanych książek. Nagły brak towarzysza niedoli był dla niej nie do zniesienia.

Nawet Ricky Herman ocierał łyzy rękawem, a Sherma Feldstein ukryła twarz w dłoniach.

–Uczcijmy Elvina minutą milczenia – powiedział łagodnie Jim. – Dobrze byłoby, gdyby każdy mógł odmówić własną modlitwę.

Uczniowie siedzieli ze spuszczoneymi głowami. Chyba po raz pierwszy Mark i Ricky nie

chichotali i nie wiercili się. Russellowi zaburczało w brzuchu, ale nikt się nie roześmiał. Życie

biegło normalnym trybem, a Elvina nie było.

Kiedy minuta dobiegała końca, uwagę Jima zwrócił jakiś cień po drugiej stronie podwórka.

Dzień był jasny i ganek przed głównym budynkiem skrywał głęboki mrok, jednak Jim był

przekonany, że zobaczył tam jakiś ruch. Podeszedł do okna i spojrzął. Z początku niczego nie

mógł dojrzeć, ale stopniowo z mroku zaczęła się wyłaniać postać mężczyzny stojącego przy

jednym z filarów. Był ubrany na czarno i tulił do piersi czarny szerokoskrzydły kapelusz.

Jim skinął na Titusa Greenspana III. Titus miał na sobie podkoszulek w jaskrawe, różowe

paski. Wyłupiaste czarne oczy i nerwowy, kłótniwy charakter upodobniały go do przerośniętego ślimoraczka.

–Titusie... chodź tu. Chcę, żebyś spojrział przez okno... tam. Widzisz ganek?

Widzisz

filara po prawej stronie?

–Który? – spytał Titus mrugając oczami.

–Ten po twojej prawej ręce. Nie, nie tej. A teraz powiedz, czy widzisz kogoś

stojącego

obok tego filara? Tam jest dość ciemno, ale wyteż wzrok. Człowiek w czarnym

garniturze

trzymający kapelusz.

Titus patrzył przez chwilę i w końcu powoli potrząsnął głową.

–Czy to jakiś test na inteligencję? – zapytał.

Jim znów spojrział na ganek i wyraźnie zobaczył mężczyznę. Kiedy Titus go wypatrywał,

tamtę zrobił krok naprzód i łatwiej można go było dojrzeć.

–Nie widzisz człowieka stojącego obok tego filara? Spójrz jeszcze raz. – Przez

moment

miał ochotę dodać: „Co jest, na Boga, jesteś ślepy?“, ale zdołał ugryźć się w język.

Titus spoglądał na podwórko przez ponad pół minuty, przygryzając koniec języka.

Wreszcie rzekł:

–Nic. Przykro mi, panie Rook, ale nikogo nie widzę.

–Ricky, chodź tu – zawołał Jim następnego ucznia. – Spójrz tam – powiedział. –

Widzisz tego człowieka stojącego na ganku? Właśnie odszedł od filara.

Ricky popatrzył na podwórze, a potem jęknął przeproszająco:

–Nie. Przepraszam, panie Rook, ale nikogo tam nie ma.

–W porządku – odparł Jim. – Wracaj na miejsce. A teraz weźcie wszyscy wasze podręczniki i otwórzcie je na: stronie dwudziestej szóstej. „Martwy chłopiec”

Johna Crowe

Ransoma. Przeczytajcie ten wiersz i zastanówcie się nad jego sensem. Zaraz wracam.

Opuścił klasę i pospieszył wywoskowanym korytarzem do wyjścia. Pchnął obrotowe drzwi

z szybami ze zbrojonego szkła i wyszedł na słońce, a potem pobiegł przez żwirowy

dziedziniec do ganku. Mężczyzna w czarnym garniturze, przyciskający do piersi

**czarny**

**kapelusz z szerokim rondem wciąż tam był, jednak na widok nadbiegającego Jima oderwał**

**się od filara i zniknął za drzwiami głównego budynku.**

**Jim gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi i wszedł do środka. Nasłuchiwał odgłosów**

**ucieczki, ale budynek rozbrzmiewał jedynie głosami nauczycieli i powolnymi dźwiękami**

**pianina, na którym ktoś niewprawnie grał „Dla Elizy”.**

**Dotarł do połowy głównego korytarza, zaglądając przez okna w drzwiach do każdej klasy.**

**Jego kroki odbijały się wielokrotnym echem od ścian. Tutaj, w tej części szkoły zajmowano**

**się najbardziej obiecującymi uczniami – tymi, którzy z wyróżnieniem ukończą naukę i**

**znajdą dobrze płatne posady. Niewielu z nich zdobędzie sławę lub majątek, jednak szkoła**

**nauczy ich pracować i myśleć. Wkrótce większość z nich uświadomi sobie, że nie wszyscy**

**mogą być Michaelami Jacksonami.**

**Klasa Jima jeszcze nie nauczyła się tego i być może nigdy się nie nauczy, ale właśnie**

**dlatego była klasą specjalną.**

**Jim przystanął i już miał zamiar wrócić, kiedy człowiek w czarnym ubraniu pojawił się na**

**samym końcu korytarza i zaczął powoli ściągać rękawiczki. Jim przez chwilę obserwował go**

**z sercem bijącym jak zbyt mocno nakręcony zegar. Twarz mężczyzny skrywało rondo**

**kapelusza i wciąż nie było wiadomo, czy nieznajomy jest czarny, czy biały. Stojąc z lekko**

**pochyloną głową, zdawał się czekać na coś. Jim nie miał pojęcia, czy tamten czeka na niego,**

**czy też na kogoś innego, ale nie zamierzał podchodzić bliżej, dopóki nie upewni się, że facet**

**nie jest uzbrojony. Mężczyzna był co najmniej dziesięć centymetrów wyższy od niego,**

**barczysty i mroczny. Teraz dopiero Jim pojął, co pani Vaizey rozumiała pod pojęciem aury.**

**Tego człowieka otaczała atmosfera grozy, niczym gęsta chmura wulkanicznego popiołu.**

**Żadnej jasności. Żadnej tęczy. Nawet żadnych plam barw. Tylko mroczna poświata, jak**

wokół szczytu St. Helen.

Jimowi wydawało się, że mężczyzna w czerni podśpiewuje sobie pod nosem.

–Nie wiem, kim pan jest – zawołał, usiłując nadać swojemu głosowi autorytatywne brzmienie – ale to teren szkoły i przebywa pan tu bez pozwolenia!

Zapadła cisza, a potem mężczyzna odpowiedział:

–Widzisz mnie, prawda?

Jego głos przypominał szuranie mokrego worka wleczzonego po cementowej podłodze.

–Gdybym pana nie widział, nie kazałbym się panu wynosić, no nie?

–Oczywiście, że nie... – Mężczyzna przerwał, zastanowił się, a potem dodał: – Podejrzałem, że mnie zobaczyłeś, kiedy wczoraj wypadłeś z klasy, zanim cokolwiek się

stało. Z przyjemnością stwierdzam, że nie ma wielu takich jak ty. Ludzi, którzy widzą.

–Myślę, że powinniśmy pójść na policję, nie sądzi pan? – stwierdził Jim.

–Policja? I na co to się zda? Nie zdołaliby mnie zobaczyć.

–W tej kotłowni zginął chłopiec, a pan był ostatnią osobą, która go widziała.

–Mówisz o Elvinie? O biednym Elvinie? Nie znałem go zbyt dobrze.

Parafrazował Hamleta.

–Nie drwij z niego – warknął Jim, chociaż ten człowiek drwił także z niego jako nauczyciela angielskiego.

–Nie muszę z niego drwić – odparł tamten. – Sam z siebie zadrwił. Zadrwił ze swojej rasy.

–I dlatego go zamordowałeś?

Mężczyzna przez chwilę milczał, a potem wyciągnął obie ręce do Jima.

–Powinniśmy zostać przyjaciółmi – oświadczył. – Przydałby mi się przyjaciel mający

dar widzenia, przyjaciel, który naprawdę mnie widzi.

–O czym ty mówisz, do diabła? – spytał Jim.

–Och, daj spokój, wiesz przecież, o czym mówię. O ludziach, którzy widzą. Dzieci upuszczone na główkę. Mężczyźni uwolnieni z wraków samochodów. Kobiety, które rodziły

w toaletach i prawie wykrwawiły się na śmierć. Oni wszyscy widzieli, ale nie zawsze

pojmwali, co widzą – nawet jeśli nie doznali uszkodzeń mózgu. W przeciwieństwie do

ciebie, panie Rook. Ty widzisz, i w dodatku jesteś mądry. Przydałby mi się taki przyjaciel jak ty.

–Kim jesteś? – zapytał Jim. Trząśł się z wściekłości, ale nie odważył się podejść bliżej do nieznajomego.

Zapadła długa cisza, a potem mężczyzna powiedział:

–Ktoś musi zachować wiarę, panie Rook. Ktoś musi dopilnować, by nie zgasły lampy.

Niektórzy powiadają, że powinniśmy przebaczyć i zapomnieć, ale ja tak nie uważam.

Postać nieznanego zdawała się drgać w powietrzu. Nagle, w kompletnej ciszy, mężczyzna odwrócił się, wszedł do gabinetu geograficznego i szybko zamknął za sobą drzwi.

Jim spojrział przez okno w drzwiach i zobaczył nieznanego odchodzącego między

rzędami ławek. Dokąd, do diabła, szedł? Nie było stąd żadnego innego wyjścia, a okna nie

dały uchylić się na tyle, aby ktoś zdołał przez nie przejść. Jim nacisnął klamkę, ale drzwi

pozostały zamknięte. Potrząsnął nimi i rąbnął pięścią w szybę, lecz tamten nie zareagował.

Nadal oddalał się w kierunku przeciwległego kąta pokoju.

Jednak im bardziej się oddalał, tym bardziej wysoki się wydawał. Rósł, wyciągał się, jakby

perspektywa pokoju uległa odwróceniu. Zanim dotarł do połowy pokoju, miał ponad dwa

metry wzrostu, a kiedy doszedł do końca i odwrócił się, był wyższy niż stojak na mapy.

Jim przestał szarpać za klamkę i z przerażeniem patrzył na nieznanego. Widział teraz

jego twarz, uśmiechającą się do niego – była to twarz czarnego człowieka o żółtych oczach i

policzkach poznaczonych bliznami. Skóra wokół ust była tak pomarszczona, że wargi

wyglądały jak zaszyte.

Jednak najbardziej wstrząsnął Jimem wzrost mężczyzny. Jego kapelusz niemal dotykał

sufitu, a ramiona były tak długie, że mógł nimi sięgnąć do połowy ściany.

Bębnienie na pianinie nadal odbijało się echem po korytarzu; stanowiło głuchy, mechaniczny kontrapunkt okropności dziejącej się w gabinecie geograficznym.

Jim jeszcze przez chwilę spoglądał na tamtego, a potem odwrócił się i pobiegł do gabinetu

dyrektora, znajdującego się przy wyjściu z budynku. Sekretarka doktora Ehrlichmana

ustawiała kwiaty na' parapecie, kiedy Jim wpadł do pokoju. Miała blond włosy i za duże

okulary, i zawsze nosiła staromodne bluzki z koronkowymi kołnierzykami i mankietami.

–Sylvio, wezwij gliny! – zawołał Jim.

–Po co, na Boga?

–Tam jest jakiś mężczyzna... to ten sam facet, którego widziałem wczoraj.

Zamknął się

w gabinecie geograficznym. Proszę, wezwij natychmiast gliny!

Sylvia wahała się, więc Jim sam podniósł słuchawkę i wystukał numer 911.

–Tak, West Grove College – powiedział. – Proszę szybko przysłać tu kogoś,

zanim ten

facet ucieknie. A jeśli moglibyście przekazać wiadomość porucznikowi

Harrisowi... Zgadza,

się, to on prowadzi śledztwo. Tak.

Odłożył słuchawkę w chwili, gdy doktor Ehrlichman wyszedł ze swojego pokoju.

Był

mały i schludny, miał opaloną łysinę i głos Mickeya Rooneya. Zawsze nosił szare spodnie i

nienagannie wyprasowaną białą koszulę z krótkimi rękawami, a jego ulubionym słowem było

„rzeczowo”.

–Jim, co się tu dzieje? – zapytał.

–Jest tu ten facet, którego widziałem wczoraj – odparł Jim. – Ten, który wychodził

z

kotłowni, w której znalazłem Elvina.

–Wezwałś Wallechinsky’ego?

–Wezwałem policję.

–Słuchaj, dobrze płacimy panu Wallechinsky’emu i nie bez powodu. To były policjant.

Zna się na problemach bezpieczeństwa. A wiesz, jaką mamy zasadę? Nikt nie wzywa tu

policji bez mojej zgody. Wyobrażasz sobie, jaką to nam wyrobi opinię?

Wczorajszy incydent

był wystarczająco poważny... nie możemy jeszcze pogarszać sprawy.

–Doktorze Ehrlichman, w tym budynku jest człowiek, który zadał jednemu z naszych

uczniów tyle ciosów nożem, że nawet lekarz sądowy nie mógł zliczyć ran – oświadczył Jim.

–Uważa pan, że Wallechinsky może sobie z nim poradzić?

–Pan Wallechinsky jest naprawdę dobry – odparł doktor Ehrlichman. – Sylvio, zechcesz go wezwać? Sprawdźmy, czy zdołamy sami rozwiązać nasz problem.

–Ten gość nie jest normalny – powiedział Jim. Ehrlichman zdjął okulary i spojrzał na

Jima.

–Nie sądzę, abyś ty akurat mógł mówić o wyobraźni, Jim. Nikt oprócz ciebie nie widział



Wczoraj tego mężczyzny w czerni i jak dotąd nikt też nie widział go dzisiaj.

–No to chodźmy popatrzeć – nalegał Jim.

–Owszem, pójdę, kiedy przyjdzie tu pan Wallechinsky.

–Wczoraj wieczorem rozmawiałem z pewną kobietą. Ona jest kimś w rodzaju eksperta

od takich spraw. Powiedziała, że niektórzy ludzie potrafią opuszczać swoje ciała i krążyć po

świecie. I wcale nie muszą być martwi. Jednak tylko pewni ludzie potrafią ich dostrzec.

Ludzie, którzy otarli się o śmierć. To doświadczenie daje im zdolność dostrzegania rzeczy,

których większość ludzi nie może widzieć. Doktorze Ehrlichman, duchy przez cały czas krążą

wśród nas, tylko po prostu nie możemy ich dostrzec.

Doktor Ehrlichman ponownie założył okulary i spojrzał na Jima jak na człowieka, który

wyszedł na przepustkę z domu wariatów.

–Niczego nie piłeś, Jim?

–Oczywiście, że nie. A co, mam może chuchnąć?

–Niczego nie paliłeś? Nie wdychałeś?

–Jestem nauczycielem, doktorze Ehrlichman. Nie przychodzę do szkoły naćpany, pijany

czy nawet tylko zdenerwowany.

Doktor Ehrlichman nie wyglądał na przekonanego. W tym momencie pojawił się George

Wallechinsky – metr osiemdziesiąt masywnego cielska w opiętym brązowym mundurze.

Miał szeroką twarz i pozbawione wyrazu oczy, tkwiące w niej jak dwa rodzyнки w puddingu.

–George, zdaje się, że mamy nieproszonego gościa – powiedział doktor Ehrlichman. –

Pan Rook powiada, że zamknął się w gabinecie geograficznym.

Wallechinsky pociągnął nosem i odchrząknął.

–Jak dawno temu?

–Pięć minut, nie więcej.

–Czy widział go pan już wcześniej?

–Widziałem go wczoraj, jak wychodził z kotłowni tuż przed tym, zanim zginął Elvin.

Prawdę mówiąc, właśnie dlatego tam poszedłem. Chciałem zobaczyć, co się dzieje.

–Jest pan pewny, że to ten sam osobnik?

–Proszę mi wierzyć, panie Wallechinsky, nie ma drugiego takiego.

–W porządku. Chodźmy to sprawdzić. Jest pan pewny, że to nie jakiś wizytator?

**Czasem**

**przysyłają nam niespodziewanie inspekcje.**

**–Jestem pewien.**

**Wallechinsky miarowym krokiem pomaszerował korytarzem, pobrzękując kluczami u**

**pasa.**

**–Tutaj? – zapytał, zatrzymując się przed drzwiami gabinetu geograficznego.**

**Zajrzał do środka, nachylając się tak, żeby zobaczyć sufit, a potem przyciskając twarz do**

**szyby obejrzał wszystkie kąty. Chwycił klamkę, lecz drzwi były zamknięte, więc zrezygnował.**

**–Czy ten facet miał jakąś broń? – zapytał Jima.**

**–Jest tam? – dopytywał się doktor Ehrlichman.**

**–Nikogo nie widzę, panie dyrektorze, ale to wcale nie oznacza, że nikogo tam nie ma.**

**Mógł przycisnąć się do ściany lub schować za szafą, a nawet pod biurkiem nauczyciela.**

**Doktor Ehrlichman przycisnął nos do szyby.**

**–Nie – oznajmił. – Nie ma go. Jeżeli w ogóle istniał...**

**–Ten człowiek istnieje, doktorze Ehrlichman – powiedział Jim. – Nawet rozmawiał ze**

**mną.**

**–Chciałbym później pogadać z tobą, Jim – oświadczył doktor Ehrlichman. – Panie Wallechinsky, niech pan zadzwoni na policję i powie im, że to był fałszywy alarm.**

**–Wolałbym najpierw sprawdzić ten pokój, panie dyrektorze – mruknął**

**Wallechinsky.**

**Odpiął od pasa kółko z kluczami i wybrał ten, który otwierał drzwi do gabinetu geograficznego. Włożył go do zamka i obrócił.**

**–Ten pokój wcale nie był zamknięty – stwierdził ze zdziwieniem.**

**–Co to ma znaczyć, że nie był zamknięty? – zapytał Ehrlichman. Złapał za klamkę i potrząsnął nią z całej siły.**

**–Z całym szacunkiem, doktorze Ehrlichman... Po prostu te drzwi nie są zamknięte.**

**–To niech je pan otworzy.**

**Wallechinsky wyciągnął rękę do klamki, ale Jim powstrzymał go.**

**–Może ja – powiedział.**

**Wahał się przez moment, a potem bez najmniejszego wysiłku otworzył drzwi.**

**Słoneczny**

**blask wpadł na korytarz, oświetlając ich nogi. Doktor Ehrlichman miał brązowe trzewiki na**

**gumowych podeszwach, Wallechinsky błyszczące czarne buty, a Jim wytarte adidasy z**

**niebieskiego zamszu.**

Wallechinsky próbował przepchnąć się do środka, ale Jim zatrzymał go gestem uniesionej ręki, wszedł do pokoju, rozejrzał się wokół, przykucnął i zajrzał pod biurko, po czym odwrócił się i sprawdził, czy tamten nie ukrył się za szafą. I wtedy znów go zobaczył. Mężczyzna nie był już ubrany na czarno, lecz na biało, i nawet twarz miał białą – choć nadal była to twarz Murzyna. Wyglądał, jakby wytarzał się w mące lub w popiele. Nawet źrenice jego oczu były białe jak małże. Unosił się pod sufitem, wyciągnięty wzdłuż ściany, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, i patrzył na Jima tymi swoimi mlecznobiałymi oczami uśmiechając się triumfalnie. Wallechinsky wszedł do pokoju i obszedł go z gracją ślepego niedźwiedzia, zagładając za wszystkie szafki i stojaki na mapy, jakby ktoś mógł się wcisnąć w pięciocentymetrową szparę. Kiedy zobaczył, że Jim spogląda na sufit, również spojrzął w górę. –Może mi pan powiedzieć, co pan tam widzi? – zapytał. – Chyba nie szuka pan tam tego faceta? –Nie widzi go pan, prawda? – powiedział Jim. – Naprawdę go pan nie widzi? –Kogo nie widzę? –Tego człowieka, o którym mówiłem. Jest tutaj. Nieci pan patrzy. Proszę użyć wyobraźni. –Chyba nie chce pan powiedzieć, że on jest niewidzialny? Wisi pod sufitem i jest niewidzialny? Daj pan spokój, panie Rook. Czy to jakiś żart? Mężczyzna nad nimi uśmiechnął się jeszcze szerzej. Jim nie mógł oderwać od niego oczu. Był tak przerażony, że odebrało mu mowę – jednak gorsza od przerażenia była bezsilność. Przez lata nauczania w klasach specjalnych radził sobie ze wszystkim, ale z tą sprawą nie potrafił sobie poradzić. Stał na środku gabinetu geograficznego i myślał, że musi się z tym pogodzić – i to było najgorsze. Doktor Ehrlichman powiedział z rozdrażnieniem: –Skończyliście? Nie mam za dużo czasu. –Poza nami nie ma tu nikogo, panie dyrektorze – odparł Wallechinsky, ze znużeniem potrzęsając głową. –Więc zadzwońcie na policję i powiedzcie, że to był fałszywy alarm – powiedział doktor Erlichman i odwrócił się.

W tym momencie drzwi zatrzasnęły się z taką siłą, że pękła szyba i z framugi posypał się tynk. Twarz Ehrlichmana natychmiast pojawiła się w okienku. Krzyczał coś, ale Jim nie słyszał go.

Wallechinsky chwycił za klamkę i próbował otworzyć drzwi, jednak bezskutecznie. –Niech mi pan pomoże! – zawołał.

Jim zobaczył, że człowiek o białej twarzy powoli opada spod sufitu obracając się w powietrzu, i ląduje na podłodze zaledwie metr czy półtora od nich. Jego stopy bezdźwięcznie, uderzyły o podłogę. Jim cofnął się, wpadając na jedną z ławek. Mężczyzna uniósł kapelusz, z którego osypał się kurz.

–Proszę mi pomóc! – zawołał znów Wallechinsky.

Na zewnątrz Ehrlichman walił pięścią w drzwi i krzyczał: –Co się tam dzieje? Czy ktoś mi powie, co się tam dzieje? Człowiek o białej twarzy uśmiechając się sunął ku Wallechinsky’emu. Kiedy znalazł się pół metra od niego, zatrzymał się, lewą dłonią chwycił swój prawy przegub i przekręcił. Ku przerażeniu Jima jego dłoń zaczęła się obracać, aż odkręciła się całkiem. Sztuczna dłoń, wyrzeźbiona z hebanu i posypana popiołem. Jednak jej właścicielowi nie pozostał sam kikut. Z prawego przegubu sterczał długi nóż o szerokiej klindze, który wydawał się osadzony w kości ręki.

Lśnił w słońcu, a mężczyzna o białej twarzy uśmiechając się drwiąco machał nim tuż przed nosem Wallechinsky’ego, wiedząc, że ten go nie widzi.

–George – powiedział Jim – cofnij się od tych drzwi.

–Próbuję otworzyć to cholerstwo – odparł Wallechinsky. – Nie wiem, dlaczego się zacięły.

–Odejdź od tych drzwi! Już! Natychmiast! Najszybciej jak możesz!

–Dlaczego? Myśli pan, że jest jakiś...

Jim rzucił się na człowieka o białej twarzy, usiłując zbić go z nóg, i przeleciał przez niego.

Wpadł na drzwi, rozbił je i tak mocno uderzył się w ramię, że skręcił się z bólu.

Przelatując przez białą zjawę poczuł zimny podmuch, jakby ktoś na chwilę otworzył drzwi lodówki.

Mężczyzna o białej twarzy zaśmiał się bezdźwięcznie i machnął uzbrojonym ramieniem.

Ostrze noża zaświszczało w powietrzu.

–Zostaw go – powiedział Jim. – I tak już narobiłeś dość szkód.

–Nic nie zrobiłem – zaprotestował Wallechinsky. – Najmocniej przepraszam, ale to pan rozbił te cholerne drzwi.

–Trzymaj się z daleka! – zawołał Jim cofając się.

–Nie wiem, o czym pan mówi – wymamrotał zdziwiony Wallechinsky. – Trzymać

się

z daleka od czego?

Człowiek o białej twarzy znalazł się tuż za plecami woźnego i zza jego ramienia wyszczerzył do Jima zęby w upiornym uśmiechu. Coś w jego mlecznobiałych

oczach

ostrzegło Jima.

–Słuchaj, jeśli chcesz, żebym był twoim przyjacielem, będę nim – powiedział. – Zrobię wszystko, co zechcesz.

Wallechinsky był mocno zakłopotany.

–Panie Rook, jestem żonaty. Mam żonę, która wytrzymała ze mną dwadzieścia osiem lat,

i troje dzieci...

–Nieważne, czego chcesz, zrobię to – mówił Jim.

–Panie Rook...

W tej samej chwili drzwi pękły z przeraźliwym trzaskiem, wykopane od zewnątrz, i do

gabinetu geograficznego wpadli dwaj policjanci. Człowiek o białej twarzy natychmiast

machnął nożem, kreśląc krwawą linię na prawym policzku Wallechinsky'ego. Ale woźny

chyba nic nie poczuł, bo nawet się nie skrzywił. Intruz spojrzał na Jima i powiedział:

–Złożył pan obietnicę, panie Rook. Spodziewam się, że jej pan dotrzyma. W przeciwnym

razie wrócę po tego faceta, a wtedy zobaczy pan, co można zrobić nożem.

Odwrócił się i wypłynął z pokoju, jak smuga dymu z letniego ogniska. Jim chciał go

zawołać, lecz w pokoju byli dwaj gliniarze, Wallechinsky i doktor Ehrlichman, więc uznał, że

rozsądniej będzie trzymać język za zębami.

–Jesteś ranny, koleś? – spytał jeden z policjantów, wskazując na policzek Wallechinsky'ego. Na kołnierzyk munduru woźnego spływała cienka szkarłatna strużka.

–Co? Ranny? – powtórzył zdumiony Wallechinsky i przyłożył palce do policzka. – Co

się stało, do diabła?

Doktor Ehrlichman wyjął z kieszonki na piersi czystą chusteczkę.

–Proszę to wziąć. I lepiej niech pana opatrzą.

–Jak do licha mogłem się tak skaleczyć? – pytał Wallechinsky. – Panie Rook, widział

pan, jak to się stało?

Jim potrząsnął głową.

–Nie mam pojęcia – skłamał. – Po prostu stało się, i tyle.

–No to kogo mamy tu szukać? – zapytał jeden z gliniarzy.

–Przykro mi – powiedział Jim. – Chyba pomyliłem się. Widziałem kogoś obcego i wydawało mi się, że wszedł właśnie tutaj.

–Może nam pan opisać, jak wyglądał?

–Wysoki, czarnoskóry, ubrany na czarno.

–Widział pan kogoś takiego? – zapytał Wallechinsky’ego drugi policjant.

–Nikogo nie widziałem. Tylko pana Rooka.

–I nie ma pan pojęcia, w jaki sposób się pan skaleczył?

–Mówiłem już. Nie wiem.

–Pan Rook nie zranił pana? Może przypadkowo?

–Pan Rook nawet do mnie nie podszedł.

–No dobrze – mruknął policjant. – Niech pan przemyje sobie twarz, porozmawiamy

później.

Wallechinsky wyszedł, przyciskając do policzka nasiąkniętą krwią chusteczkę doktora

Ehrlichmana. Po chwili pojawił się porucznik Harris w jaskrawoczerwonym krawacie,

spocony i wściekły.

–Co tu się dzieje? – rzucił gniewnie.

–Przepraszam – powiedział Jim. – To... nieporozumienie. Wydawało mi się, że zauważyłem tu tego człowieka w czerni, którego widziałem wczoraj przed kotłownią.

–Tego samego faceta, którego nikt inny nie widział?

Jim skrzywił się. Nie mógł powiedzieć porucznikowi, jak bardzo przeraził go ten człowiek

o białej twarzy. Jeśli potrafił unosić się pod sufitem, zmieniać barwę i ranić ludzi, którzy nie

mogli go zobaczyć, to jeden Bóg wie, do czego jeszcze był zdolny. Ale nawet gdyby Jim

opowiedział o wszystkim, nie było szans, żeby porucznik Harris mu uwierzył.

–Czy pomyślał pan o tym, żeby porozmawiać z kimś o tym facecie, którego pan widział?

–zapytał porucznik.

–O co panu chodzi?

–No... – Harris chrząknął z zakłopotaniem – mówię o psychologu albo o psychiatrze.

–Myśli pan, że mam halucynacje?

–Nie wiem, co myśleć, panie Rook. Jest pan nauczycielem i z tego, co słyszę, powszechnie szanowanym nauczycielem. Ale uczy pan trudne dzieci, prawda?

Może jest pan

w stresie. Wie pan, ludziom w stanie stresu często przychodzą do głowy najdziwniejsze pomysły.

–Nie jestem w stresie, proszę mi wierzyć. Moja klasa jest wspaniała. Nic mi nie jest.

Porucznik Harris wzruszył ramionami.

–W porządku, nic panu nie jest. Nie będzie mi pan miał za złe, jeśli zapytam, czy stosuje

pan jakieś używki?

–Czasem popalam.

–Palił pan wczoraj?

–Nie. Nigdy nie robię tego w szkole. Tylko wieczorami w weekendy i jedynie raz lub

dwa na miesiąc.

–A zatem wczoraj nie palił pan?

–Nie.

–Wie pan, że z łatwością mogę to sprawdzić...

–Niech pan posłucha, poruczniku – powiedział mu Jim. – Nie jestem pod wpływem stresu ani narkotyków, ani niczego innego. Wczoraj widziałem to, co powiedziałem.

Dzisiaj... no cóż, powiedzmy, że byłem trochę rozkojarzony.

Porucznik Harris patrzył na niego długo w milczeniu. Kropla potu spłynęła mu po policzku. Otarł ją wierzchem dłoni.

–No dobrze, panie Rook. Może porozmawiamy później.

Po przerwie śniadaniowej uczniowie Jima zebrali się ponownie. Jim wszedł do klasy

wcześniej, czego nigdy nie robił, i czekał już na nich.

Kiedy zajęli miejsca, wstał i przeszedł na koniec klasy.

–Zanim zaczniecie czytać – powiedział – chciałbym zapytać, czy któreś z was wierzy

w duchy.

John Ng natychmiast podniósł rękę.

–Mój dziadek jest duchem – oświadczył.

Reszta klasy przyjęła to gwizdami i przeciągłym „uuuuuu!”, lecz Jim pozostał poważny.

–Czy widziałeś swojego dziadka?

–Nie, ale ojciec mówił mi, że widział go, kiedy miał kłopoty. Dziadek stanął wtedy w

nogach łóżka i przypomniał mu przysłowie o złotym karpniu próbującym płynąć

pod prąd.

Miał na sobie pomarańczowe szaty i pomarańczową maskę.

–Ja też wierzę w duchy – powiedziała Rita Munoz. – Sama widziałam jednego.

–Mów – zachęcił ją Jim.

–Kiedy byliśmy mali, chodziliśmy do takiego domku na plaży Santa Monica i za

każdym

razem, gdy tam szliśmy, widzieliśmy wychodzącego z niej chłopca z deską

surfingową pod

pachą. To był zawsze ten sam dzieciak. Potem zniknął w tłumie i widzieliśmy go

dopiero

następnym razem. Spytaliśmy o niego ratownika, a kiedy opisaliśmy go

dokładnie, ratownik

powiedział, że to chłopiec, który utonął tu jakieś siedem lat wcześniej. Wyszedł z

domku na

plaży, wszedł do morza i dwa dni później znaleźli jego ciało pod molo.

–To okropne – stwierdziła Sherma.

–A ja uważam, że to wspaniałe – oświadczył Ricky. – To, że ten chłopiec, mimo że jest martwy, codziennie może sobie popływać na desce.

–J-j-ja n-n-nie w-w-w-wierzę w d-d... – zaczął David Uttwin.

Natychmiast rozległ się chór drwiących głosów, ale Jim podniósł rękę i klasa

zrozumiała,

że nie ma zamiaru tolerować żadnych drwin, nie dziś.

–Myślę, że kiedy umieramy, t-to nasz d-d-uch od-od-radza się w kimś innym. Albo

cz-

czymś innym – dokończył David.

–Hej, Littwin, lepiej nie odradzaj się jako komentator sportowy – poradził mu

Mark.

–Zamknij się – uciszył go Jim. – Wielu ludzi wierzy w reinkarnację... przede wszystkim buddyści. Teraz zrobimy kolejny krok. Czy ktoś wierzy, że niektórzy

ludzie

potrafią widzieć duchy, a inni nie?

–Chce pan powiedzieć, że ten facet, którego pan wczoraj widział, był duchem?

–Nie jestem pewien, czym on był. Jednak chyba widziałem go także dzisiaj i wcale

nie

zachowywał się jak człowiek.

–Pan Rook w końcu ześwirował – orzekł Ricky. – Chyba za długo nas pan uczył.

Jim uśmiechnął się, a potem dodał:

–Pozwólcie, że opowiem wam, co się stało... Wrócił na środek klasy i podszedł do tablicy, zamierzając narysować czarno odzianego mężczyznę unoszącego się pod

sufitem, ale

kiedy uniósł kredę, dostrzegł, że coś poruszyło się w małym okienku w drzwiach.

Odwrócił się i poczuł zimny dreszcz przebiegający po plecach. W okienku ujrzał

twarz



tamtego człowieka – teraz znów czarną, jak wtedy, kiedy zobaczył go po raz pierwszy.

Mężczyzna przyciskał palec do ust, jego żółte oczy patrzyły groźnie jak ślepią jadowitego węża.

Jim zawahał się, a potem wrzucił krede z powrotem do puszki.

–Dajmy temu spokój – powiedział. – To nie nasza sprawa. Wróćmy do lektury, dobrze? Russell, może ty? „W drodze”, rozdział dziesiąty, od początku.

go  
Nie spojrział ponownie w okienko, chociaż zdawał sobie sprawę, że tamten nadal obserwuje. Po kilku chwilach nieznajomy zniknął. Jim natychmiast podszedł do drzwi,

otworzył je i wyjrzał, ale korytarz był pusty.

## ROZDZIAŁ IV

Puścił klasę godzinę wcześniej i wyszedł ze szkoły, żeby pojechać do rodziców Elvina.

Właśnie szedł przez parking dla personelu, kiedy usłyszał wołającego go doktora Ehrlichmana.

–Jim! Już wychodzisz?

–Jadę odwiedzić rodziców Elvina. Mam im przekazać kondolencje od całej klasy. Ehrlichman położył mu rękę na ramieniu.

–Jim... wiem, że to było dla ciebie dramatyczne przeżycie, ale uważam, że przede wszystkim powinieneś zachować kontakt z rzeczywistością.

–To zależy, co pan uważa za rzeczywistość, doktorze Ehrlichman. Każdy z nas ma swoją własną rzeczywistość albo nawet kilka i czasem trudno orzec, której należy się trzymać.

–Przykro mi, Jim, ale nie zamierzam toczyć tu filozoficznej dysputy. Przyszedłem powiedzieć ci, że jeśli takie incydenty jak dzisiejszy powtórzą się, będę zmuszony rozważyć

decyzję zawieszenia cię w obowiązkach i zmuszenia cię do poddania się, hmm... badaniom

psychiatrycznym.

Jim dotarł do swojego samochodu. Był to Rebel SST polakierowany na pomarańczowo.

–Rozumiem. Pedagog nie może być tak samo stuknięty jak uczniowie, prawda?

–„Stuknięty” nie jest określeniem, jakiego używamy w odniesieniu do West Grove College... nawet wobec twojej klasy specjalnej. Ale chcę mieć pewność, że jesteś zdrowy na

umyśle i nie będziesz widział wszędzie jakichś widmowych intruzów oraz wzywał bez

potrzeby policji. Uczniowie są najważniejsi, Jim. Uczniowie i dobre imię West Grove.

–Zdaję sobie z tego sprawę. Już pan więcej nie usłyszysz o ludziach w czerni.

Zamierzał dotrzymać tej obietnicy... Jego nowy przyjaciel dał mu przerażająco jasno do

rozumienia, że nie chce, aby Jim rozmawiał z kimkolwiek na jego temat.

Doktor Ehrlichman wydawał się zadowolony. Poklepał Jima po plecach i odszedł, świecąc

łysiną w blasku dnia. Tymczasem pojawiła się Susan Randall, niosąc naręczkę książek. Miała

włosy upięte z tyłu i białą bluzkę bez rękawów, z szerokimi klapami.

–Nie jedziesz czasem gdzieś na południe od bulwaru Santa Monica, co? – zapytała.

–Jadę. Podwieźć cię?

–Byłabym ci wdzięczna. Mój samochód jest w naprawie, a niezbyt cieszy mnie

**perspektywa przewożenia wszystkich tych książek autobusem.**

**Jim otworzył jej drzwi i wsiadła. Do tej pory nie zauważył, że nosi złoty łańcuszek**

**na**

**nodze.**

**–Uważaj na spódniczkę – powiedział. – Żebyś nie przytrzasnęła jej sobie drzwiami. Przejechali przez bramę szkoły i skierowali się na południowy wschód Westwood Boulevard.**

**–Wspaniały samochód – orzekła Susan. – Uwielbiam antyki.**

**–Ten wóz rzeczywiście jest antykiem. Był złodem jako nowy i złodem pozostał.**

**–Ale ma wspaniały kolor, prawda?**

**Jim wzruszył ramionami. Nie był w nastroju do pogawędki o samochodach. Susan obserwowała go przez chwilę, a potem powiedziała:**

**–Musi być ci bardzo przykro z powodu Elvina.**

**–Jest mi bardzo przykro z powodu ich obu, Elvina i Tee Jaya.**

**–Naprawdę uważasz, że Tee Jay tego nie zrobił?**

**–Nie wiem. Mógł to zrobić. Miał czas i jakiś tam motyw. Jednak nie wierzę, żeby to zrobił.**

**–Ponieważ widziałeś tego człowieka? Mężczyznę w czerni?**

**–Wybacz mi, Susan. Nie mogę teraz o tym mówić. Najpierw muszę wyjaśnić kilka spraw.**

**–W porządku, jak chcesz. Ale wczoraj wydawałeś się taki pewny swego...**

**Jim nie odpowiedział. Stali na światłach przy Wilshire, a on nie potrafił myśleć o**

**niczym**

**innym prócz czarnej twarzy gapiącej się na niego przez okienko w drzwiach do**

**klasy i palcu**

**przyciśniętym do ust.**

**Kiedy zapaliło się zielone światło, Susan powiedziała:**

**–Jeszcze nie mieliśmy okazji poznać się bliżej, prawda?**

**–Chyba nie. Wciąż praca, praca i praca.**

**–Ron Philips powiedział, że doskonale znasz się na starych mapach.**

**Jim odwrócił się i spojrzał na nią zdziwiony.**

**–Ron Philips tak powiedział?**

**–Właśnie. Twierdził, że masz jedną z najlepszych kolekcji starych map, jaką kiedykolwiek widział.**

**Sukinsyn, pomyślał Jim. Dowcipniś. Uduszę Rona, jak tylko go zobaczę. Jedyna**

**stara**

**mapa, jaką posiadał, to wysmotruchany plan centrum Los Angeles leżący w**

**schowku na**

**rękawiczki.**

**–Fascynują mnie stare mapy – ciągnęła Susan. – W zeszłym roku kupiłam**

**szesnastowieczną mapę osad hugenockich w Karolinie, ale to tylko reprodukcja.**

**Autentyki są**

**takie kosztowne, prawda? Ron powiedział, że masz ich setki.**

–No, niezupełnie. Prawdę mówiąc...

–Bardzo chciałabym je zobaczyć – oznajmiła, dotykając jego ramienia. – Może mogłabym kiedyś wpaść?

To dotknięcie przesądziło sprawę.

–Byłoby mi bardzo miło – powiedział, myśląc jednocześnie: ja to mam szczęście, najatrakcyjniejsza kobieta w szkole właśnie wprosiła się do mnie w wyniku

głupiego żartu

jakiegoś dupka.

–Może w sobotę? – nalegała Susan. – Mogłabym przynieść coś do jedzenia z chińskiej restauracji.

–W sobotę? Najbliższą sobotę, pojutrze? Sam nie wiem. Będę musiał sprawdzić w notesie. Poza tym wszystkie naprawdę cenne mapy trzymam w skrytce bankowej.

–Masz coś naprawdę cennego? – zapytała z błyskiem w oku. – Na przykład co?

–Nie wiem. Jest ich tak wiele...

–Wymień chociaż jedną.

–No... – zaczął. – Mam mapę wyprawy Martina Frobishera na Grenlandię z tysiąc pięćset siedemdziesiątego siódmego roku, kiedy usiłował odnaleźć drogę do Chin.

A w duchu pomyślał: dzięki Bogu, że znam trochę historię.

–Och, koniecznie muszę ją zobaczyć – oświadczyła Susan. – Na pewno kosztowała cię fortunę.

–Tak, owszem. Istnieją tylko trzy kopie, a jedna z nich jest prawdopodobnie fałszywa.

Niestety nikt nie wie która.

Zapuszczasz się na głębokie wody, pomyślał. Lepiej nie mów nic więcej.

Stał przed eleganckim białym domem Susan przy Alamo Avenue i pomógł jej zanieść

książki do drzwi. Spryskiwacze właśnie się wyłączyły i chodnik był jeszcze; mokry.

–Masz ochotę na drinka? – zapytała.

–Nie... przykro mi, ale obiecałem państwu Clay, będę u nich o czwartej.

–W porządku – uśmiechnęła się. – Zobaczymy się jutro – powiedziała i pocałowała go w policzek.

Stał gapiąc się na nią, jakby zapomniał swojej kwestii. To nie była sztuka, a on nie był

aktorem, ale po prostu nie wiedział, co teraz powiedzieć.

–A więc do jutra? – powtórzyła.

–Jasne, do jutra.

Kiedy odwracał się, wpadł na mokry krzak.

–Nie będę musiał brać prysznic – stwierdził.

Strząsając krople z koszuli i spodni, poszedł do samochodu. Zanim wsiadł,

**pomachał na**

**pożegnanie Susan, a ona odpowiedziała mu tym samym. Czuł się wspaniale.**

**Jakby jego płuca**

**zapomniały, jak należy oddychać. Nie czuł czegoś takiego od tak dawna, że musiał opuścić**

**osłonę przeciwsłoneczną i przejrzeć się w lusterku, by się upewnić, że to naprawdę on.**

**Ponownie spojrzął na dom Susan, ale dziewczyna zdążyła już wejść do środka i zamknąć**

**drzwi.**

**–Mapy – mruknął do siebie. – Gdzie można dostać kilka tych przeklętych map?**

**W znajdującym się na pierwszym piętrze mieszkaniu zasłony były zaciągnięte i państwo**

**Clay siedzieli w półmroku. Drzwi otworzyła Jimowi poważna dziewięcioletnia dziewczynka z**

**kucykami przewiązаныmi wstążkami z białej aksamitki i w śnieżnobiałej sukience.**

**W kuchni**

**siedzieli krewni, pijąc kawę i rozmawiając ściszymi głosami. Nad kanapą wisiało duże**

**zdjęcie Elvina, udrapowane czarną krepą, a obok krucyfiksu trójwymiarowa reprodukcja**

**„Ostatniej Wieczery”.**

**Jim podszedł do pani Clay i objął ją współczująco. Poczuł, jak jej łzy moczą mu gors**

**koszuli. Potem obydwoma rękami uścisnął dłoń pana Claya.**

**–Będzie nam bardzo brakować Elvina – powiedział. – Wszyscy jego koledzy z klasy**

**przesyłają wyrazy współczucia i wszyscy chcą, aby państwo wiedzieli, że myślimy o was.**

**–To pan go znalazł, tak? – zapytał Grant Clay. Był niskim, krępy męczyzną o stalowo siwych włosach. Miał na sobie odświętną białą koszulę i czarny krawat.**

**Mówił jak**

**człowiek wykształcony i zachowywał się bardzo godnie.**

**–Tak, to ja go znalazłem – odparł Jim.**

**–Jeszcze żył, prawda? Tak powiedział mi porucznik policji.**

**–Tylko przez chwilę, panie Clay. Umarł, gdy do niego dotarłem.**

**–I nic nie powiedział? Ani słowa?**

**Jim potrząsnął głową. Elisabeth Clay chwyciła go za rękę i spojrzała na niego załzawionymi oczami.**

**–Dlaczego tak musiało się stać, panie Rook? Co takiego Elvin zrobił? Nie był zbyt mądry, wiem, ale był za to bardzo pracowity. Był także dobry i uczciwy, jak**

**prawdziwy**

**chrześcijanin.**

–Nie wiem, dlaczego tak się stało, pani Clay. Chyba zawsze, kiedy umiera młody człowiek, jego rodzice zadają to pytanie. I chyba zawsze otrzymują tę samą odpowiedź:

znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Czasem myślę, że Bóg nie widzi,

co się dzieje, a potem jest już za późno.

–O ile wiem, Elvin i Tee Jay byli dobrymi przyjaciółmi – powiedział Grant. –  
Lubiłem

Tee Jaya. Zawsze był uprzejmy, mówił „proszę pana” i „proszę pani”, a raz nawet zabrał

Elvirę na plażę. To nasza córka. Ma teraz jedenaście lat i tylko ona nam została. Elisabeth nie

może mieć więcej dzieci. Zresztą żadne następne dziecko nie mogłoby zastąpić nam Elvina.

–Czy pan wierzy, że zrobił to Tee Jay, panie Rook? zapytała Elisabeth.

–Powiedzmy, że mam pewne wątpliwości – zaczął Jim. – Ale na razie nie mogę o tym

mówić, przynajmniej dopóty, dopóki bada tę sprawę policja.

Z kuchni wyszła tęga, ładna kobieta w czarnej sukni i czarnym kapelusiku i zapytała:

–Ma pan ochotę na kawę i kawałek placka owocowego?

–Chętnie napiję się kawy.

Grant podszedł do portretu Elvina i wpatrzył się weń, jakby chciał zmusić go do mówienia.

–Przez ostatnie trzy miesiące Tee Jay i Elvin rzadko się spotykali poza szkołą. Wydaje

mi się, że Tee Jay miał jakieś kłopoty w domu... Wie pan, to jedna z tych rzeczy, którym nie

poświęcamy zbytnej uwagi, przypominamy sobie o nich dopiero wtedy, kiedy wydarzy się

jakaś tragedia.

–Czy domyśla się pan może, na czym polegały kłopoty Tee Jaya?

–Policja pytała mnie już o to, ale nie mam pojęcia. Jakie kłopoty ma zazwyczaj siedemnastolatek? Najczęściej są to konflikty z rodzicami. Chce iść na prywatkę i zostać na

niej do późna, nie ma ochoty robić tego, co mu każą, próbuje eksperymentować z alkoholem i

narkotykami. Nie mam pojęcia, co to mogło być, wiem tylko, że Elvin nie spotykał się już z

Tee Jayem tak często.

W drzwiach stała dziewczynka w czarno-białej bawełnianej bluzce, przysłuchując się

rozmowie. Kiedy Grant zamilkł, powiedziała:

–Elvin mówił mi, że Tee Jay stał się zbyt religijny. Elisabeth wyciągnęła rękę.

–Chodź tu, kochanie. Panie Rook, to Elvira, siostra Elvina. Córeczko, ten pan to nauczyciel Elvina.

–Miło mi cię poznać, Elviro – rzekł Jim. – Przyszedłem powiedzieć twoim rodzicom,

jak nam przykro z powodu śmierci Elvina.

–Elvin dużo o panu opowiadał – odparła dziewczynka. – Twierdził, że czasem jest pan

zupełnie zwariowany, ale nauczył go pan więcej niż ktokolwiek inny.

–Co miałaś na myśli mówiąc, że Tee Jay stał się zbyt religijny?

–Ja też nie bardzo to zrozumiałem – wtrącił pan Grant. – Jak ktoś może być zbyt religijny? Cała naszą rodziną regularnie uczęszcza do kościoła, a Elvin śpiewaj

także w

chórze.

–Nie chodziło o taką religię – oświadczyła Elvira.

–A o jaką? – spytał Jim.

–Kiedyś słyszałam, jak Elvin i Tee Jay spierali się. Tee Jay namawiał Elvina, żeby odgryzł głowę kurczakowi. Powiedział, że kiedy napiją się jego krwi i odmówią

kilką

modlitw, nigdy nie umrą.

–Dlaczego nie powiedziałaś nam o tym? – zapytała z wyrzutem Elisabeth.

–Nie mogłam. Elvin i Tee Jay przyłapali mnie na podsłuchiwanie i musiałam

przysiąc,

że nic nie powiem, bo inaczej przyjdzie dym i zabierze mnie.

–Dym? Jaki dym?

–Nie wiem. Ale Tee Jay powiedział to w taki sposób, że bardzo się przestraszyłam

i

dlatego nic nie mówiłam.

–W porządku – oświadczył Jim. – Dobrze zrobiłaś, że nam o tym teraz

powiedziałaś.

Może przyniesiesz mi kawałek placka?

Elvira wróciła do kuchni, a Jim odwrócił się do Granta i zapytał:

–Czy coś to panu mówi? Zabijanie kurczaków? Dym...? – Urwał i po chwili dodał:

–

A może kruki, lustra i świece? Albo wdychanie proszku?

Grant niespokojnie zerknął na żonę.

–To nieodpowiednia chwila na rozmowy o takie rzeczach – stwierdził. – I

nieodpowiednie miejsce. Jesteśmy wierzący, panie Rook. Nie tolerujemy

bluźnierstw.

–A więc wiecie, o czym mówię?

Elisabeth spojrzała na niego, ale Jim nie zdołał niczego wyczytać z jej twarzy.

Jednak

Grant odparł:

–Tak. Wiem, o czym pan mówi. O zabijaniu kur, aby zadowolić duchy. Mówi pan o krukach, które czasem są ptakami, a czasem ludźmi. O lustrach... takich lustrach, które nie odbijają twarzy.

–Przestań – odezwała się Elisabeth. – Nie powinieneś mówić takich rzeczy... nie teraz, nie przed zdjęciem Elvina.

–Może wobec tego moglibyśmy porozmawiać gdzie indziej? – zapytał Jim. Grant zawahał się, ale Jim dodał z naciskiem: – Sądzę, że to ważne, panie Clay. Może

jest już za

późno dla Elvina, ale nie dla Tee Jaya.

–Wyjdźmy na balkon – zaproponował Grant.

Tak też zrobili, zasuwając za sobą drzwi. Grant oparł się o poręcz i spojrzał w dół, na małe

betonowe podwórko. Małe dzieci bawiły się w piaskownicy, a grupka nastolatków siedziała

paląc i słuchając techno-rocka z ogromnego radiomagnetofonu.

–Czego te dzieciaki mogą oczekiwać oprócz tego? – zapytał Grant. W jego głosie nie

było żalu, ale nie było też potępienia.

–Mówił pan o religii Tee Jaya – przypomniał mu Jim.

–Nie wiem o tym zbyt wiele, ale to coś w rodzaju voodoo. Kiedy byłem chłopcem, dziadek opowiadał mi o tym, gdy chciał mnie przestraszyć. Mówił o proszku,

którym kapłan

dmucha ci w twarz, żebyś wydawał się trupem, choć nim nie jesteś. Można cię wtedy kłuć

szpilkami, a ty czujesz to, ale nie możesz krzyczeć. Potem grzebią cię żywcem.

–I wierzy pan w to?

–Ja tylko powtarzam, co mówił mi dziadek.

–No dobrze. A co z dymem, o którym opowiadała Elvira?

–Dziadek wspominał i o dymie, ale nigdy nie mogłem tego zrozumieć. Mówił:

„Dym

zawsze może cię znaleźć i zawsze może cię skrzywdzić – jak prawdziwy dym może zadusić

cię na śmierć. A co ty możesz mu zrobić? Nic. Jest tutaj i nie ma go. Możesz go dostrzec i

wywąchać, ale nie zdołasz go dotknąć. Strzeż się dymu, powiadał.

–Ale nie wie pan, czym naprawdę jest ten dym?

–Nie, panie Rook, nie wiem. I przysięgam przed Bogiem, że wolę nie wiedzieć.

–No cóż, dziękuję, że mi pan o tym powiedział – rzekł Jim. – Zaczynałem już myśleć,

że tracę rozum.

Grant spojrzał na niego mrużąc oczy.

–Pan coś wie o śmierci Elvina, prawda? Coś, co wiąże się z tym całym voodoo.



**Może mi**

**pan o tym powiedzieć?!**

**–Przykro mi, ale na razie nie mogę.**

**–Nie może pan czy nie chce?**

**–Panie Clay... Wiem niewiele więcej od pana. Jedną widziałem rzecz, które nie są normalne, i sądzę, że wiąże się ze śmiercią Elvina. Zrobił pan najlepszą rzecz, jak**

**mógł zrobić:**

**skierował mnie pan na właściwy trop. Obiecuję, że jeśli dowiem się, kto zabił**

**Elvina, będzie**

**pan pierwszą osobą, której o tym powiem.**

**–W porządku – odparł Grant.**

**Drzwi balkonu rozsunęły się i Elvira z uśmiechem powiedziała do Jima:**

**–Pańskie ciasto czeka, panie Rook.**

**–Dziękuję, Elviro – rzekł Jim i wszedł za Grantem do środka. Jednak kiedy zerknął**

**za**

**okno, wydało mu się, że w zaśmieconym rogu podwórka, między huśtawkami i**

**garażami,**

**dostrzegł jakiś cień. Usiłował skupić na nim wzrok, ale garaże były za daleko.**

## ROZDZIAŁ V

Stracił przeszło dwadzieścia minut, zanim odnalazł dom Jonesów stojący na trójkątnym

skrawku pokrytego chaszczami terenu przy ruchliwej szosie. Dolatujący z niej hałas zagłuszał

myśli, a powietrze było gęste od smogu.

Przed domem znajdował się niewielki spłachetek suchej trawy, prawie cały zajęty przez

wrak brązowego buicka riviery bez kół, ustawionego na cementowych pustakach.

Mały

czarny chłopczyk zawzięcie pedałowal tam i z powrotem na trójkołowym rowerku.

Z nosa

ciekły mu błyszczące strużki, które co chwila zlizywał. Jim miał ochotę dać mu chusteczkę,

ale jedna chusteczka nie rozwiązałaby problemu. Widywał siedmio- i ośmioletnie dzieci

jawnie palące papierosy, które dostawały od rodziców. Czym była przy tym ta odrobina

smarków?

Podszedł do frontowych drzwi i zadzwonił, chociaż drzwi były uchylone. Ich zielona farba

była wyblakła i złuszczone, a szyba jednego z okien zbita. Z wnętrza dolatywał zapach

smażonego kurczaka i monotony łomot prymitywnej muzyki.

Odczekawszy chwilę, wszedł do środka. Dom był nędzny, lecz zadbany, z szydełkowymi

serwetkami na każdym stoliku i pokrowcami na oparciach wszystkich foteli.

Ściany

pokrywały kolorowe fotografie ciotek, wujków i kuzynów oraz kiczowate obrazy przedstawiające dzikie afrykańskie zwierzęta u wodopoju.

Jim przeszedł korytarzem do kuchni, w której chuda kobieta w okularach i zielonej

sukience kroila paprykę. Kiedy lekko zastukał w drzwi, podniosła głowę zaniepokojona.

Niewątpliwie była matką Tee Jaya: odziedziczył je oczy, nos i zdecydowany kształt szczęki.

–Pan Rook! – zawołała. – Co pana tu sprowadza?

–Jak się pani ma, pani Jones? Wpadłem sprawdzić, jak się pani miewa.

–Dobrze, o ile może tak powiedzieć ktoś, kogo syn jest oskarżony o zabójstwo swojego

najlepszego przyjaciela.

–Widziała się pani z nim?

–Dzisiaj rano, na posterunku policji. Szukali dla niego prawnika.

–Jak wygląda?

–Właściwie tak samo jak zwykle – odparła pani Jones, zsuwając pokrojoną paprykę do

miski. – Nie powiedział więcej jak dwa słowa.

–Chciałbym, żeby pani wiedziała, że wcale nie uważam, by Tee Jay to zrobił.

–Wygląda na to, że tylko pan tak uważa – odparła kwaśno.

–Wcale nie. Większość jego kolegów też tak myśli, chociaż niektórzy wspominali, że

Tee Jay ostatnio zachowywał się trochę dziwnie.

–„Dziwnie” to mało powiedziane – odparła pani Jones. – Przez ostatnie trzy czy cztery

miesiące nie dało się z nim żyć. Wracał późno w nocy, pyskował do mnie.

Przestawał z

najgorszymi szumowinami.

–Chce pani powiedzieć, że zachowywał się jak każdy normalny osiemnastolatek?

–Możliwe. Ale usiłuję sama utrzymać rodzinę, łapiąc każdą pracę, jaką ześle mi

Bóg, i

ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to bunt, przekleństwa i trzaskanie drzwiami. Po prostu nie

chcę tego. Kiedy odwróciła się do Jima, zobaczył w jej oczach łzy.

–I nie chcę, żeby mój syn siedział w więzieniu, oskarżony o morderstwo pierwszego

stopnia – dodała.

–Pani Jones, jeśli nie chce pani teraz rozmawiać... Nagle hałaśliwa muzyka ucichła i

pojawił się starszy brat Tee Jaya, Anthony, w podkoszulku z emblematem Dodgersów i

obszernych bermudach. Był jeszcze wyższy i szerszy w barach niż Tee Jay.

Położył wielką

dłoń na ramieniu matki.

–Cześć, Anthony – powiedział Jim. – Wpadłem sprawdzić, czy waszej mamie czegoś

nie potrzeba. Znalazłeś już jakąś pracę?

–Zaczynam w poniedziałek, panie Rook. Będę pracował w Santa Monica. Niewiele płacą, ale zawsze to lepsze niż nic.

–Mam nadzieję, że nadal czytasz... żeby utrzymać umysł w formie.

–Och, pewnie. Właśnie skończyłem „Syna swego kraju”.

–Widziałeś się z Tee Jayem?

Anthony potrząsnął głową.

–Tee Jay i ja niezbyt się ostatnio zgadzaliśmy. Prawdę mówiąc, Tee Jay ostatnio z nikim

się nie zgadzał. Dlatego odszedł.

Jim zmarszczył brwi.

–Chcesz powiedzieć, że już tu nie mieszka?

–Właśnie. Od trzech miesięcy.

–A gdzie mieszka?

–Przy Venice Boulevard. U wujka, starszego brata naszego ojca. Między innymi z

tego

powodu się pokłóciliśmy. Wujek był przez wiele lat za granicą, pracował w Nigerii,

Sierra

Leone i innych miejscach, a potem wrócił i nagle pojawił się u nas. Wie pan, ja,

mama i reszta

rodziny wcale za nim nie przepadamy, ale Tee Jay z jakiegoś powodu bardzo go

polubił.

Zaczął odwiedzać go dwa lub trzy razy w tygodniu i od tego zaczęły się wszystkie

kłopoty. W

końcu kłótnie stały się tak zawzięte, że mama kazała mu spakować manatki i

wynieść się do

diabła. I oczywiście poszedł prosto do wujka Umbera. Jim zastanawiał się chwilę,

a potem

powiedział:

–Opowiedz mi o tym twoim wuju Umberze. Dlaczego ty i reszta rodziny tak go nie lubicie?.

–Powinien pan go zobaczyć, wtedy by pan zrozumieli Jest... no... naprawdę

trudny,

jeżeli rozumie pan, co mam na myśli. Wchodzi i wypełnia cały dom. I wciąż gada o

dziedzictwie rasowym i afrykańskich tradycjach. Wie pan, taki, bełkot. A jeśli

spróbujesz się

z nim nie zgodzić, staje się napastliwy i traktuje cię jak zdrajcę.

–Chyba chciałbym spotkać się z tym waszym wujkiem Umberem.

–Lepiej nie, panie Rook, niech mi pan wierzy – powiedziała pani Jones. – Na pana miejscu zostawiłabym go w spokoju.

–Mimo wszystko chciałbym z nim porozmawiać. Czy macie jego adres?

Anthony oderwał róg papierowej serwetki i zapisał adres wuja Umbera.

–To krzykacz, wie pan? Niech pan nie bierze go zbyt poważno.

–Mówi się „poważnie” – poprawił go Jim.

–Racja – odparł Anthony.

Mieszkanie wuja Umbera w pobliżu Venice Boulevard okazało się jednym z

czterech

lokali nad „Dollars Sense”, małym tanim supermarketem przy nędznej uliczce

zastawionej

dziesięcioletnimi samochodami i przepełnionymi pojemnikami na śmieci. Górne

piętra

budynku pomalowano na białą, ale kiedyś były jasnozielone, co ukazywała farba

obłaząca z

liszajowatego muru.

Przy drzwiach był domofon i trzy przyciski, jeden bez żadnej tabliczki, drugi z napisem

Puchowski i trzeci „U. M. Jones”. Jim nacisnął go i czekał.

Nikt nie odpowiadał, więc nacisnął ponownie, a potem jeszcze raz. Wreszcie głęboki,

ochryply głos zapytał:

–Kto tam?

–Pan Jones? Nazywam się Rook, Jim Rook. Jestem nauczycielem Tee Jaya.

Pomyślałem,

że powinienem zamienić z panem kilka słów.

–Niech pan wejdzie na górę, panie Rook. Oczekiwałem pana. Mieszkam pod jedyneką.

Brzęknął dzwonek i drzwi otworzyły się, ale Jim wahał się. Oczekiwałem pana? To mu się

nie podobało. Może powinien zrezygnować z tego spotkania i zostawić pana U. M. Jonesa

porucznikowi Harrisowi?

Dzwonek zabrzączał znowu.

–Wchodzi pan na górę, panie Rook, czy może coś pana niepokoi?

–Wchodzę.

Pchnął drzwi i znalazł się w mrocznym, dusznym holu oświetlonym pojedynczą neonówką

wiszącą na drutach. Wspiął się po cementowych schodach na pierwsze piętro i podszedł do

pomalowanych na czarno drzwi oznaczonych cyfrą „1”. Zapukał.

Drzwi otworzyły się prawie natychmiast i stanął w nich ten wysoki czarnoskóry mężczyzna, teraz bez kapelusza, ale w długim czarnym kaftanie. Uśmiechnął się do Jima ze

złośliwą uciechą, szczerząc zęby.

–To ty – szepnął Jim. Pożałował, że nie ma przy sobie krucyfiksu, naczynia ze święconą wodą czy czegokolwiek, co powinno bronić człowieka przed stworami z zaświatów.

–Tak, panie Rook, to ja. Niech pan nie będzie taki wstrząśnięty. W końcu jestem tylko

wujem Tee Jaya.

–O, nie. Jesteś czymś więcej. Nie wiem, kim albo czym jesteś, ale nie wmawiaj mi, że

jesteś tylko wujem Tee Jaya To ty zamordowałeś Elvina Claya.

Czarnoskóry mężczyzna lekceważąco wrzucił ramionami.

–I co zamierza pan z tym zrobić? Wezwać policję? Dokonać obywatelskiego aresztowania?

–To nie miałyby sensu, jeśli nikt inny nie może ci zobaczyć. Sam tak powiedziałeś.

Umber Jones zmarszczył brwi. Dopiero teraz Jim zauważył na jego czole szereg maleńkich śladów po samookaleczeniach, tworzących wzór strzały, której grot znajdował się między oczami.

–Nikt inny nie może mnie zobaczyć? O czym pan mówi?

–Skończ z tymi gierkami – warknął Jim. – Nikt nie może cię zobaczyć oprócz mnie, i nawet ja nie mogę cię dotknąć. Jednak to ty zamordowałeś Elvina Claya i – na Boga – zamierzam znaleźć jakiś sposób, żebyś za to zapłacił.

Wuj Umber bez słowa wyszedł na korytarz i podszedł do znajdujących się naprzeciw drzwi mieszkania numer dwa. Jim poczuł muśnięcie jedwabnego kaftana i zapach mężczyzny: tę szczególną woń, która unosiła się na szkolnym korytarzu podczas ich pierwszego spotkania.

Umber zapukał do drzwi drugiego mieszkania.

Drzwi otworzyły się, ukazując starszego mężczyznę w szarej koszulce z krótkimi rękawami, z kraciastą serwetą zatkniętą pod szyją. Miał ziemistą twarz i siwe włosy, które, chociaż przerzedzone, sterczały z tyłu głowy jak koguci grzebień.

–Co jest? – rzucił zrzędlawie. – Właśnie jem śniadanie.

–Zygmuncie – zwrócił się do niego wuj Umber z wystudiowaną cierpliwością cyrkowego magika – widzisz mnie? ‘

Stary popatrzył na niego jak na wariata.

–Co to ma znaczyć, do diabła? Oczywiście, że cię widzę. Ale w tej chwili nie mam ochoty cię oglądać, to wszystko. Chciałbym wreszcie zjeść śniadanie.

–Zanim pójdziesz, Zygmuncie, czy możesz powiedzieć temu dżentelmenowi, gdzie byłem wczoraj rano około jedenastej? – poprosił wuj Umber.

–Byłeś w swoim mieszkaniu, no nie? – odparł starszy mężczyzna. – Widziałem, jak wchodziłeś mniej więcej piętnaście po dziesiątej i jak znów wychodziłeś tuż po drugiej.

–Jesteś tego pewny? – zapytał wuj Umber.

–Oczywiście, że jestem pewny. Nie mógłbyś wyjść nie zamykając drzwi na ulicę, a kiedy słyszę ich trzask, zawsze wyglądam, żeby sprawdzić, co się dzieje.

–Właśnie – oświadczył triumfalnie wuj Umber zwracając się do Jima. –

**Najwidoczniej**

nie jestem tym człowiekiem, o którym pan mówi. Widzą mnie inni ludzie, no i poza tym nie mogłem zabić Elvina, ponieważ byłem tutaj... mam na to świadka. Nawet gdybym zdołał

wyść stąd tak, żeby nie usłyszał mnie Zygmunt, nie zdołałbym dotrzeć do West Grove

College na czas, żeby popełnić ten ohydny czyn, prawda?

Podszedł do Jima i stanął tuż przed nim. Jim wyczuł jego aurę, wibrującą i mroczną. Oczy

Umbera były żółtawe, nabiegłe krwią, jak żółtka zapłodnionych jajek. Położył dłonie na

ramionach Jima i mocno ścisnął. Zabolało, ale Jim starał się tego nie okazywać.

–Powiedziałeś, że możesz mnie zobaczyć, ale nie możesz dotknąć? – warknął wuj Umber. – A teraz czujesz mój dotyk?

–Nie przestraszy mnie pan, panie Jones – powiedział Jim. – Wiem, co widziałem i co

czułem. A raczej czego nie czułem.

–Zatem wezwij policję – zaproponował wuj Umber, zdejmując dłonie z ramion Jima

i wyciągając je przed siebie, jakby czekał na założenie kajdanków.

–Przyszedłem tutaj z powodu Tee Jaya – oświadczył Jim. – Nie z twojego. No dobrze,

być może potrafisz udowodnić policji, że tego nie zrobiłeś, ale co z Tee Jayem?

Jeżeli naprawdę jesteś jego wujem, jak możesz pozwolić, żeby odpowiadał za przestępstwo, które ty popełniłeś?

–Nie będzie – odparł wuj Umber. – Policja nie ma żadnych świadków. Nie mają nic prócz dowodów poszlakowych... oczywiście z wyjątkiem pańskiej historii o tym,

że widział pan mnie wychodzącego z kotłowni, w co ani przez chwilę nie uwierzą. Jest jeszcze coś...

–Co takiego?

–Ktoś z jego klasy przypomni sobie nagle, że widział] Tee Jaya w tym czasie, kiedy miał

zasztyletować Elvina Claya.

–O czym pan mówi, do diabła?

–O tym, że widziano go popalającego za budynkiem szkoły.

–Przecież policja rozmawiała już ze wszystkimi uczniami. Nikt go nie widział.

Wuj Umber postukał się w skroń długim, suchym palcem.

–Ten uczeń przypomni sobie, panie Rook. Przypomni. – Podsunął Jimowi pod nos otwartą dłoń i lekko dmuchnął. – Wystarczy dmuchnąć trochę proszku, panie

Rook, a przypomną sobie wszystko, co powinni pamiętać. Nawet wykrywacz kłamstw nie pomoże.

Gestem zaprosił Jima do mieszkania. W środku zapach kadzidła był tak silny, że Jim

kichnął trzy razy, zanim wszedł dalej. Przedpokój był ciemny, z oknem zasłoniętym okiennicą i ścianami pomalowanymi na ciemnoczerwono. Na jednej z nich wisiały trzy czaszki, tworząc regularny trójkąt. Miały spiralnie skręcone rogi i ostre pyski i pewnie były po prostu czaszkami oryksów, ale Jim zaczął podejrzewać, że wszystko jest możliwe. W jednym kącie, na pół zakryty przez grubą zasłonę z czarnego aksamitu, stał mahoniowy posąg nagiej kobiety z głową warczącego psa.

Wuj Umber zaprowadził Jima do pokoju stołowego, którego ściany były pokryte ponurą, czerwono – czarną tapetą. Stały tu dwie skórzane kanapy koloru zakrzepłej krwi oraz wielki stół zarzucony książkami, czasopismami, sznurkami paciorków oraz różnymi śmieciami,

takimi jak kości, pióra i ślubne welony. Jedną ze ścian pokoju pokrywały wykresy, diagramy i coś, co wyglądało jak mapa astrologiczna pokryta rysunkami skorpionów, chrząszczy i ciałek zdeformowanych dzieci.

W odległym kącie stała drewniana rzeźba siedmiu nagich ludzi, przebitych jedną długą włócznią.

–Już to widziałem – stwierdził Jim.

–Wuj Umber spojrzał na niego ze zdziwieniem.

–Widział pan ceremonię przebicia? Gdzie?

–Widziałem to na rysunku. Tee Jay namalował taki obraz na lekcji plastyki.

–Tee Jay jest bardzo ekspresyjny, panie Rook. Bardzo twórczy. A także bardzo dumny. Nie lubi wykonywać tego, co mu każą.

–Czasami, panie Jones, dla wspólnego dobra, każdy musi robić to, co mu każą.

Wuj Umber podszedł do małego antycznego stolika, wyciągnął szufladę i zaczął w niej grzebać. Po chwili wrócił, niosąc mały płócienny woreczek związany czarnym sznurkiem i zapieczętowany czarnym woskiem.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i trzymając woreczek między kciukiem a palcem wskazującym, potrząsnął nim.

–Wie pan, co to jest? To proszek pamięci, który mieszkańcy Dahomeju nazywali loa, ponieważ sądzili, że sporządziły go pośledniejsze duchy, które chciały ujrzeć



**Voduna.**

**–Voduna...?**

**–Właśnie, panie Rook. Vodun, najpotężniejszy z bogów według wierzeń ludu Dahomeju.**

**Od jego imienia pochodzi nazwa voodoo.**

**Wyciągnął rękę z woreczkiem i Jim wziął go od niego. Powąchał i poczuł przedziwny**

**zapach, woń przypominającą sny, schnącą trawę i jakieś dawno zapomniane wspomnienie**

**matki, odwracającej się od rozświetlonego słońcem okna, żeby powiedzieć...**

**Podniósł wzrok.**

**Wuj Umber uśmiechnął się.**

**–Proszek pamięci – powiedział. – Za pomocą tego proszku mógłbym wszczepić panu**

**falszywe wspomnienia i nawet wykrywacz kłamstw nie wykazałby, że nie są prawdziwe.**

**–Co mam z tym zrobić?**

**–To bardzo proste, panie Rook. Musi pan tylko dmuchnąć tym proszkiem w twarz jednemu z pańskich uczniów i powiedzieć mu, że widział Tee Jaya popalającego za szkołą**

**wtedy, gdy niby to zadźgał swojego przyjaciela.**

**–I to wszystko?**

**–To wszystko, panie Rook. Proszek pamięci dokona reszty.**

**Jim oddał mu woreczek.**

**–Nie mogę tego zrobić, panie Jones. Osobiście odpowiadam za wszystkich moich uczniów. Jeśli któremuś z nich stanie się krzywda...**

**Nozdrza wuja Umbera rozdęły się ze złości.**

**–Niech pan nie udaje takiego cnotliwego, panie Rook. Obiecał pan być moim przyjacielem. Jeśli pan nie będzie mi posłuszny, pańską klasę czeka kolejna tragedia.**

**–Słuchaj pan, panie Jones, jeśli tknie pan jednego z nich...**

**–To co pan robi, panie Rook? Zabije mnie i spędzi resztę życia w więzieniu?**

**Przecież**

**przyszedł pan tu dla dobra Tee Jaya, prawda? A to jest dla dobra Tee Jaya.**

**–Jeśli Tee Jay nie palił za szkołą, to gdzie był? Jeżeli nie miał nic wspólnego ze śmiercią**

**Elvina, to czemu chce mu pan zapewnić lipne alibi?**

**–Nie rozumie pan. Tee Jay musiał być przy śmierci Elvina, musiał patrzeć.**

**–Chce pan powiedzieć, że on jednak był w kotłowni? Stał tam i patrzył, jak pan tnie**

**Elvina na kawałki? Jest pan chory, panie Jones. Bardzo, bardzo chory.**

**–Ja tylko pilnuję zapalonych lamp, panie Rook. W imię chrześcijaństwa dokonywano o**

wiele straszniejszych czynów.

–Nie zamierzam truć moich uczniów. Nie ma mowy.

Wuj Umber ponownie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–A więc niech pan sam go wypróbuje. Proszę wrócić do domu, pomyśleć o

czymś, co

nigdy się panu nie zdarzyło, a potem wciągnąć nosem trochę proszku i zobaczyć,

co się

stanie. To pana nie zabije, obiecuję. Składa się z korzeni, włosów i zmielonych

kości. Nie

zrobię panu krzywdy, panie Rook. Jak już powiedziałem, potrzebuję przyjaciela.

Jim spojrzał wujowi Umberowi w oczy, usiłując rzucić mu wyzwanie, jednak oczy tamtego nie zdradzały żadnych uczuć.

–Dobrze – powiedział w końcu. – Zrobię to. Ale tylko dla dobra Tee Jaya. A kiedy Tee Jay będzie wolny, chciałbym, żeby odesłał go pan do rodziny.

–Tee Jay chodzi tylko tam, gdzie sam chce, panie Rook. To niezależny duch.

Jim był w domu zaledwie pięć minut, kiedy usłyszał pukanie do drzwi i weszła pani

Vaizey w szerokim słomkowym kapeluszu, różowym bikini z wzorkiem w homary

oraz

białym żakieciku ze sztucznej wełny.

–Jim! Miałam nadzieję, że cię zastanę!

Szybko otworzył jedną z kuchennych szafek, wyjął porcelanowy dzbanek, w

którym

zazwyczaj trzymał odcięte kupony premiowe, i wrzucił do środka woreczek z

proszkiem. Nie

chciał, żeby pani Vaizey zorientowała się, co zamierza zrobić.

–Jak się pani ma, pani Vaizey? Chyba nie skończyła się pani whisky, co?

–Nie, nie, nic takiego, złotko. Dzisiaj przeprowadziłam dla ciebie małe

dochodzenie i

odkryłam kilka bardzo interesujących rzeczy.

–Tak? – Jim podszedł do lodówki, wyjął puszkę piwa Coors i otworzył ją, po czym zlizął krople z wieczka.

–Od jak dawna masz ten ser? – zapytała pani Vaizey, zerkając na półkę z

nabiałem. –

Wygląda, jakby był gotowy do biegu na dwieście metrów.

–To gorgonzola, pani Vaizey. On ma tak wyglądać. I cóż takiego interesującego

pani

znalazła? Jestem bardzo ciekawy.

–Ach, tak... Wiesz, przejrzałam The Occult Review. W ciągu ostatnich piętnastu

lat było

piętnaście takich przypadków... ludzi, którzy twierdzili, że widzieli ludzi

niewidzialnych dla

innych... tak jak ty i ten twój mężczyzna w czerni.

–Czy mówimy o duchach?

–Och, nie! Nie o duchach. A przynajmniej nie o duchach zmarłych. Każda z tych zjaw była wizerunkiem jakiejś żyjącej osoby. Jednak wszystkie te osoby stanowczo twierdziły, że wcale ich nie było w miejscach, w których je widziano.

Jim pomyślał o wuju Umberze i jego naocznym świadku, który oświadczył, że jego sąsiad był w domu, gdy Elvin został zamordowany. Jim widział go w szkole, tymczasem Umber przez cały czas przebywał w swoim mieszkaniu.

–I do jakich doszła pani wniosków? – zapytał panią Vaizey.

–Myślę, że moje pierwsze przypuszczenie było całkowicie słuszne. Człowiek, którego widziałeś, opuścił swoje ciało. Pozostawił je w innym miejscu, podczas gdy jego duch odszedł.

–Dziś rano znów go widziałem – oświadczył Jim. – Przyszedł do szkoły, stanął przede mną i powiedział, że chce, abym był jego przyjacielem.

–No, na pewno. Bez ciała duch ma ograniczone możliwości. Poza tym takie wyjścia z ciała są bardzo wyczerpujące. Gdyby zbyt długo pozostał na zewnątrz, jego ciało groziłoby wylew lub atak serca.

–Nie rozumiem, jak on może być duchem i jednocześnie ranić ludzi. Unosił się pod sufitem, a kiedy próbowałem go odepchnąć, nie było go tam. Mimo to na moich oczach skaleczył strażnika w twarz, no i wcześniej zakłuł Elvina.

–Zdarzało się już, że duchy raniły ludzi – powiedziała pani Vaizey. – Budzisz się rano i znajdujesz purpurowe ślady na całym ciele. Czasem również duszą ludzi. Siła nie musi być widzialna czy namacalna, żeby mogła wyrządzić ci krzywdę. Nie widzisz wiatru, ale przecież może cię wywrócić. Nie dotkniesz dymu, ale łzawią ci od niego oczy.

–Dym... właśnie – mruknął Jim. – Właśnie o tym mówiła siostra Elvina.

Podśluchiwała, jak Elvin i Tee Jay rozmawiali o ofierze z kurczaka, ale ją przyłapali i kazali jej siedzieć cicho, bo inaczej dym po nią przyjdzie. A ojciec Elvina mówił, że kiedy był małym chłopcem, jego ojciec też go ostrzegał przed dymem.

–To nie jest zwykły „dym” – powiedziała pani Vaizey. – To „Dym”. Tak nazywają na

Haiti ducha opuszczającego ciało. Człowiek wychodzi nocą ze swego ciała, aby kraść

przedmioty, których nie mógłby wziąć w swojej fizycznej postaci, kochać się z kobietą, która

normalnie nie pozwoliłaby mu się dotknąć, albo zemścić się na swoich wrogach.

–Voodoo – rzekł Jim. – Sam o tym mówił.

–Chcesz powiedzieć, że z nim rozmawiałeś?

Jim kiwnął głową.

–Rozmawiałem z nim w szkole, kiedy był w postaci ducha, i rozmawiałem z nim, kiedy

był w swoim ciele. To wuj Tee Jaya, brat jego ojca, Umber Jones. Sam przyznał się, że to

zrobił, ale w żaden sposób nie można tego udowodnić, prawda? Był w tym czasie w domu i

ma świadka na to.

–I chce, żebyś był jego przyjacielem?

–Groził, że jeśli się nie zgodzę, skrzywdzi moich uczniów.

–Och, tak, zrobiłby to. I czego od ciebie chce?

–Chyba nie powinienem ci tego mówić. Nie wolno mi narażać moich uczniów.

–Nie mogę ci pomóc, jeśli mi nie zaufasz, Jim.

Jim potrząsnął głową.

–Nie mogę. Nigdy nie wybaczyłbym sobie, gdyby któremuś z tych dzieciaków coś się stało.

Pani Vaizey przycisnęła dłoń do ust i przez ponad minutę stała pogrążona w zadumie. Jim

patrzył na nią, czując się tak, jakby przez całe popołudnie jeździł na kolejce górskiej – był

obolały, znużony i dręczyły go lekkie mdłości.

W końcu pani Vaizey podniosła palec.

–Możemy zrobić tylko jedno – oświadczyła. – To nie będzie łatwe, ale nie widzę innego wyjścia.

–Co takiego? – spytał Jim.

–Daj mi drinka – poprosiła pani Vaizey i zaczęła, aż Jim naleje jej whisky.

Przełknęła

spory łyk i oblizwała wargi.

–Jeśli chcesz go pokonać, musisz mieć laskę loa, laseczkę duchów. Każdy houngan ją

ma, służy mu do kreślenia w popiele symboli przywołujących duchy. Można powiedzieć, że

taka laska jest w voodoo odpowiednikiem czarodziejskiej różdżki. Musi być

wyrzeźbiona z

drewna dębu duchów rosnącego w Afryce Zachodniej, ale rosnącego na cmentarzu... z

drzewa żywiącego się ludzkim ciałem. Bez laski loa twój nowy przyjaciel nadal będzie mógł

opuszczać swoje ciało, jednak nie zdoła wezwać na pomoc duchów i nie będzie mógł

skrzywdzić żadnej żywej istoty.

–Więc co powinniśmy zrobić?

–Musimy mu ją odebrać.

–Ale jak to zrobić? Przecież nie możemy włamać się do jego mieszkania, no nie?

Pani Vaizey spojrzała na niego ze śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy.

–Nie w cielesnej postaci – odparła. – Jednak możemy opuścić nasze ciała i

odwiedzić

go jako duchy.

–Niech pani da spokój, pani Vaizey. Tego już za wiele.

–Každy może opuścić swoje ciało, jeśli chce. Ty też to zrobiłeś, kiedy byłeś bliski śmierci w dzieciństwie.

–No dobrze, założmy, że to możliwe, ale jak zdołamy to zrobić?

–Nauczę cię tego, jeśli chcesz. Jednak jeśli opiszesz mi dokładnie, gdzie mieszka

ten wuj

Umber, sama to zrobię.

–Czy to niebezpieczne? Nie mogę na to pozwolić, jeśli to niebezpieczne.

Pani Vaizey uśmiechnęła się lekko.

–Tak, Jim, to niebezpieczne. Ale całe nasze życie jest niebezpieczne, a przecież

nie

pozostajemy w łózkach przez cały dzień, bojąc się wyjść w obawie, że jakiś

samolot może

spaść nam na głowę albo ziemia rozstąpi się nam pod nogami.

–Jeśli to choć trochę ryzykowne, wolałbym zrobić to sam.

–Nie – odparła stanowczo. – Gdyby twój przyjaciel odkrył, że opuściłeś swoje ciało,

nie miałbyś żadnych szans. Przecież nie kładziesz sam instalacji elektrycznej, tylko wzywasz

elektryka, prawda? To zadanie również powinieneś zostawić profesjonalistom.

–No cóż... skoro pani tak twierdzi... Jednak nie mogę powiedzieć, żeby mnie to cieszyło. Kiedy chce pani to zrobić? Jutro?

–Dziś. Zaraz. Im prędzej, tym lepiej.

## ROZDZIAŁ VI

Pani Vaizey kręciła się po mieszkaniu Jima, przepatrując wszystkie kąty, ustawiając książki i bibeloty.

–Gdzie znajduje się wschód? – zapytała.

–Chyba tam...

–Wschód jest bardzo ważny. Wszystkie złe duchy przybywają ze wschodu.

Pozwolisz, że

użyję twojej kanapy, dobrze?

–Oczywiście.

–Zejdź do mojego mieszkania, pójdz do kuchni i otwórz lewą szafkę. Znajdziesz w niej

dwie mosiężne kadzielnice i paczkę kadzidła. Przynies je tutaj i zobaczymy, co można dla ciebie zrobić.

–Skąd pani tyle wie o voodoo? – zapytał Jim. – Wiedziałem, że czyta pani horoskopy,

ale nie miałem pojęcia, że interesuje się pani także czarną magią.

Pani Vaizey podeszła do kanapy, podniosła rozłożoną na niej gazetę i poprawiła nakrycie.

–Nie zawsze byłam zdziwaczalą staruszką mieszkającą w tanim mieszkanku w Venice.

Mój ojciec pracował dla Departamentu Stanu. Większość dzieciństwa spędziłam we Francji i

Maroku, i półtora roku na Haiti. Mieliśmy haitańską pokojówkę, która nauczyła mnie

wszystkiego o loa i duchach voodoo. Najważniejszy z nich to Legba, który uwodzi kobiety,

Ogoun Ferraille opiekujący się wojownikami w bitwie oraz Erzulie, duch czystości i miłości.

No i oczywiście Baron Samedi, który pożera martwych. Nawiasem mówiąc – dodała pani

Vaizey – nie powinieneś nazywać tego „czarną magią”. Niektóre rytuały voodoo są takie

same jak w czarnej magii, na przykład ofiara z kurczęcia, jednak ten kult jest mieszaniną

obrzędów plemiennych oraz rzymskokatolickich i ma moc ich obu.

–Pójdę po to kadzidło, dobrze? – powiedział Jim.

Po niecałych dwudziestu minutach w jego mieszkaniu było gęsto od dymu kadzidła.

Jedynym źródłem światła była lampka stołowa z brązowym abażurem. Pani Vaizey wyciągnęła się na kanapie i zamknęła oczy, okrywszy swetrem swój pomarszczony, opalony

brzuch. Na dywanie rozłożyła gazetę, na której popiołem przyniesionym przez Jima z grilla nakreśliła jakiś skomplikowany wzór.

–Może to być dowolny popiół powstały w wyniku spalenia ciała – powiedziała. Jim miał nadzieję, że parówki od Oscara Mayera mogą być traktowane jako ciało. Leżąc na kanapie mamrotała długie, monotonne zaklęcia, które wydawały się Jimowi

mieszaniną słów łacińskich, francuskich oraz jeszcze innych, z jakiegoś języka, którego nie znał. Rozpoznawał urywki zdań: coś związanego z „sang impur”, czyli złą krwią, i „la mort et la folie” – śmiercią i szaleństwem.

Pozwoliła mu siedzieć i patrzeć na to, jednak musiał obiecać, że nie poruszy się i nie odezwie. Usiadł w fotelu w najdalszym kącie pokoju, ale snujący się wszędzie dym kadzidła wywołał atak kaszlu. Pani Vaizey otworzyła oczy i spojrzała na niego z dezaprobatą, lecz najwidoczniej już zapadała w trans, bo nie mogła skupić wzroku i tylko zamrugała powiekami. Jim otworzył kolejną puszkę piwa, ale jeszcze jej nie tknął.

Mamrotanie pani Vaizey było hipnotyzujące, że sam prawie zapadł w trans.

–Libera nos a malo – mruzczała. – Panem nost... quotidianum da nobis hodie. Nagle powietrze w pokoju stało się nieznośnie dusza. Jim na moment ogłuchł, jakby zamknął okno jadącego z dużą prędkością samochodu. Pani Vaizey zadrżała i jej lewa ręka opadła bezwładnie na kanapę. Miała otwarte usta, ale przestała mamrotać, a jej twarz przybrała koi gazety. Wydała ciche westchnienie, potem jeszcze jedno, a potem zwiotczała.

Wyglądała jak martwa.

Ostrzegła go, że tak będzie, lecz mimo wszystko zaniepokoił się. Wstał z fotela, przeszedł przez pokój i przykucnąwszy obok pani Vaizey wziął ją za rękę. Jej palce były suche i bardzo zimne, jak łapki jaszczurki. Wymacał puls, tak słaby, że ledwie wyczuwalny – był to jednak kolejny aspekt opuszczenia ciała.

„Ciało nie może zbyt długo żyć bez duszy. Właśnie to czyni ludzi tym, czym są” – powiedziała mu wcześniej.

Wahał się sekundę czy dwie, ale potem wyciągnął rękę i podniósł powiekę staruszki. Jej

żrenice były całkiem białe, jakby doznała wstrząsu mózgu.

–Pani Vaizey? – zapytał cicho. A potem zawołał: – Pani Vaizey! Tu Jim Rook!

Słysz

mnie pani, pani Vaizey?

Potrząsnął nią, lecz nie wywołało to żadnej reakcji, tylko głowa opadła jej na bok.

Wydawało się, że staruszka jest martwa – i wyglądała, jakby nie żyła od dwóch

lub trzech

dni.

–Pani Vaizey? Pani Vaizey? Słysz mnie pani, pani Vaizey?

Usiadł wygodniej i odprężył się. Puls pani Vaizey był słaby, ale regularny, oddychała też

płytko przez otwarte usta, jak ktoś pogrążony w bardzo głębokim śnie.

Podniósł wzrok i poczuł kompletne zaskoczenie. Siedział tu, trzymając za rękę panią

Vaizey leżącą na kanapie, a druga pani Vaizey stała przy frontowych drzwiach patrząc na

niego.

W pierwszej chwili zapało mu dech, ale w końcu zdołał wykrztusić:

–Udało się. Mój Boże, dokonała pani tego.

Pani Vaizey nakreśliła w powietrzu skomplikowany znak, co wyglądało jak błogosławieństwo, a potem przemówiła. Jej głos był cichy i odległy, jakby mówiła przez

automatyczną sekretarkę w pustym biurze.

–Teraz idę, Jim... – powiedziała. – Przyniosę ci laseczkę loa... i wtedy będziesz mógł... mmmllluuauuu...

Słowa ucichły, odbijając się przeciągłym, zniekształconym echem.

Staruszka stała jeszcze przez chwilę, nadal na niego patrząc, a potem odwróciła się

gwałtownie i wyszła przez drzwi. Były uchylone tylko na dwa centymetry, ale wypłynęła

przez nie tak samo jak wuj Umber przepłynął przez drzwi gabinetu geograficznego. Jak cień,

jak dym.

Kiedy odeszła, Jim spojrzał w dół i stwierdził, że wciąż trzyma rękę pani Vaizey. A właściwie dłoń jej pozbawionego duszy ciała, jeszcze nie martwego, lecz niezdolnego do

samodzielnego życia. Ułożył ją na swetrze, a sam usiadł w fotelu i spoglądał na leżące przed

nim ciało tak, jak ludzie na lotniskach obserwują drzwi terminalu, czekając na przybycie

przyjaciół lub ukochanych.

Sprawdził godzinę. Nadal nie tknął swojego piwa. Była dokładnie 7.06.

O 7.45 wstał i podszedł do okna. Niebo nad Venice miało barwę podbitego oka.



**Jim nie**

**palił od lat, ale teraz miał ochotę zapalić. Znów zerknął na kanapę. Pani Vaizey nie poruszyła**

**się, chociaż raz czy dwa razy szepnęła coś, czego nie zdołał zrozumieć.**

**Czuł się dziwnie, stojąc tak nad nią i absolutnie nie mogąc jej pomóc. Nie miał pojęcia,**

**gdzie staruszka teraz jest i co robi. Zaczął żałować, że nie odwiódł jej od tego eksperymentu.**

**Kadzidło prawie już się wypaliło, ale w mieszkaniu wciąż unosił się kościelny zapach.**

**Nagle pani Vaizey uniosła prawe ramię i poruszyła się na kanapie. Powiedziała coś, co**

**zabrzmiało jak „Agnus”, ale zaraz ponownie zapadła w trans. Jim klęknął przy niej i dotknął**

**jej czoła. Było zimne, przeraźliwie zimne, a jej puls wydał mu się słabszy niż przedtem.**

**Chryste, pomyślał w panice, co będzie, jeśli ona umrze? Jak wyjaśnię obecność w moim**

**mieszkaniu martwej siedemdziesięciosześcioletniej staruszki, ubranej tylko w kostium bikini i**

**sweter?**

**Mimo to podszedł do telefonu, zamierzając wykręcić 911. W końcu życie pani Vaizey było**

**więcej warte od jego reputacji. Ale wtedy staruszka jakby znów się uspokoiła, i zaczęła**

**miarowo oddychać, choć wciąż nerwowo poruszała palcami i obracała głowę, jakby**

**rozglądała się czymś.**

**Może tak było. Może szukała laseczki loa.**

**Była już prawie 8.00. Jim siedział na skraju kanapy, bębniąc palcami po na pół opróżnionej**

**puszce piwa. Stan pani Vaizey nie uległ zmianie, ale od czasu do czasu mamrotała kilka słów,**

**a raz nawet prawie usiadła. Jim bardzo chciałby wiedzieć, gdzie jest teraz jej dusza i co robi.**

**Powiedziała, że wuj Umber z pewnością dobrze schował laseczkę. Co będzie, jeśli nie zdoła**

**jej znaleźć? Jeśli wuj Umber znajdzie ją pierwszy?**

**Minęła 8.15. Pani Vaizey wciąż oddychała, a jej serce biło, lecz była zimna jak trup. Raz**

**po raz poruszała palcami lub nogami, jednak Jim miał wrażenie, że oddala się coraz bardziej.**

**Przy nim pozostało ciało bez duszy, a gdzieś w pobliżu Venice Boulevard była**

**dusza bez**

**ciała.**

**Ujął lewą rękę staruszki i zaczął rozcierać, usiłując ją rozgrzać.**

**–Pani Vaizey, niech pani da spokój – powiedział. – proszę wracać. Niech pani zapomni o tej lasce. Nie jest tego warta. Znajdziemy jakiś inny sposób załatwienia**

**wuja**

**Umbera.**

**–Monstrum... – wymruczała pani Vaizey.**

**–No, pani Vaizey – nalegał Jim. – Proszę wracać. Sama pani mówiła, że dusza nie może pozostawać zbyt długo poza ciałem.**

**–Monstrum... – powtórzyła pani Vaizey. – Monstrum...**

**–Proszę, pani Vaizey, nie musi pani tego robić. Lepiej niech pani wraca i**

**wymyślimy**

**jakiś inny sposób. Przecież pani wie wszystko o voodoo. Musi istnieć jakiś**

**sposób, żeby**

**pozbyć się wuja Umbera nie narażając pani życia.**

**W tym momencie pani Vaizey uniosła powieki i spojrzała na Jima. W oczach miała rozpacz, nie strach. To był stan, w jakim ludzie zapominają o lęku, straciwszy**

**nadzieję, że**

**ujdą z życiem – i chcą po prostu umrzeć, cierpiąc jak najmniej.**

**–Pani Vaizey! – zawołał Jim i mocno uściśnął jej obie ręce. – Rany boskie, pani Vaizey, niech się pani trzyma!**

**–Monstrum! – wrzasnęła otwierając usta tak szeroko, że prawie wywichnęła sobie żuchwę. – Monstrum!**

**Jim uderzył ją w twarz. Sam nie wiedział dlaczego. Może to wyrwie ją z transu.**

**Może jej**

**dusza powróci do ciała.**

**Zaczęła dygotać, z początku lekko, a potem coraz szybciej i mocniej, aż cała**

**kanapa**

**podskakiwała i poduszki pospadały na podłogę. Rzucała głową z boku na bok i**

**toczyła białą**

**pianę z ust. Jim ścisnął jej przeguby, usiłując ją unieruchomić i mając nadzieję, że**

**zaraz**

**osłabnie, lecz ona trzęsła się i rzucała tak gwałtownie, że ledwie mógł ją utrzymać.**

**Nagle uspokoiła się i gniewnie spojrzała mu w twarz. Nigdy nie widział w niczym**

**wzroku**

**takiej wściekłości i pogardy. Przeraziło go to tak bardzo, że prawie ją puścił.**

**–Ty skurwielu! – prychnęła. – Ty kłamco! Powiedziałeś mu, że będziesz go**

**szanował!**

**Powiedziałeś, że będziesz jego przyjacielem! Ładnym okazałeś się przyjacielem!**

**Po chwili**

**zaczęło się dziać coś okropnego. Wargi pani Vaizey zapadły się, jakby jej twarz**

**była tylko**

pustą gumową maską. Nos wpadł do ust, a w ślad za nim poszły policzki. Oczy spoglądały na Jima w milczeniu, wilgotne i białe jak ostrygi, a potem i one zostały wessane w pomarszczoną dziurę widniejącą w miejscu, gdzie przedtem były wargi. Pani Vaizey sama się zjadała – znikając we własnym gardle. Jej głowa opadła na bok z lepkim, śluzowatym dźwiękiem niepodobnym do niczego, co Jim kiedykolwiek słyszał. To tkanka mózgowa pani Vaizey ześlizgnęła się w ślad za jej twarzą do wnętrza ciała. Wciąż leżała prężąc się i dygocząc, chociaż nie miała już głowy. Jim puścił jej przeguby i wstał. Po chwili zaczęły znikać ramiona, razem ze swetrem. Zostały wessane w szyję; aż do łokci. Przez moment dłonie złożyły się jak do modlitwy, a potem także zniknęły. Jim powoli cofał się, ale nie mógł oderwać oczu od tego widoku. Obojczyk przez chwilę sterczał tuż pod skórą, zanim został wessany. Żebra zapadły się jedno po drugim, Jim słyszał świst przebijanych płuc. Z pani Vaizey zostało zaledwie dwie trzecie – nie miała głowy i rąk, lecz jej brzuch powiększał się coraz bardziej, w miarę jak rozpychały go spływające doń kości, mięśnie, ścięgna i tłuszcz. Nogi zgięły się i najpierw zostały wessane stopy, a potem łydki i kolana. Przez moment na kanapie leżał tylko potwornie rozdęty brzuch ze sterczącymi z niego dwoma opalonymi udami, przypominający gigantycznego świątecznego indyka. Potem rozległ się głośny trzask i uda również zniknęły, pozostawiając tylko wypchany zakrwawiony brzuch jak wielki worek na śmieci wypełniony tkankami i kośćmi. Skóra była tak mocno napięta, że Jim widział przyciśniętą do niej prawą dłoń pani Vaizey, ze wszystkimi srebrnymi pierścionkami. Trzęsąc się jak w febrze, zdołał na sztywnych nogach dojść do kuchni i tam wymiotował ciepłym piwem do zlewu. Był zziębnięty i spocony i nie mógł zebrać myśli. Nie pojmował tego, co przed chwilą widział, jednak był pewny, że zrobił to wuj Umber. Co

mówiła pani

Vaizey? „Ten kult jest mieszaniną obrzędów plemiennych oraz rzymskokatolickich i ma moc ich obu”.

Po dłuższej chwili splukał zlew silnym strumieniem zimnej wody, a potem przemył sobie

twarz. Nie powinien się załamywać. Pani Vaizey na pewno zdawała sobie sprawę, jak

niebezpieczne jest jej przedsięwzięcie, a mimo to sama się tego podjęła. Może chciała

zakończyć życie robiąc coś niezwykłego i widowiskowego, zamiast powoli gasnąć jak

zachodzące słońce.

Teraz już wiedział, dlaczego nie pozwoliła mu iść ze sobą. Posyłanie własnej duszy, żeby

włamała się do kogoś takiego jak wuj Umber, nie było zabawą dla amatorów.

Jeden Bóg

wiedział, jakie ten drań rzucił na nią zaklęcie, że musiała pochłonąć samą siebie.

Jim wrócił do pokoju i spojrzał na tę okropną rzecz na kanapie. Jakoś będzie musiał

pozbyć się jej tak, żeby nikt się nie dowiedział. Na szczęście chyba nikt nie widział, jak pani

Vaizey wchodziła do jego mieszkania. Wezwanie policji byłoby szaleństwem. Co mógłby im

powiedzieć? „Jakby implodowała”? A może: „Sama się zjadła”? „Jej dusza włamała się do

siedziby houngana voodoo, a on się wściekł i wywrócił jej ciało na drugą stronę”? Poszedł do sypialni i ściągnął z łóżka pikowaną narzutę. Była jasnoczerwona, co

mogło

okazać się dogodne, gdyby żołądek pani Vaizey pękł. Miała w nim mnóstwo krwi, a także

jakąś lepką żółtawą ciecz i na pół strawione spaghetti po bolońsku.

Rozpostarł narzutę na podłodze przy kanapie, chwycił szczątki pani Vaizey i delikatnie

przetoczył na jej skraj. Dotykając ich poczuł tak silne obrzydzenie, że musiał na chwilę

przerwać, zamknąć oczy i zrobić pięć czy sześć bardzo głębokich wdechów. Nie zdawał sobie

sprawy z tego, że szczątki będą jeszcze ciepłe, ani z tego, że te wszystkie kończyny i narządy

będą przemieszczać się wewnątrz, kiedy je poruszy.

Na szczęście żołądek pozostał cały, nawet kiedy brzuch z głuchym chlupnięciem upadł na

podłogę.

Jim owinął go narzutą i związał jej rogi sznurkiem. Potem wrócił do kuchni i szorował

ręce, aż zaczęły go boleć. Kiedy zobaczył swoje odbicie w lustrze koło telefonu, pomyślał, że

wygląda jak zupełnie obcy człowiek. Jim Rook nie pozbywa się trupów, ale wieczorami

poprawia prace uczniów, chodzi na koncerty lub spotyka się z przyjaciółmi. Zadzwoił do ojca do Santa Barbara.

–Tato? Tu Jim. Tak, wiem, chciałem oddzwonić wcześniej, ale aż do wczoraj miałem

urwanie głowy. Nie... no cóż, policja aresztowała jednego chłopca, chociaż wcale nie jestem

pewien, czy on to zrobił. Nie.

Umilkł i po krótkiej przerwie dodał:

–Słuchaj, tato, czy mógłbym jutro wieczorem pożyczyć łódź? Tylko na trzy lub cztery

godziny. No cóż, poznałem jedną dziewczynę i pomyślałem, że byłoby romantycznie zabrać

ją na piknik na oceanie. Chyba muszę trochę oderwać się od tego wszystkiego. Dobrze.

Świetnie. Nie, tak; będzie doskonale.

Odłożył słuchawkę. Nie miał ochoty wykorzystywać łodzi ojca do pozbycia się ciała pani

Vaizey, ale nic innego nie przyszło mu do głowy. Gdyby spróbował pochować szczątki, ktoś

mógłby je kiedyś wykopać, więc do końca życia nie zaznałby spokoju. Rzucone do oceanu,

znikną na zawsze, poza tym miał wrażenie, iż w ten sposób zwróci jej godność i spój

duszy, których tak brutalnie pozbawił ją Umber Jones.

Tymczasem zatańczył szczątki pani Vaizey do małej zapasowej sypialni i wepchnął pod

łóżko. Nad ranem zaniesie je do samochodu i zamknie w bagażniku.

Potem ściągnął pokrowce z poduszek kanapy i zniósł do pralni w piwnicy. Nie były

zaplamione, ale nawet najmniejszy ślad DNA pani Vaizey mógł okazać się fatalny. Kiedy

włączył pralkę, wszedł Myrlin Buffield z mieszkania 201, niosąc pod pachą plastikowy kosz

wypchany wytartymi szortami i powyciąganymi podkoszulkami.

–Cześć, Myrlin – powiedział Jim z wymuszonym uśmiechem.

–Cześć – odparł tamten i zaczął wpychać swoje rzeczy do sąsiedniej pralki, ale

raz po

raz ukradkiem zerkał w kierunku Jima.

–Co jest? – zapytał po chwili Jim.

Myrlin zamknął drzwiczki pralki.

–Miałeś pożar w mieszkaniu?

–Pożar? Jasne, że nie. Dlaczego?

–Przechodziłem obok i poczułem zapach spalenizny.

–Ach, to! Paliłem kadzidło, to wszystko.

–Kadzidło? – powtórzył ponuro Myrlin, jakby chcąc powiedzieć: „każdy wie,

dlatego

pali się kadzidło”.

–Zająłem się medytacjami – wyjaśnił Jim. – Tybetańską jogarologią

transcendentalną.

Trzeba palić kadzidełka, żeby wprawić się w odpowiedni nastrój.

Myrlin powoli drapał się po tyłku i spoglądał na Jima jak rozzłoszczone dziecko.

–Wiesz, że w tym budynku obowiązują pewne zasady?

–Zabraniające tybetańskiej jogarologii transcendentalnej?

Myrlin udał, że podnosi coś do nosa i głęboko wdycha.

–Zabraniające oddychać?

–Wiesz, o czym mówię.

–Bardzo chciałbym, Myrlinie, ale naprawdę nie wiem.

Wrócił do mieszkania z wilgotnymi poszewkami, zamknął za sobą drzwi i założył

łańcuch,

po czym oparł się o nie plecami i stał tak przez chwilę. Szok wywołany okropną

śmiercią pani

Vaizey sprawił, że czuł się wyczerpany i wciąż drżały mu ręce. Przeszedł do

kuchni, nalał

sobie dużą whisky i wypił ją duszkiem.

Po chwili nalał sobie drugą porcję, ale nie wypił jej od razu. Otworzył kredens,

wyjął

otrzymany od wuja Umbera woreczek z proszkiem pamięci i przeciął nożykiem

nawoskowany sznurek z włosia. W środku znalazł trochę drobnego brązowego

proszku

przypominającego sproszkowany cynamon, o ostrym zapachu nasuwającym

jakieś niejasne

wspomnienie z dzieciństwa. Usiłował przypomnieć sobie, co to takiego mogło

być, lecz miał

tylko poczucie dziwnego żalu.

Wziął w palce szczyptę proszku. Więc to jest ten narkotyk, który pozwala

pamiętać

nieznanych ludzi, nie przeżyte wydarzenia i nigdy nie oglądane miejsca.

Zastanawiał się, jak

by to było, gdyby pamiętał, że był bogaty, miał dwudziestopokojowy dom w Bel

**Air i dwa**

**wspaniale maserati – albo romans z olśniewającą francuską aktorką filmową w Prowansji:**

**dni pełne słońca, pocałunków i schłodzonego czerwonego wina. Albo gdyby pamiętał, że**

**zaledwie tydzień temu spotkał się ze swoim nieżyjącym bratem Paulem, żeby razem zagrać w**

**tenisa i pójść na długi spacer brzegiem morza.**

**Gdyby to pamiętał, czy byłoby istotne, że nigdy się to nie zdarzyło?**

**Przysunął sobie krzesło i usiadł. Postanowił poprzestać na jakimś skromniejszym wspomnieniu – czymś, co łatwo można sprawdzić. Zdecydował się „pamiętać”, że**

**Susan**

**Randall pocałowała go i powiedziała, że zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia.**

**Uznał, że to będzie nieszkodliwe, ponieważ najwyraźniej i tak go lubiła.**

**Podniósł proszek do nozdrzy i ostrożnie pociągnął nosem.**

**Po chwili pociągnął ponownie, tym razem mocniej. Kichnął dwukrotnie i schował twarz w**

**dłoniach. Miał wrażenie, że wciągnął aromatyczny ogień. Paliło go w nozdrzach i czuł, że**

**oczy wychodzą mu z orbit. Znowu kichnął i wstał, żeby nalać sobie szklankę wody z kranu.**

**Kiedy sięgnął ręką do kurka, świat przekrzywił się pod dziwnym kątem, a podłoga uciekła**

**mu spod stóp. Runął jak długi, uderzając barkiem o stół i leżał na plecach, spocony i drżący.**

**Wydało mu się, że słyszy głosy. Wydawało mu się, że w pokoju są jacyś ludzie o czarnych**

**twarzach, w czarnych garniturach i czarnych okularach. Miał wrażenie, że słyszy bębny – a**

**może tylko czuł, jak podłoga pulsuje ich dudnieniem.**

**Nagle przez pokój przeleciał podmuch zimnego wiatru i ktoś powiedział szeptem:**

**–Ah, oui... il est triste... il est solitaire... ha-ha-ha... un spectre qui se glisse le long des**

**allees ou ses pas l'ont conduit... de son vivant...**

**Zdawało mu się, że ktoś nad nim kucnął, patrząc mu prosto w twarz. Czarnoskóry mężczyzna o wystających kościach policzkowych, wysokim czole i oczach**

**nabiegłych krwią.**

**Usłyszał dzwonek do drzwi, głośny i natarczywy. Usiadł zaskoczony. W pierwszej chwili**

**nie wiedział, gdzie się znajduje. Czuł się tak, jakby nie było go tu kilka lat.**

**Przytrzymał się**

**krzesła i wstał.**

**Dzwonek na moment ucichł i ktoś zaczął pukać, a potem znów zaczął dzwonić. Po chwili**

**słyszać było i stukanie, i dzwonienie.**

**Rozkładając ręce, żeby złapać równowagę, Jim podszedł do drzwi i otworzył je.**

**Zobaczył**

**syna pani Vaizey, Gerainta, niskiego grubaska o tłustych czarnych kędziarach i czerwonej**

**twarzy. Geraint miał na sobie koszulkę w kwiatki i długie bermudy.**

**–Dzwonię od pięciu minut – oświadczył z pretensją.**

**–Skąd wiedziałeś, że jestem w domu?**

**–Od Myrlina. Powiedział, żebym dzwonił do skutku, na wypadek gdybyś miał odlot**

**albo**

**co.**

**–Myrlin nie powinien wtykać nosa w cudze sprawy.**

**–Szukam mojej starej – mruknął Geraint, zajrzeć Jimowi przez ramię do środka mieszkania. – Widziałeś ją, no nie?**

**Jim nigdy nie potrafił zrozumieć, jak taka cywilizowana, wykształcona kobieta jak**

**pani**

**Vaizey mogła urodzić takiego prymitywnego, grubego krzykacza.**

**Potrząsnął głową.**

**–Przykro mi, nie widziałem jej od wczoraj.**

**–Myrlin mówił, że mogła tu przyjść.**

**–Obawiam się, że Myrlin się myli.**

**–No, nie wiem... nie ma jej w domu, a spójrz, która godzina. Nigdy nie wychodzi**

**tak**

**późno. Poza tym zamknęła drzwi.**

**–Może poszła coś zjeść.**

**–Taa, pewnie. A może wybrała się w sześciotygodniową podróż stopem po**

**Gwatemali?**

**Rany boskie, zostawiła otwarte drzwi i sałatkę na stole.**

**–Jeśli się o nią niepokoisz, to czemu nie wezwie policji? Może dostała amnezji**

**albo co...**

**może błąka się w pobliżu?**

**Nad górną wargą Gerainta pojawiły się krople potu.**

**–Może raczej sam jej poszukam. Czy gliny mogą zrobić coś, czego ja nie mogę?**

**–No cóż... mam nadzieję, że ją znajdziesz. Z pewnością nic jej nie będzie.**

**–A ty co, bawisz się w pana Blue Sky? Pewnie zatłuczona na śmierć w jakimś**

**kanale.**

**Kiedy Geraint wyszedł, Jim zamknął drzwi i dla pewności założył łańcuch.**

**Ostrożnie**

**dotknął czubka nosa, który go trochę bolał, ale zdołał przejść przez pokój nie trać równowagi.**

**Poszedł do drugiego pokoju i przez dłuższy czas stał tam nie zapalając światła.**



**Nie chciał**

**widzieć tego, co leżało pod łóżkiem. Nagle jednak przyszło mu do głowy, że  
szczętki pani**

**Vaizey mogą zacząć wychodzić spod łóżka, kołysząc się na boki w krwiście  
czerwonej**

**narzucie jak gigantyczna dżdżownica, i natychmiast zapalił światło.**

**Tobół wciąż tam leżał, nieruchomy. Jim przykucnął obok łóżka i dotknął narzuty,  
żeby się**

**upewnić. Poczłł miękką masę.**

**Zgasił światło i wyszedł z pokoju. Przeszedł korytarzem do sypialni i przystanął.**

**Wahał się**

**przez kilka sekund, a potem wrócił i przekręcił klucz w drzwiach zapasowej  
sypialni. Nie**

**wierzył w życie po śmierci, szczególnie po śmierci tak okropnej i gwałtownej jak w  
przypadku pani Vaizey, ale po co ryzykować?**

**Nie zamierzał spać. Chciał zaczekać, aż nikogo w pobliżu nie będzie i znieść  
szczętki pani**

**Vaizey do samochodu. Jednak Geraint co chwila wychodził ze swojego  
mieszkania lub**

**wracał, do Tiny Henstell wpadło paru znajomych na drinka, a w sypialni Myrlina  
światło**

**paliło się aż do pierwszej w nocy, później zaś pewnie obserwował sąsiadów z  
ciemnego okna.**

**Jim próbował drzemać, ale dręczyły go przerażające koszmary. Wciąż słyszał to  
stłumione**

**dudnienie bębnów, rozchodzące się po domu coraz szybszym rytmem. Czuł, że  
znalazł się w**

**mocy przekraczającej wszelkie pojęcie, okrutnej i złej. Widział żelazne balustrady  
balkonów i**

**przecinane błyskawicami niebo. Słyszał tupot nóg biegnących po smaganej  
deszczem trawie.**

**Obudził się tuż po siódmej. Wielka szara przepiórka siedziała na parapecie jego  
okna,**

**stukając dziobem w szybę. Prześcieradło było pomięte i mokre od potu, a Jim  
spał w nogach**

**łóżka.**

**–No już, spadaj! – powiedział do przepiórki i zastukał knykciem w szybę. Ale ptak  
tylko lekko przekręcił łeppek.**

**Jim wygramolił się z łóżka i poczłapał przez pokój, przeciągając się i ziewając.**

**Nozdrza**

**wciąż trochę go bolały, a język miał suchy i szorstki jak papier ścierny numer 2.  
Dotarł do**

**kuchni, otworzył lodówkę, wyjął sok pomarańczowy i pił łapczywie prosto z**

butelki, aż płyn

pociekł mu po brodzie i zmoczył kołnierzyk podkoszulka.

Ocierając usta, zobaczył na stole woreczek z proszkiem. Wiedział, że wypróbował go

zeszłej nocy, ale nie pamiętał, jakie fałszywe wspomnienie próbował umieścić w swa głowie.

Może nie udało mu się. Jeżeli nawet nie pamiętał, jakie to miało być wspomnienie, to co wart

jest ten proszek?

Mimo wszystko zawiązał woreczek i położył go na kuchennym blacie obok portfela,

kluczy i telefonu komórkowego. Wiedział, co potrafi zrobić wuj Umber, kiedy ktoś nie

podporządkuje się jego woli. Nie chciał, żeby znów ktoś skończył wchłaniając sam siebie; a

przynajmniej nie z jego powodu.

Teraz zresztą wiedział na pewno, że Tee Jay jest niewinny, więc jeśli wyjdzie na wolność

dzięki czarom wuja Umbera, niech tak będzie.

Wziął prysznic, ubrał się i zrobił sobie filiżankę kawy nazywanej przez robotników drogowych „podkowiastą” – tak gęstej, że – mogłaby w niej pływać podkova.

Zastanawiał

się, czy nie powinien znów zerknąć na szczątki pani Vaizey. Tylko po co?

Przecież nie

ruszała się. Doszedł jednak do wniosku, że musi nakryć łóżko zapasową narzutą, żeby nikt nie

mógł dostrzec, co jest pod spodem. Juanita nie przyjdzie sprzątać wcześniej jak w

poniedziałek, ale nigdy nie wiadomo. Z jakiegoś powodu może zjawić się też gospodarz

budynku – było to mało prawdopodobne, możliwe, a Jim nie chciał przez cały dzień w

college’u denerwować się rozmyślając o tym.

Otworzył drzwi sypialni i ostrożnie zajrzał do środka. Czerwona narzuta wraz ze swoją

makabryczną zawartością tkwiła pod łóżkiem, tam gdzie ją zostawił. Podeszedł do niej, jakby

oczekiwał, że to ból nagle się poruszy, chociaż wiedział, iż to, co jest w środku, już nigdy nie

będzie się ruszać. Dwa czy trzy razy wciągnął nosem powietrze, upewniając się, czy nie

cuchnie. Tylko raz w życiu czuł trupi odór – kiedy w sąsiednim mieszkaniu umarł samotny

stary mężczyzna – ale nigdy nie zapomni tego zapachu. Ta wywracająca żołądek woń przypominała o tym, co kiedyś czeka wszystkich żyjących.

Podszedł do szafy w kącie pokoju i wyjął dużą wełnianą narzutę, której czasem używał w zimie. Rozłożył ją i już miał nakryć nią zapasowe łóżko, kiedy nagle zauważył coś dziwnego.

Z kapy, którą owinął szczątki pani Vaizey, wysypywał się szary proszek. Po chwili wahania trącił toból nogą. Posypało się więcej prochu, niemal tak drobnego jak talk. Ukłęknął i położył rękę na narzucie, usiłując wymacać, co znajduje się wewnątrz. Toból natychmiast skłęsnął, a Jim odskoczył przestraszony, boleśnie wykręcając sobie nogę w kostce.

Odczekał chwilę, ciężko dysząc i zastanawiając się, co robić. Nie miał ochoty otwierać pakunku, żeby zobaczyć, co stało się ze szczątkami pani Vaizey, ale wiedział, że musi to zrobić. Ponownie podszedł do łóżka, ostrożnie ujął róg narzuty w dwa palce i odchylił. Na podłogę osypała się mała lawina pyłu.

Wyciągnął cały toból spod łóżka, rozwiązał sznurek i zajrzał do środka. Wewnątrz była tylko kupka prochu, z dwoma lub trzema kawałkami kości – paliczkami palców i kawałkiem żebra.

Spróbował wziąć do ręki żebro, ale i ono rozsypało się w proch. Szczątki pani Vaizey zmieniły się w garść popiołu tak dokładnie, jakby je poddano kremacji. Jim zrozumiał, że ma do czynienia z przeciwnikiem dysponującym niezwykle, nadnaturalnymi zdolnościami.

Nigdy nie słyszał ani nie czytał o czymś takim. Samozniszczenie pani Vaizey było zjawiskiem niespotykanym w kulturze amerykańskiej czy europejskiej – przynajmniej on nigdy o czymś ta nie słyszał – a to, w jaki sposób rozsypała się w proch, nie przypominało żadnego z opisywanych w prasie niezwykle wydarzeń, takich jak natychmiastowa mumifikacja czy samoistne spalenie. To była afrykańska magia – dziwna i bardzo potężna.

Poszedł do kuchni i wrócił z plastikową torbą, a potem podniósł narzutę, przesypał do

**torby cały pył i zawiązał ją.**

**Szcątki pani Vaizey ważyły teraz tyle co gruby kot. Resztki prochu sprzątnął odkurzaczem. Przynajmniej łatwiej będzie pozbyć się ciała tej biednej kobiety. W połowie schodów znów spotkał Myrlina. Sąsiad spojrzał na niego podejrzliwie.**

**–Nadal nie ma śladu pani Vaizey – powiedział oskarżycielskim tonem.**

**–Może znudziło jej się tu mieszkać, i tyle – odparł Jim.**

**–Co tam masz? – spytał go Myrlin, ruchem głowy wskazując plastikową torbę.**

**–Tylko wspomnienia – mruknął Jim.**

**Poszedł na parking, otworzył samochód i schował torbę do bagażnika.**

**–Tylko wspomnienia – powtórzył tak cicho, by tamten go nie usłyszał.**

## ROZDZIAŁ VII

Tego ranka na lekcji angielskiego omawiali wiersz Johna Crowe'a Ransoma „Martwy chłopiec”.

Był jak burzowa chmura zbyt ciężka, by się wstrzymała,  
Jak miecz wbity w matczyne serce – jednak nigdy  
Żadna matka swego dziecka jak ta nie opłakiwała.  
Był zbyt blady i wąły, niemądrzy sąsiedzi twierdzą.  
Kapłan rzekł, iż pierwszy owoc najbardziej Pana raduje.  
Lecz to staremu drzewu odrośl złamano młodą,  
I ono swą martwą gałąź ze smutkiem opłakuje.  
Jim siedział na biurku i kołysał nogą, słuchając, jak klasa linijka po linijce recytuje wiersz.

Na nosie miał szkła do czytania. Kiedy skończyli, powiedział:  
–Wygląda na to, że ten chłopak to raczej nic dobrego, prawda? Więc dlaczego matka i

inni dorośli tak boleją nad jego śmiercią?  
Titus Greenspan III podniósł rękę i powiedział:  
–Nie rozumiem tego kawałka o drzewie.  
–Ach tak, a drzewo jest najważniejsze. Greg, jak myślisz, dlaczego drzewo jest najważniejsze?

Twarz Grega Lake'a wykrzywiła się w szeregu okropnych grymasów, gdy usiłował wymyślić odpowiedź. Trwało to tak długo, że David Littwin zdążył zgłosić się i powiedzieć:

–T-t-t-to...  
–Nie spiesz się – uspokajał go Jim.  
–T-to n-nie b-było p-prawdziwe d-drzewo, t-tylko p-przenośnia. D-drzewo rodowe. Rodzina.

–Właśnie. Matka i starsi byli zasmuceni, gdyż śmierć chłopca zagroziła ich dziedzictwu

–odparł Jim. – Obojętnie jak był głupi czy źle wychowany, był jednym z nich, członkiem rodziny.

Przeszedł między rzędami stolików.

–Wasze dziedzictwo jest czymś ważniejszym od was... czymś, co należy pielęgnować i

szanować. John szanuje swoich przodków... Rita obchodzi Święto Zmarłych...

Przodkowie

Sharon wywodzą się z Sierra Leone.

Dotarł do końca sali, odwrócił się i zamarł. W kącie pokoju, obok flagi, stał wuj Umber.

Oczy skrywał za czarnymi szklami i parzył na Jima ukazując zęby w pozbawionym wesołości

uśmiechu.

Jim dobrze znał powód jego pojawienia się. Wuj Umber chciał mieć pewność, że użyje

proszku pamięci, uwalniając Tee Jaya.

Russell Gloach zapytał:

–A co, jeśli ktoś nie ma przodków? Na przykład ja zostałem adoptowany. Co wtedy

należy czcić?

Jim nie odrywał oczu od wuja Umbera.

–Możesz czcić fakt, że twoja mama i ojciec chcieli cię tak bardzo, że nazwali cię ich

synem – powiedział. – To tak, jakby drzewu zaszczepiono nową gałąź. Oczywiście pochodzi z innego drzewa, lecz teraz jest integralną częścią, drzewa, które ją zaakceptowało.

Obojętnie skąd pochodzisz, jesteś teraz częścią dziedzictwa Gloachów... a przypadkiem

wiem, że twoi przybrani rodzice są z ciebie bardzo dumni.

Gdy to mówił, Umber Jones zaczął sunąć ku niemu nie poruszając nogami.

Podszedł tak

blisko, że Jim mógł dostrzec każdą szramę na jego twarzy i każdy włosk sterczący z jego

czarnej skóry.

–Chyba mnie nie zawiedziesz, co, Jim? – zapytał ochryłym, głuchym szeptem.

–Wydaje mi się, że ci ludzie bardziej niepokoiłi się o dziedzictwo niż o martwego chłopca – powiedziała Amanda Zaparelli. Teraz, kiedy zdjęto jej aparacik ortodontyczny,

mówiła z nowo nabytą pewnością siebie.

–Nie – odparł Jim.

Amanda zmarszczyła brwi.

–Ja tylko myślałam... ten fragment mówiący o starych ludziach spoglądających na

trumnę...

–Widziałeś, co stało się z twoją znajomą, kiedy poprosiłeś ją, żeby zaglądała tam, gdzie

była niemile widziana, no nie? – szepnął Umber. – To samo może przytrafić się tobie.

–Do diabła, dlaczego mnie prześladujesz? Amanda odwróciła się i ze zdumieniem spojrzała na Sue-Robin Caufield. Reszta klasy wierciła się na krzesłach i

spoglądała na Jima

z minami świadczącymi o tym, że są pod wrażeniem. Ich nauczyciel zawsze był impulsywny,

ale nigdy aż tak.

Jim wycelował palec w Umbera Jonesa i oświadczył:

–Nie wiem, co zamierzasz zrobić, ale przysięgam na Boga, że znajdę jakiś sposób, żeby

cię powstrzymać.

–Wspaniale, panie Rook! – zawołał Ricky Herman. – Niech Amanda zamknie się na dobre!

–Mam nadzieję, że nie będzie pan niegrzeczny, panie Rook – powiedział wuj Umber.

–Zanim zdołałby pan odmówić „Ojciec nasz”, wszyscy w tej klasie mogliby być martwi lub

umierający. – Rozejrzył się wokół. – Temu pomieszczeniu przydałoby się przemalowanie,

nie uważa pan? Może na ładny, praktyczny czerwony kolor?

–Zrobię to – obiecał Jim. – Zaczekaj do przerwy, a zrobię to.

–Słyszałaś, Amando? – zaśmiał się Mark. – Na twoim miejscu, kiedy zadzwoni dzwonek na przerwę, zmykałbym ile sił w nogach.

Wuj Umber położył rękę na ramieniu Jima.

–Miło mi to słyszeć. Proszę mi wierzyć, panie Rook, będzie pan najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem. Razem zajdziemy daleko.

Jim zdawał sobie sprawę z tego, że klasa wciąż wytrzeszcza na niego oczy.

Opuścił ręce.

–Wynoś się z mojej klasy – wycedził przez zaciśnięte zęby do Umbera Jonesa.

–A to co znowu? – zapytał Umber Jones. – Nie jestem pewny, czy dobrze pana słyszę.

–Wynoś się z mojej klasy – powtórzył głośniejszym głosem Jim.

Uczniowie zaczęli spoglądać po sobie i pytać:

–Ja? Co, ja? Chce, żebym się wyniósł? Hej, panie Rook, czy to ja mam się wynieść?

–Nie słyszę – drwił Umber Jones.

Jim stracił panowanie nad sobą.

–To moja klasa i moi uczniowie, więc jestem odpowiedzialny za każdego z nich. I tak

już narobiłeś dość zamieszania, więc daj spokój. Zrobię, co chcesz, ale wynoś się z mojej

klasy, zanim zrobię coś, czego obaj będziemy żałować.

–O, nie – wyszczerzył zęby Umber Jones. – Tylko pan będzie tego żałować. Splótł ramiona na piersi i przemieścił się pod tablicę.

–Mam pana na oku, panie Rook – oświadczył. – Niech pan o tym nie zapomina.

Mówiąc to zdawał się nikać, jakby nie był niczym więcej jak dymem – którym oczywiście był. Jego sylwetka rozmyła się, skurczyła, a potem wtopiła w

płaszczyznę tablicy.

Jim na miękkich nogach podszedł do tablicy i dotknął jej czubkami palców. Jej powierzchnia była twarda, gładka i zupełnie zwyczajna. Jednak kiedy tak przed nią stał,

pojawiła się na niej biała kredowa kreska i zaraz potem druga. Ze zgrzytem, od którego bolały

zęby, na tablicy pojawił się prawie metrowy rysunek oka, a pod nim słowa: VODUN VIVE.

W klasie zapadła głucha cisza. Jim odwrócił się, popatrzył na uczniów i nie wiedział, co im

powiedzieć. Dopiero kiedy Mark rzekł: „O rany, to ci dopiero numer!” – nagle wszyscy

zaczęli mówić jednocześnie.

–Jak pan to zrobił, panie Rook? – zapytał Ricky. – Przecież nawet nie dotknął pan kredy.

Jim uciszył ich gestem, a potem rzekł:

–To taka sztuczka, wiecie? Tylko sztuczka. Pod koniec semestru, jeżeli wszyscy zdacie z

ocenami lepszymi niż dostateczny, pokażę wam, jak to się robi.

Nie mógł powiedzieć im o Umberze Jonesie. Gdyby to zrobił, nie wiadomo, jak tamten by

zareagował. Jednak coraz trudniej było mu utrzymać w tajemnicy jego istnienie i zaczynał

podejrzewać, że wuj Umber robi to celowo: drwi z niego i prowokuje, zamierzając doprowadzić do tego, żeby Jim się załamał i dostarczył mu pretekstu do

zmasakrowania całej

klasy.

Ale przecież Umber Jones i tak mógł ich zmasakrować bez żadnych wymówek. Był

niewidzialny dla wszystkich oprócz niego. Nikt nie wierzył w jego istnienie, co czyniło go

nietykalnym. Jim zastanawiał się, czy jego zdolności podlegały jakimś ograniczeniom –

może, na przykład, jak wampir musiał spać w trumnie wypełnionej ziemią, nie znosił

krucyfiksów, czosnku i dziennego światła?

Zadzwonił dzwonek na przerwę. Uczniowie zbierali książki, śmiejąc się i gadając. Jim stał

przy oknie, tyłem do nich, modląc się, żeby nie było gdzieś w pobliżu wuja Umbera, żeby nie

zrobił im krzywdy. Sześć lat wcześniej ożenił się pośpiesznie i niezbyt nieszczęśliwie, ale nie

mieli dzieci. Jednak nie potrzebował swoich dzieci, już je miał. Beattie i Muffy, Titusa i

Raya. Podczas zajęć szkolnych one były jego rodziną. Po godzinach, kiedy siedział

poprawiając ich prace, wciąż byli przy nim, ponieważ każda praca była jak list.



Wciąż stał przy oknie, kiedy weszła Sharon X, niosąc trzy książki. Tego dnia przystroiła włosy mnóstwem mak kich paciorków i wyglądała szczególnie uroczo.

–Przyniosłam panu te książki, o których mówiłam oznajmiła. – Ta jest najlepsza. „Rytuał voodoo”. Zawiera wszystko, co należy wiedzieć o voodoo.

–Dzięki – powiedział. – To ładnie z twojej strony. – Myślał, że dziewczyna odejdzie, ale Sharon nadal stała obok niego, jakby chciała coś dodać.

–Będę o nie dbał – obiecał.

–Widział go pan przed chwilą, prawda? – zapytała Sharon. Położył książki na biurku, ale nie odpowiedział.

–On był tutaj, prawda? To do niego pan mówił, nie do Amandy. Obserwowałam pana i wcale nie patrzył pan na Amandę, ale prosto przed siebie, jakby ktoś tam stał. Bo tak było, prawda?

Jim spojrzał na nią.

–Spróbuj to zrozumieć, Sharon... Bylibyście wszyscy w niebezpieczeństwie, wszyscy, gdybym pisał choć słowo.

–To on narysował to oko na tablicy, prawda? Pan stał zbyt daleko od niej.

–Zapomnijmy o tym, dobrze? Wiesz, co to oznacza, kiedy mówimy, że nawet ściany mają uszy.

–Vodun jest głównym duchem voodoo. Ten napis oznaczał: „Vodun żyje” – oświadczyła Sharon. – A takie oko widzisz tylko wtedy, kiedy Vodun obserwuje cię, pilnując, żebyś nie robił niczego, co mogłoby mu się nie podobać.

–Sharon, dzięki za książki... ale nic więcej nie powiem. Jednak Sharon nie dała za wygraną. Wzięła do ręki „Rytuał voodoo”, pośliniła palec i szybko przekartkowała książkę.

–Mówił pan, że widział człowieka, którego nikt poza panem nie mógł zobaczyć, no nie? Tak jak teraz, kiedy widział pan tego faceta, a my wszyscy nie. Jest jednak sposób, żeby stał się widoczny i aby zobaczyli go wszyscy.

–Ach tak? – Jim zaczął się już niecierpliwić. Wolałby w spokoju przejrzeć książki Sharon, musiał też wyjść na podwórko i sprawdzić, czy zdoła namówić Ricky’ego Hermana, żeby powdychał trochę proszku pamięci. Był przekonany, że proszek nie podziała. Nie pamiętał niczego, co nie przydarzyło mu się naprawdę. Ale Umber Jones kazał mu

to zrobić,

więc usłucha go.

–Niech pan spojrzysz na ten fragment – powiedziała Sharon. – Tu jest o prochu śmierci.

–Prochu śmierci? – zapytał z roztargnieniem Jim. Wciąż spoglądał za okno, podejrzliwie mierząc wzrokiem każdy cień. Czy to dęby kołyszą się na wietrze, czy też to

człowiek w kapeluszu Elmera Gantry idący przez trawnik?

–Jasne, proszę spojrzeć. Tylko hounganowie i ludzie obdarzeni specjalnymi zdolnościami mogą dojrzeć duchy. Dla innych są niewidzialne. Jednak łowcy duchów, idąc

egzorcyzmować chaty i domy, brali ze sobą woreczki z prochem śmierci.

Rozrzucali go po

pokoju, a jeśli był tam duch, proszek przywierał do niego, czyniąc go chwilowo widocznym.

–Pokaż mi to – zażądał Jim.

Odwrócił dwie ostatnie strony i przeczytał je. Sharon obserwowała go, bawiąc się paciorkami.

„Houngan może okaleczyć lub unicestwić swoich przeciwników na wiele sposobów. Jeśli

używa Dymu, żeby opuścić swoją cielesną powłokę i odwiedzić siedzibę wroga, może pod

nieobecność jego duszy rzucić klątwę na ciało, kiedy jest ono nieprzytomne i bezbronne.

Może posłużyć się rozmaitymi zaklęciami. Może pogrążyć ciało w głębokim śnie, trwającym

wiele dni, a nawet lat. Może spowodować zadławienie albo atak serca. Może je sparaliżować

lub spalić. Jednym z najokrutniejszych zaklęć jest Se Manger, pod wpływem którego ofiara

sama się pożera. Kiedy ciało zostaje zabite, dusza musi wiecznie błąkać się w Półświecie, a

cielesna powłoka rozpada się w proch. Ma to swoje odbicie w chrześcijańskim obrzędzie

pogrzebowym:»Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz«,,.

–Czy te książki w czymś panu pomogą? – zapytała Sharon.

Jim zamknął książkę i skinął głową.

–Dzięki temu nabiera sensu coś, co przedtem go miało. Bardzo ci jestem wdzięczny, że

mi przyniosłaś książki.

–To własność moich przodków – oświadczyła z dumą Sharon.

Jim wyszedł na podwórko i kręcił się po nim, rozmawiając z uczniami. Widział, że na jego

widok zaraz zmieniają temat, ale sam też tak robił, kiedy był uczniem. Różnica wieku między

trzydziestoczteroletnim mężczyzną a siedemnastolatkiem to cztery miliony lat świetlnych.

Jednak Jim miał do nich cierpliwość. Znał sekret, o którym oni nie mieli pojęcia: za następne

siedemnaście lat też będą mieli trzydzieści cztery.

Już miał podejść do ławki, na której Ricky opowiadał grupce dziewcząt o pewnej nocy,

kiedy to gnał swoim ca maro po Mullholland Drive z szybkością dziewięćdziesięciu pięciu

mil na godzinę, gdy podszedł do niego John Ng.

–Panie Rook... dziś rano w klasie zdarzyło się dziwnego.

Był wyraźnie zmieszany, ale Jim wzruszył ramionami i rzekł:

–Pewnie. Co takiego?

–Wtedy, kiedy tak dziwnie pan mówił.

–Tak, i co?

John wyjął spod podkoszulka srebrny łańcuszek. Na końcu łańcuszka był zawieszony

matowy czarny kamień.

–Niech pan go obejrzy – powiedział.

Jim zważył kamień na dłoni.

–Piękny. Ładnie wygląda. A teraz, John, przepraszam, ale...

Jednak uczeń złapał go za rękaw.

–To nie jest kamień, panie Rook. To kryształ. Pochodzi z dzongu, buddyjskiej świątyni.

Ma mnie chronić od zła.

–I co?

–Powinien być przejrzysty i skrzyć się. Ciemnieje tylko wtedy, kiedy dzieje się coś niedobrego. Jeszcze nigdy nie był tak czarny.

–I co to oznacza, kiedy tak ciemnieje?

–To, że krąży wokół mnie jakieś straszne zło. Kamień zmienił barwę wtedy, kiedy pan

tak dziwnie mówił.

Jim zawahał się, ale chłopiec tak mocno trzymał go za rękaw i patrzył na niego z takim

niepokojem, że musiał powiedzieć mu prawdę – albo przynajmniej jej część.

–Ktoś tam był, w klasie – upierał się John.

–No cóż...

–Panie Rook, w mojej religii również istnieje wędrówka dusz. Mnisi potrafią opuszczać

swoje ciała, aby odwiedzać chorych i konających.

Jim rozejrzał się wokół, upewniając się, że nikogo nie ma w pobliżu.

–Tak – przyznał – rzeczywiście widziałem kogoś. Tego samego człowieka, którego widziałem, kiedy został zamordowany Elvin. Nikt z was go nie zobaczył, prawda?

Nie tylko

go widziałem, ale nawet rozmawiałem z nim.

–On jest bardzo zły – oświadczył John.

–Właśnie dlatego nie chcę wam za dużo o nim mówić. Im mniej wiecie, tym jesteście

bezpieczniejsi.

–Kim on jest?

–Myślę, że będzie lepiej, jeśli ci nie powiem. Jeszcze nie.

–Czego on chce? Po co przyszedł do West Grove College?

–Tego też nie mogę ci powiedzieć. Ale zrobię wszystko, żeby się go pozbyć.

John cofnął rękę i powiedział:

–Boi się pan, prawda?

Jim skinął głową.

–Tak, boję się. Nie o siebie. Nie chcę, żeby ten typ skrzywdził kogoś z mojej klasy.

–Z całym szacunkiem, panie Rook, jeśli grozi nam jakieś niebezpieczeństwo, to chyba

powinniśmy o nim wiedzieć. Samemu może być panu trudno pozbyć się tego ducha. Razem

bylibyśmy silniejsi. Mój ojciec powiada, że zło kocha mrok, lecz umyka przed światłem.

–Twój ojciec to mądry człowiek.

John odszedł do swoich przyjaciół, pozostawiając Jima samego, zatopionego w myślach.

Może chłopiec miał rację, może ducha Umbera Jonesa należało wywabić na światło dzienne?

Zaraz jednak przypomniał sobie Elvina krwawiącego z licznych ran i panią Vaizey znikającą

we własnych wnętrznościach; wiedział, że nigdy sobie nie wybaczyłby, gdyby któryś z jego

uczniów został zabity lub ranny.

W połowie drogi przez rozległy wyschnięty trawnik ciągnący się wzdłuż wschodniej

ściany szkolnego budynku ujrzał Ricky'ego, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami i

rozmawiającego z Muffy, Jane i Seymourem Williamsem. Ricky był miłym chłopcem. Jim

wymacał w kieszeni woreczek z proszkiem pamięci i poluzował sznurek, po czym do grupki

uczniów mając nadzieję, że zachowuje się zupełnie normalnie, chociaż był tak spięty, że

**musiał zaciskać zęby.**

**Ricky spojrział na niego osłaniając dłonią oczy.**

**–Cześć, panie Rook. Co się stało?**

**–Ja... hmm... znalazłem coś w męskiej szatni.**

**Ricky natychmiast zrobił się czerwony ze wstydu.**

**–Nie, nie – uspokoił go Jim. – To nie należy do ciebie.**

**Wyjął z kieszeni woreczek i pokazał go chłopcu.**

**–To jakiś proszek. Nie chcę go oddawać panu Wallechinsky’emu, dopóki nie**

**dowiem**

**się, co to jest. Nie ma sensu robić zamieszania o jakieś głupstwo.**

**–Niech spojrzę, panie Rook – powiedział Ricky. – Jestem klasowym ekspertem od podejrzanych substancji.**

**Mrugnął do Seymoura, który odpowiedział głupawym chichotem. Jim miał**

**poważne**

**podejrzenia, że Ricky, Seymour oraz niektórzy inni chłopcy czasami popalają**

**trawkę w**

**męskich toaletach, ale nigdy nie zdołał ich przyłapać. Wręczył chłopcu woreczek i**

**patrzył,**

**jak Ricky otwiera go i zagląda do środka.**

**–Nigdy nie widziałem coś takiego – orzekł.**

**–Czegoś – poprawił go Jim.**

**Ricky zwilżył czubek palca śliną, włożył go do proszku i oblizał. Zmarszczył nos i powiedział:**

**–Pfuj! Nigdy nie kosztowałem coś takiego. Smakuje jak zioła, liście i jak... – urwał**

**i**

**zapatrzył się w dal. – Jak wczoraj – dodał.**

**–Smakuje jak wczoraj? – zadrwił Seymour. – A jak smakuje wczoraj? Jak twoje**

**stare**

**skarpetki?**

**–Powąchaj – namawiał go Jim. Jeszcze nigdy w swojej karierze nauczyciela nie**

**czuł się**

**tak nieodpowiedzialny, ale wolał nie myśleć o ewentualnych konsekwencjach nieposłuszeństwa wobec wuja Umbera.**

**Ricky wziął szczyptę proszku i wciągnął go do nosa, tak samo jak przedtem zrobił to Jim.**

**Natychmiast zaczął głośno kichać.**

**–Jezu Chryste! – jęknął. – Co to jest, do diabła?**

**–Może to samo, co palił Tee Jay – powiedział Jim, przykucając nad nim. Ricky**

**spojrział**

**na niego załzawionymi oczami. – No wiesz... wtedy, gdy widziałeś go za szkołą w**

**tym**

**samym czasie, kiedy został zabity Elvin. Bo właśnie tam poszedł pięć po**

**jedenastej, prawda?**

Tak więc nie mógł być w kotłowni.

–Co... – wykrztusił Ricky i rozłożył się jak długi na trawie, uderzając głową o ziemię.

–Hej, co mu się stało? – spytała zdumiona Jane, pochylając się nad nim.

Seymour opadł na czworaka i zajął mu w oczy.

–Ricky, słyszysz mnie, człowieku?

Jim podniósł woreczek z proszkiem pamięci i schował do kieszeni.

–Nic mu nie jest... to tylko hiperwentylacja, nic więcej. Uklęknął przy chłopcu i lekko

poklepał go po policzku.

–Ricky... no, Ricky, nic ci nie jest. No już, Ricky, ocknij się.

Jednocześnie myślał: „Mój Boże, mam nadzieję, że nie zrobiłem mu krzywdy”.

Ricky wymamrotał coś, a potem otworzył oczy. Spojrzał na cztery pochylone nad nim

twarze i zapytał:

–Co jest?

–Zasłabłeś – odparł Jim. – Chyba zrobiłeś zbyt głęboki wdech.

Ricky usiadł, ocierając nos grzbietem dłoni.

–Jezu, to święństwo daje kopa, panie Rook. Nie wiem, co to jest, ale na pewno nie koka.

–Przepraszam – powiedział Jim. – Nie chciałem, żeby ci się coś stało.

Ricky ponownie kichnął.

–Nic mi nie jest – mruknął. – Od początku lata nie miałem tak czystego nosa.

–Chyba po prostu wrzucę ten woreczek do śmieci i zapomnę o całej sprawie – oświadczył Jim. – Cokolwiek to jest, nie sądzę, żeby ktoś dobrowolnie wpychał to

sobie do

nosa.

Już miał odejść, kiedy Seymour powiedział:

–Panie Rook, co takiego mówił pan o Tee Jayu? No wie pan, o tym, że palił za szkołą?

–I co z tego?

Seymour zamrugał oczami. Jim niemal słyszał poruszające się w jego głowie trybiki.

–No cóż... jeśli palił za budynkiem szkoły, to nie mógł zabić Elvina, prawda? Nie mógł

być w dwóch miejscach jednocześnie.

–Rzecz w tym, że nikt go tam nie widział – odparł Jim. – Twierdzi, że palił za szkołą,

ale policja nie znalazła żadnych świadków.

–Chwileczkę – powiedział Ricky. – Ja go widziałem.

–Żartujesz sobie – prychnął Jim. – Jeśli tak, to dlaczego nie powiedziałeś o tym porucznikowi Harrisowi?

–Nie wiem. Po prostu... nie wiem. Zapomniałem.

–Naprawdę widziałeś Tee Jaya palącego za szkołą między pięć po a kwadrans po jedenastej?

–Pewnie. Mogę przysiąc. Zostawił innych, poszedł za szkołę i zapalił sobie.

Widziałem

go przez cały czas. Chyba nic nie mówiłem, bo myślałem, że będzie miał kłopoty z powodu

palenia.

–Ricky – powiedział Jim, kładąc mu ręce na ramionach. – Tee Jay stanie przed sądem

pod zarzutem morderstwa pierwszego stopnia. To o wiele poważniejsze od palenia trawki.

Ricky przycisnął dłoń do czoła.

–Nie wiem, dlaczego nic nie mówiłem. Chyba wypadło mi to z głowy albo co.

–No cóż, teraz, kiedy ci się przypomniało, może lepiej porozmawiajmy z porucznikiem

Harrisem i zobaczymy, czy uda nam się uwolnić Tee Jaya od zarzutów.

–Pewnie. No pewnie. – Zaszokowany Ricky potrząsał głową. Seymour, Muffy i Jane

spoglądali po sobie z niedowierzaniem. Wydawało im się niewiarygodne, że Ricky potrzebował aż dwóch dni, żeby przypomnieć sobie, że widział Tee Jaya palącego za szkołą

w czasie, gdy popełniono morderstwo. Ale jakie to ma teraz znaczenie, skoro dzięki temu Tee

Jay wyjdzie na wolność.

–Chodź ze mną – rzekł Jim. – Powiemy o tym doktorowi Ehrlichmanowi. A potem wezwiemy policję.

Poszli razem przez trawnik.

–Porucznik Harris przepuści cię przez wyżymaczkę – ostrzegł chłopca Jim. – Przygotuj się na to.

–Może mnie wałkować do znudzenia, panie Rook. Widziałem, jak Tee Jay palił.

Przysięgam. Widziałem to własne oczy.

Dochodzili już do budynku administracji, kiedy z głównego wejścia wyszła Susan Randall.

Rozmawiała z George'em Babourisem, nauczycielem fizyki. Miała na sobie kraciastą bluzkę

ze stójką, jak Doris Day, i krótką granatową spódniczkę. Zbliżając się do niej, Jim zwolnił i

na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech. Już zaczął podejrzewać, że z jakiegoś powodu unika

go tego ranka. Może droczyła się z nim. W końcu przecież pocałowała go i powiedziała mu,

że zawsze uważała go za wyjątkowo atrakcyjnego, wspaniałego faceta!

Wszedł na schody, objął ją i pocałował w usta.

**–Cześć, kochanie. Mam dobre wieści.**

**Susan strąciła jego ramię i cofnęła się o dwa kroki.**

**–Jim! – zaprotestowała.**

**George Babouris, brzuchaty i czarnobrody, spoglądał na nich z bezbrzeżnym zdumieniem.**

**Jim podniósł obie ręce w żartobliwym geście poddania.**

**–O co chodzi? – zapytał. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że...**

**–Pocałowałaś mnie, o to chodzi. Pocałowałaś mnie w usta.**

**Jim był zaskoczony. Wczoraj była taka namiętna, a teraz traktowała go, jakby był jakimś**

**zboceńcem.**

**–Słuchaj – oznajmił – nie musisz bawić się ze mną w „ciepło-zimno”.**

**–O czym ty mówisz? Kiedy to byłam taka ciepła?**

**–Wczoraj po południu nie zachowywałaś się jak Królowna Śnieżka.**

**–Powiedziałam, że chciałabym zobaczyć twoje mapy, to wszystko. Trudno to nazwać**

**czymś więcej.**

**Jim obrócił się do George’a i rzucił mu jedno z tych porozumiewawczych męskich spojrzeń.**

**–Chciała tylko zobaczyć moje mapy! – mruknął i uśmiechnął się.**

**Susan uderzyła go w policzek, tak mocno, że zapiekło.**

**–Za co, do diabła?! – zawołał zaskoczony.**

**–A jak myślisz, do diabła? Chcesz, żebym oskarżyła cię przed doktorem Ehrlichmanem o**

**molestowanie seksualne?**

**–Chwileczkę – powiedział Jim. – Wczoraj to było: „Jim, zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia”. A dziś napadasz na mnie i bijesz. O co chodzi?**

**Susan wytrzeszczyła oczy.**

**–Odbiło ci czy co?**

**Jim rozejrzał się wokół. George Babouris patrzył na niego z potępiającym wyrazem twarzy**

**i nawet Ricky odsunął się o krok. Jim zrozumiał, że coś jest nie tak i że naraził się na**

**poważne kłopoty.**

**–W porządku... – wymamrotał. – Chyba zaszło jakieś nieporozumienie.**

**Cofnął się.**

**–Chodź, Ricky, mamy ważniejsze rzeczy na głowie.**



## ROZDZIAŁ VIII

Tee Jay został wypuszczony o dziesiątej wieczorem, przedtem porucznik Harris przesłuchiwał Ricky'ego przez ponad cztery godziny. Ricky zaproponował, że podda się

badaniu na wykrywaczu kłamstw, jednak porucznik i tak wiedział, że nie może postawić Tee

Jaya przed sądem nie mając narzędzia zbrodni, odcisków palców lub stóp, a przeciw sobie

niezależnego świadka, którego zeznanie wyglądało na prawdziwe.

Jim przez cały czas czekał na komisariacie pokrzepiwszy się trzema kubkami lurowatej

kawy i trzema pączkami. Matka Tee Jaya nie mogła przyjść, więc Jim zadzwonił do niej i

powiedział, żeby oczekiwała dobrych wieści. Brat Tee Jaya nie chciał przyjść i na razie

nigdzie nie było widać wuja Umbera.

Porucznik Harris wyszedł do poczekalni w koszuli z krótkim rękawem, ocierając pot z

czoła zwiniętą w kulę chusteczką. Tee Jay siedł tuż za nim, w towarzystwie swojego

adwokata i dwóch mundurowych policjantów. Popatrz na Jima, jakby go nie poznawał.

–W porządku – rzekł porucznik. – Jest wolny. Szkoda tylko, że jego koleś nie przekazał nam tych informacji, kiedy pytałem go o to pierwszy raz. Straciliśmy czterdzieści

osiem godzin.

–Niech pan da spokój, poruczniku. Przynajmniej nie oskarżył pan niewinnego człowieka.

Porucznik Harris przycisnął chusteczkę do karku i spojrzał na niego tak, jakby niewinność

miała tyle samo wspólnego ze sprawiedliwością co cena ryb.

Adwokat Tee Jaya podszedł do Jima i uścisnął mu dłoń. Był barczystym Murzynem z

młodzieżowo przystrzyżoną czupryną, w jedwabnym krawacie w baloniki.

–Przypuszczam, że pan jest nauczycielem Tee Jaya – powiedział. – Zrobił pan kawał

dobrej roboty sprowadzając tu Ricky'ego. Gdyby nie to, bardzo trudno byłoby mi bronić Tee

Jaya... – Zamilkł, a potem położył rękę na ramionach Jima i dodał konfidencyjnie: –

Jednak dobrze byłoby mieć go na oku. Ten chłopiec ma kłopoty emocjonalne.

Wciąż gada o

afrykańskiej kulturze, władzy duchów i tym podobnych rzeczach. Powiedział mi,

**że się**

**zaprzedałem, pracując dla białych ludzi. I nie chodzi tu o typowy przypadek manii na tle**

**Czarnej Siły. On śpiewał i mamrotał. Doprowadzał wszystkich do obłądu.**

**–Dzięki – powiedział Jim. – Myślę, że poradzę sobie z tym.**

**–Ach, tak? – Adwokat przez chwilę patrzył na niego wyczekująco, a potem**

**powiedział:**

**–Nie powie mi pan, co to takiego?**

**–Przykro, ale nie. Kazano mi trzymać język za zębami.**

**–Może chociaż da mi pan jakąś wskazówkę. Chodzi o to, że lubię być na bieżąco**

**w**

**sprawach tych dzieciaków z ulicy. To pomaga mi w pracy.**

**W tym momencie otwarły się wahadłowe drzwi i wszedł Umber Jones, nadal**

**mający na**

**głowie ten kapelusz Elmera Gantry. Poczekalnia natychmiast wydała się mniejsza**

**i nawet**

**najwięksi policjanci zaczęli wyglądać jak niedorosłki.**

**–Oto pańska wskazówka – powiedział Jim, cofając się o krok.**

**Adwokat rzucił mu zdziwione spojrzenie, ale również się cofnął. Postać i**

**osobowość wuja**

**Umbera robiły przytłaczające wrażenie. Jego skóra lśniła w świetle neonowych**

**lamp jak**

**polerowany heban. Podeszedł do porucznika Harrisa i zapytał:**

**–Mój bratanek jest wolny, oficerze?**

**–Na razie tak – odparł porucznik. – Ale może jeszcze zechcemy z nim**

**porozmawiać,**

**więc wolałbym, żeby nie opuszczał Los Angeles i trzymał się z dala od kłopotów.**

**Wierzę, że**

**może pan wywrzeć na niego odpowiedni wpływ.**

**–Och, mam na niego wpływ – uśmiechnął się Umber Jones.**

**Strzelał palcami czekając, aż Tee Jay podpisze formularz zwolnienia, odbierze**

**swój**

**zegarek, pieniądze i skórzany pasek. Kiedy chłopiec skończył, chwycił go za rękę**

**i powiódł w**

**kierunku drzwi. Po drodze przystanął obok Jima i powiedział:**

**–Zrobił pan to, co panu kazano, panie Rook, i jestem z tego zadowolony. Ale teraz chciałbym, żeby zrobił pan dla mnie coś jeszcze.**

**Jim potrząsnął głową.**

**–Nie ma mowy, panie Jones. Od tej chwili przestajemy być przyjaciółmi. Nie**

**jestem w**

**stanie udowodnić, że to pan zabił Elvina i panią Vaizey, ale nie chcę już pana**

**więcej widzieć**

**ani słyszeć.**

–Przykro mi, że tak to pan odczuwa – stwierdził Umber Jones. – Naprawdę sądziłem,  
że pan i ja będziemy serdecznymi przyjaciółmi do końca życia. Mimo to... chociaż nie chce  
pan być moim przyjacielem, może wykonać pan dla mnie kilka zadań, prawda?  
–Zapomnij o tym. Nic dla ciebie nie zrobię, nigdy.  
–Naprawdę chciałby pan, żeby te dzieci cierpiały?  
–Już cię ostrzegałem. Zostaw moich uczniów w spokoju.  
–Pan mnie ostrzegał? Ha, ha, ha. I co pan zrobi, jeśli trochę ich potnę i zostawię paskudne blizny? Albo poprzebijam bębenki uszne i zrobię głuchymi jak pień?  
Albo  
wydłubię oczy? Albo ześlę mękę ognia, tak że poczują się, jakby zanurzono ich w  
płonącej  
benzynie?  
–Mówiłem ci, żebyś zostawił ich w spokoju. Jeśli któregoś z nich skrzywdzisz, przysięgam na Boga, że znajdę sposób, żeby cię załatwić.  
–Nie, nie znajdzie pan, panie Rook, ponieważ go nie ma. No, niech się pan nie pieni, to  
nie przystoi człowiekowi na pańskim stanowisku. Ma pan tylko czekać, aż przyślę  
do pana  
posłańca, który powie panu, co robić.  
–Wypchaj się – zaproponował mu Jim. – Rozsyp się w proch.  
Wuj Umber pociągnął Tee Jaya do drzwi. Podczas całej tej rozmowy chłopiec  
tylko raz  
zerknął na Jima, ale z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Mimo to Jim  
był  
przekonany, że za tym obojętnym spojrzeniem dostrzegł dawnego Tee Jaya –  
mrugnięcie  
powiek dowodzące, że nie był pod całkowitym wpływem wuja Umbera.  
Kiedy wyszli, wahadłowe drzwi przez moment pokazały Jimowi jego własne  
odbicie –  
zmęczonego człowieka z rękami w kieszeniach.  
Porucznik Harris podszedł do niego i zapytał:  
–O co poszło?  
–Wdzięczny wujaszek chciał mi podziękować.  
–Mnie pan nie oszuka, panie Rook. Znam się na mowie ciała. To mi wyglądało na gwałtowny spór.  
–Pan Jones bardzo dobitnie demonstrował swoją wdzięczność, to wszystko.  
–Ach, wy intelektualiści – mruknął porucznik Harris. – A jak by pan to nazwał,  
gdyby  
facet strzelił pana w dziób? Wyczuwalnym objawem niezadowolenia?  
Jadąc na zachód bulwarem Santa Monica, Jim śmiał się w duchu z uwagi  
porucznika

Harrisa. Nigdy nie uważał się za intelektualistę, a już z pewnością nie pochodził z rodziny intelektualistów. Jego ojciec sprzedawał polisy ubezpieczeniowe i stracił pracę, kiedy Jim się urodził. W wyniku tego Jim wychował się w domu, w którym podkoszulki nosiło się do czasu, aż całkiem się rozpadły, mięso jadano jedynie w niedziele, a zamiast coli pijano wodę. Nigdy nie miał zbyt wielu przyjaciół, ponieważ żaden z kolegów nie chciał przesiadywać u niego, jedząc chleb z samym masłem i oglądając czarno-białą telewizję. Z początku marzył, że zostanie gwiazdorem westernów, takim jak Clint Eastwood. Potem chciał być tajnym agentem, jak Napoleon Solo. Później zmienił zdanie i postanowił zostać architektem. Ale przede wszystkim chciał być bogaty. Chciał swoim dzieciom smarować chleb masłem orzechowym, a do picia dawać im Dr. Peppera. Jednak kiedy był jeszcze w szkole średniej, jego ojciec otworzył własną firmę ubezpieczeniową i odniósł natychmiastowy sukces. Zanim Jim zdał maturę, jego rodzice przenieśli się do dużego, wygodnego domu w Santa Barbara, a on mógł rozpocząć studia na wydziale anglistyki UCLA, z na pół skryształizowanym zamiarem, że w przyszłości zostanie pisarzem. Miał samochód i spore kieszonkowe i wydawało mu się, że w końcu jest szczęśliwy. Ale kiedy był jeszcze na pierwszym roku, pojawiła się kuzynka Laura, która w ciągu paru miesięcy zmieniła całe jego życie. Kiedy Jim widział ją ostatnio, miała zaledwie sześć lat. Teraz była piękną osiemnastoletnią blondynką o długich, lśniących, sięgających do kolan włosach i niebieskich oczach, które go urzekły. Nie mógł zrozumieć, dlaczego jest taka nieśmiała. Wydawała się wcale nie wierzyć w siebie i zawsze wolała siedzieć w domu i oglądać telewizję, niż pójść gdzieś i zabawić się. Wziął na siebie rolę jej nieoficjalnego opiekuna. Zabierał ją na plażę, na tańce, na przyjęcia. Był w niej mocno zadurzony, a ona najwyraźniej też go lubiła. Kiedyś napisał dla niej wiersz, zatytułowany „Moja złotowłosa dziewczyna”. Wręczył go jej, gdy siedzieli na plaży. Przez moment spoglądała na kartkę, a potem oddała mu

**ją,**

**uśmiechnęła się i nic nie powiedziała.**

**–Nie podoba ci się? – zapytał.**

**–Nie wiem – przyznała. – Nie potrafię tego przeczytać.**

**Wtedy Jim po raz pierwszy zetknął się z dysleksją. Laura była pozbawiona umiejętności**

**werbalnego myślenia. Wszystko przechodziło jej przez głowę jak film bez ścieżki dźwiękowej, gdyż po prostu nie potrafiła połączyć drukowanych słów z**

**przedmiotami,**

**czynnościami czy pojęciami. W szkole nauczyciele i koleżanki traktowali ją jak nieuka lub**

**przygłupa, a kiedyś nauczycielka na oczach całej klasy podarła jej pracę.**

**W dodatku często była karana za spóźnienia, gdyż dyslektycy nie mają poczucia czasu.**

**Na drugi dzień Jim poszedł do biblioteki wydziału psychologii i pożyczył dziewięć książek**

**o dysleksji oraz innych dysfunkcjach utrudniających czytanie. Przestudiował je wszystkie i**

**skontaktował się z autorem jednej z nich, profesorem Myronem Daviesem z Boston**

**University. Z pomocą profesora opracował metodę wykorzystującą diagramy i obrazki, która**

**pozwoiliła mu nauczyć kuzynkę rozpoznawania słów.**

**Laura została u Rooków przez całe lato i Jim powoli nauczył ją czytać opowiadania,**

**poematy i artykuły w gazetach. Stała się śmielsza, pewniejsza siebie i zanim wróciła do**

**domu, umiała już czytać całe strony tekstu, nawet jeśli przeczytanie jednej zabierało jej ponad kwadrans.**

**Jednak nigdy się z nią nie kochał – ani razu. A w grudniu przysłała mu list z życzeniami,**

**w którym napisała, że znalazła sobie nowego chłopca i jest „szalenie zakochana”. Napisała**

**też, że zawdzięcza Jimowi „códowne, zópelnie nowe życie”.**

**Jim przez prawie sześć miesięcy nie mógł się z tym pogodzić i właściwie nigdy się nie**

**pogodził. Aż do śmierci będzie pamiętał, jak wyglądała wtedy na plaży, z tymi ziarenkami**

**piasku na skórze. Ale przynajmniej wiedział już, co chce robić. Nie chciał już być filmowym**

**kowbojem, architektem czy powieściopisarzem. Chciał pomagać dzieciakom, które nie**

radziły sobie z czytaniem, pisaniem czy matematyką. Obojętnie na czym polegał ich problem

–czy jąkały się, miały kłopoty rodzinne czy też zdolność koncentracji komara –  
wszystkie

zasługiwały na pomoc i Jim studiował przez cztery lata, ucząc się, jak im pomóc. Dojechał do plaży, zaparkował i wyjął z bagażnika prochy pani Vaizey. Zszedł po schodkach i przeszedł po piasku. Ocean wydawał się tego wieczoru dziwnie groźny, fale

przyływu pieniły się i lśniły od Palisades Park aż po Municipal Pier.

Jim stanął na brzegu, a woda cofnęła się, jakby w obawie przed nim. Gdy podniósł

plastikową torbę, znów podpłynęła, ciepłą falą omywając mu stopy. Odwrócił worek do góry

dnem i pył wysypał się, poleciał z wiatrem w ciemność.

Prawie opróżnił torbę, zanim przypomniał sobie, co powiedziała Sharon. „Jest jednak

sposób, żeby stał się widoczny i aby zobaczyli go wszyscy”.

Proszek śmierci, właśnie to. Jim przestał rozsypywać szczątki pani Vaizey i przy światłach

nabrzeża sprawdził, ile pyłu zostało. Załedwie wystarczyłoby na wypełnienie dzbanka od

kawy. Mimo to mocno zawiązał torbę i zaniósł ją z powrotem do samochodu. Miał przecucie, że może mu się jeszcze przydać. Z dysleksją Laury uporał się dzięki lekturze

fachowych książek i rozmowom z ekspertami – i w ten sam sposób poradzi sobie z wujem

Umberem. Walczy z kimś, kto praktykuje czary, musi więc zdobyć odpowiednią wiedzę o

magii, magiczne umiejętności i przedmioty. Sharon pożyczyła mu książki, a teraz miał także

proszek śmierci. Może, jeśli się postara, sam znajdzie laseczkę loa.

Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik.

–Wiesz, kim jesteś? – zapytał sam siebie. – Jesteś wariatem, ot co.

Kiedy wrócił do swojego mieszkania, na automatycznej sekretarce znalazł wiadomość od

Susan.

–„Przepraszam, jeśli zareagowałam przesadnie, ale nie mogłam uwierzyć w to, co zrobiłeś. Lubię cię, Jim, jeśli jednak sprawiałam wrażenie, że to coś więcej niż przyjaźń,

mogę cię tylko przeprosić. Ale myślę, że od tej pory powinniśmy trzymać się od siebie z

daleka, nie uważasz?”

Przesłuchał tę wiadomość trzy razy. Nie mógł pojąć, co się właściwie stało.

**Wczoraj Susan**

**wydawała się taka chętna. Przytuliła się do niego, powiedziała, że jest cudowny i pocałowała**

**go z języczkiem, a dzisiaj miał się trzymać od niej z daleka. Słyszał, że kobiety są zmienne,**

**jednak to już przesada.**

**Och, może to i lepiej, pomyślał z rezygnacją. Przynajmniej nie musi biegać i gromadzić**

**map, które mógłby jej pokazać.**

**Była jeszcze inna wiadomość, od matki Tee Jaya:**

**–„Dzwonię, żeby panu powiedzieć, jaka jestem wdzięczna za to, co pan zrobił, panie**

**Rook. Uratował pan mojego chłopca. Nadal jest z wujem Umberem, ale przynajmniej**

**oczyszczono go z zarzutu zamordowania biednego Elvina, a to dla mnie najważniejsze”.**

**Ostatnią wiadomość pozostawił ktoś o głębokim, ponurym, groźnie brzmiącym głosie:**

**–„Niech pan pamięta o tym, co mi pan obiecał, panie Rook, i nie próbuje wycofać się ze**

**złożonej obietnicy. Mój posłaniec zjawi się niebawem i powie panu, co ma pan robić. Niech**

**pan uważnie wysłucha tego, co ma do powiedzenia...”**

**Jim nagle poczuł się okropnie głodny, więc poszedł do kuchni. Otworzył lodówkę i przez**

**chwilę patrzył na kawałek starego sera gorgonzola. Potem otworzył kredens i spojrzał na**

**karton przeterminowanych Golden Grahams oraz trzy puszki łososia. Wrócił do telefonu i**

**wystukał numer Pizza Express.**

**–Cienką i chrupiącą, z dodatkową porcją papryki, chili i sardynkami – powiedział.**

**Wziął prysznic, włożył koszulkę polo i spodnie, usiadł na kanapie i włączył telewizor.**

**Nigdy nie był tak dezorientowany. Okropna śmierć Elvina i jeszcze okropniejsza śmierć pani**

**Vaizey, „dym” i duchy oraz zapowiedź kolejnej tragedii – wszystko to podważy jego**

**dotychczasowe poglądy na życie, śmierć i nadprzyrodzone zjawiska. Wcześniej był**

**przekonany, że śmierć jest kresem wszystkiego. Teraz pokazano mu – w niezwykle**

**gwałtowny i nieoczekiwany sposób – że to tylko inny stan istnienia.**

**Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, wrócił do kuchni po puszkę piwa. W kącie, na**

podłódze,

leżała torba zawierająca prochy pani Vaizey. Jim po chwili wahania wyjął z kredensu

dzbanek z niebieskiej porcelany, postawił go na środku podłogi, przesypał do niego prochy i

zamknął dzbanek folią samoprzylepną. Cholernie zabawna śmierć, pomyślał. Opalasz się i

popijasz whisky, a po chwili jesteś kupką proszku w czyimś dzbanku do kawy. – „I staniesz się garścią prochu oraz kości – zacytował. – Gdyż wszyscy tym jesteśmy,

bogaci i prości!”

Uśmiechnął się, a potem mruknął pod nosem:

– „Elegia ku pamięci nieszczęśliwej damy”. Akurat pasuje.

Pił piwo i przeskakiwał po kanałach telewizji. Nagle usłyszał dzwonek do drzwi. W końcu

przynieśli pizzę, pomyślał. Podeszedł do stołu i wziął portfel. Dzwonek zadzwonił ponownie,

więc Jim zawołał: „Dobrze, dobrze, już idę!” Poślinił kciuk i ruszył do drzwi, odliczając po

drodze dwadzieścia dolarów. Jeszcze liczył, gdy otwierał drzwi.

W wejściu stał Elvin, ubrany w elegancki ciemny garnitur, jakby wystroił się przed grzecznościową wizytą u swojego nauczyciela. Jednak jego twarz zniekształcały liczne rany

od noża, nie miał uszu, a jego załzawione oczy były matowe jak kamienie. Rany zdążyły się

już zasklepić, lecz na białym wykrochmalonym kołnierzyku pozostało kilka truskawkowych

plam.

Jim kurczowo trzymał się drzwi. Był tak przerażony, że miał wrażenie, jakby skóra na jego

ciele skurczyła się, a wnętrzności wypadły z brzucha, pozostawiając tylko zimną pustkę

strachu.

– Halo, panie Rook – odezwał się Elvin. Jego głos brzmiał słabo i bełkotliwie, jakby język nie mieścił mu się w ustach. Ruszył naprzód niepewnym, chwiejnym krokiem, ciągnąc

stopy po podłódze, a wtedy jego rany znów się otworzyły i Jim dostrzegł bielejące w nich

kości policzkowe.

– Ty nie żyjesz, Elvinie – wymamrotał cofając się w głąb pokoju. Potknął się o krzesło,

ale zdołał utrzymać równowagę. – Zabił cię Umber Jones. Jesteś martwy.

Elvin uśmiechnął się krzywo i pokręcił głową.



–Nie zamierzam zrobić panu krzywdy, panie Rook. Przyniosłem panu wiadomość, to

wszystko.

–Nie chcę jej słyszeć, Elvinie. Chcę, żebyś sobie poszedł.

Elvin nie ruszył się. Najbardziej niepokoiły Jima jego niewidzące oczy, rozcięte na pół tak,

że źrenice wyglądały jak przecięte pieczarki.

–Chcę, żebyś sobie poszedł, Elvinie – powtórzył. – Nie chcę mieć nic wspólnego z wujem Umberem i możesz mu to powiedzieć.

–Musisz wysłuchać wiadomości od niego – nalegał Elvin.

–Powiedziałem mu w komisariacie, że koniec z tym.

–On mówi, że pan jest jego przyjacielem, panie Rook. Jego jedynym przyjacielem.

Powiedział też jednak, że za każdym razem, gdy powie pan „nie”, ktoś z pańskiej klasy umrze

w ten sam sposób jak ja.

Jim nic nie odpowiedział, tylko oblizał wargi. W ustach miał tak sucho, jakby od roku nic

nie pił.

–W Vernon jest bar „Sly’s” – ciągnął Elvin. – W tym barze przesiaduje facet zwany

Chillem. Naprawdę nazywa się Charles Gillespie, ale nie lubi, kiedy ktoś tak się do niego

zwraca. Ma pan zobaczyć się z nim i powiedzieć mu, że pracuje pan dla Umbera Jonesa, który

wie, że on właśnie odebrał świeżą dostawę... dwa kilo najlepszej kolumbijskiej koki. Potem

powie mu pan, że od tej pory on też będzie pracował dla Umbera Jonesa i oddawał mu

dziewięćdziesiąt procent zysku. Powie mu pan, że później dowie się, gdzie i kiedy może

zapłacić. A gdyby nie chciał współpracować, powie mu pan, że Umber Jones obserwuje go

dzień i noc, po czym wręczy mu pan to...

Elvin wsunął okaleczoną dłoń do kieszeni i wyjął kawałek czarnego materiału.

Podał go

Jimowi, ale ten nie wyciągnął ręki, więc Elvin ostrożnie położył szmatkę na stole.

–Niech pan powie Chillowi, że mamy teraz inne czasy – dodał. – Lepiej niech także się zmieni, jeśli ceni swoje życie.

Z tymi słowami odwrócił się i poczłapał do drzwi, po omacku odnajdując drogę między

fotelami. Zanim wyszedł, przystanął na moment i odwrócił się.

–Lepiej niech pan idzie do Chilla dziś wieczorem – poradził. – Umber Jones to nadzwyczaj niecierpliwy człowiek.

Przekroczył próg i bardzo cicho zamknął za sobą drzwi, co było o wiele bardziej przerażające, niż gdyby je zatrzasnął. Jim przez dłuższą chwilę siedział z pochyloną głową na kanapie, robiąc głębokie, uspokajające wdechy. Czytał artykuły o „żywych trupach”, lecz zawsze wic raczej historyczny niż magiczny aspekt tego mitu. Zombie były ofiarami bezwzględnych plantatorów trzciny cukrowe podczas dotkliwego braku rąk do pracy na Haiti w 1918. Powiadano, że plantatorzy wynajmowali czarowników voodoo, aby podawali robotnikom środki pobudzające zapewne mieszaninę tetrodotoksyny z pewnego gatunku ryby, silnie halucynogennego bielunia oraz wyciągu z Bufo marinus, dającego niezwykłą siłę. Środki te spowalniały puls i wywoływały pozorną śmierć – tak, że człowiek mógł zostać pochowany i przez wiele dni pozostawać w grobie. Czarownik mógł potem takiego zombie ekshumować, ożywić i wysłać do pracy na plantacjach – jednak dopiero wtedy, gdy dla ostrożności uciął mu język, żeby ofiara nie mogła protestować ani wyjawić, co się jej stało. Ale Elvin... z Elvinem było inaczej. Chłopak został zakłuty na śmierć. Przebito mu serce, płuca i wątrobę. Jego ciało poddano sekcji, która zabiłaby go, gdyby już nie był martwy. Tymczasem dziś wieczorem wszedł do mieszkania Jima i rozmawiał z nim. W końcu Jim wziął się w garść. Najpierw podszedł do drzwi i zamknął je na łańcuch, a potem na miękkich nogach poczłapał do kuchni i nalał sobie kolejnego drinka. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że szyjka butelki dzwoniła o szklankę. Wypił całą porcję jednym haustem i zakrztusił się. Wrócił do pokoju. Elvin pozostawił po sobie dziwny, wyraźny zapach, aromatyczny i ostry, podobny do woni, jaką roztaczał wokół siebie wuj Umber, ale zmieszany ze słodką wonią rozkładającego się ciała. Kawałek materiału, który usiłował wręczyć Jimowi, nadal leżał na stole. Jim podniósł go i obrócił w palcach. Był to szorstki czarny materiał, jakby odcięty z księżej sutanny. Ciemnoczerwoną farbą, ledwie widoczną w sztucznym

światle,

nakreślono na nim jakieś znaki i słowa. Jim nie wiedział, jakie wrażenie może zrobić ta

przesyłka na człowieku, któremu miał ją dać, ale nie wyglądała groźnie.

Teraz musiał się zdecydować, czy porozmawia z Chillem. Nigdy nie był tchórzem, jednak

perspektywa spotkania z handlarzem narkotyków na jego własnym terenie z żądaniem

dziewięćdziesięciu procent zysków wyglądała co najmniej na kuszenie losu. Ale był pewny,

że jeśli nie pójdzie, wuj Umber nie zawaha się przed wymordowaniem wszystkich jego

uczniów.

Zerknął na zegarek. Kilka minut po północy. Z wieszaka przy drzwiach zdjął niebieski

prochowiec i włożył go. Jeszcze nigdy niczego nie robił tak niechętnie, wiedział jednak, że

nie ma innego wyjścia. Rozejrzał się po pokoju i zgasił światło. Kiedy otworzył drzwi, ujrzał

przed sobą wysoką czarną sylwetkę, obrysowaną światłem padającym przez szklaną kopułę

klatki schodowej. Wokół niej trzepotały ćmy i wyglądała jak Władca Much.

Jim cofnął się przerażony do mieszkania i stał z rozdziawionymi ustami.

Przybysz zrobił krok naprzód. W rękach trzymał jakieś pudełko lub skrzynkę.

–Przyniosłem ci pizzę, człowieku. Coś nie tak? – zapytał z niepokojem.

Jim włączył światło i zobaczył chudego chłopaka z rzadką bródką i kolczykami, w czerwono-czarnej koszulce Pizza Hut.

–Dwadzieścia dolców, człowieku – powiedział chudzielec, mocno trzymając pudełko, a

kiedy Jim otworzył portfel i wyjął dwadzieścia dolarów, dodał: – Wyglądasz pan, jakbyś

zobaczył ducha.

Jim podał mu pomięte banknoty i pięć dolarów napiwku.

–Tak – mruknął. – Właśnie miałem tu jednego.

Odszukanie „Sly’s” zajęło mu ponad dwadzieścia minut. Bar mieścił się w piwnicy i

prowadziły do niego wąskie drzwi z ciemnej bramy, nad którą migotał purpurowy neon

napisu. Jim zaparkował za rogiem, a potem poszedł do baru chodnikiem pełnym wałęsających

się bez celu młodych ludzi i czujnych, groźnie wyglądających mężczyzn. Wokół było również

pełno dziwek w szortach, minispódniczkach i perukach wszelkich możliwych

kolorów.

Wejścia do „Sly’s” strzegł niski, krępy czarnoskóry mężczyzna wyglądający jak Mike

Tyson, któremu upadł na głowę ośmiotonowy blok betonu.

–Przykro mi, koleś, ale bar zamknięty – oświadczył na widok Jima, podnosząc dłonie.

–Mam wiadomość – powiedział Jim.

–Ach tak? A gdzie mundurek Western Union?

–Czy jest tam Chill? Charles Gillespie? To dla niego mam wiadomość.

Wykidajło zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem świńskich oczek.

–Nikt nie mówi na niego Charles Gillespie oprócz jego matki. Ty też lepiej tego nie rób,

człowieku, bo chyba wiesz, co mówią o strzelaniu do posłańców, obojętnie jakie przynoszą wieści.

–Mam wiadomość dla Chilla – powtórzył Jim mówiąc tym samym tonem, jakiego używał podczas lekcji angielskiego. – Jeśli Chill tu jest, chciałbym z nim porozmawiać.

–Dobra, jak się nazywasz? – zapytał bramkarz.

–To nie ma znaczenia. Ważna jest tylko wiadomość. Nie mów mi, że nie znasz

Marshalla

McLuhana.

–Marshall McLuhan? Nigdy tu nie bywa – mruknął tamten podejrzliwie, ale podniósł

słuchawkę wiszącą na ścianie telefonu i powiedział coś do niej zakrywając usta, tak że Jim

nic nie usłyszał.

Po kilku kiwnięciach głową i pomrukach odłożył słuchawkę i rzekł:

–No dobra, możesz pan wejść. Moment... Pospiesznie obszukał Jima, a potem otworzył drzwi.

–Jeszcze dobra rada – powiedział, gdy Jim pokonał pierwsze dwa schodki. – Chill dziś

wieczór nie jest w najlepszym humorze. Leczone mu kanałowo ząb. Lepiej go nie prowokować.

Jim nic na to nie odpowiedział, ale jego niepokój wzrósł. Zaczął schodzić po wąskich,

wyłożonych czarnym chodnikiem schodach. Ściany po obu stronach pokrywały czarne lustra,

w których widział swoją postać. Na dole czekał następny ogromny goryl w okularach

przeciwsłonecznych i jadowicie niebieskim garniturze. Pozwolił Jimowi wejść przez

obrotowe drzwi do klimatyzowanego baru oświetlonego czerwono – niebieskimi światłami.

Przy czarnym pianinie siedział biały mężczyzna ze śladami trądziku na twarzy i grał „Zawsze

będę cię kochać”, jakby dopiero komponował ten utwór, a wielka dziewczyna w skąpej białej

sukni, stojąca na podium wielkości cylindra, wykrzykiwała jakieś słowa.

W najciemniejszym kącie baru, za półkolistym stołem, siedział potężny Murzyn o tlenionych włosach, otoczony pięcioma innymi czarnoskórymi w czubach, warkoczykach lub

kucykach. Wszyscy nosili czarne skórzane kurtki i grube złote pierścionki.

Murzyn o

tlenionych włosach był bardzo przystojny w pewien niedbały, nie dokończony sposób, jak

pospiesznie wykuta w hebanie i porzucona rzeźba.

Jim podszedł do jego stołu, przystawił sobie krzesło i usiadł. Cała szóstka spojrzała na

niego jak rój kobr gotowych do natychmiastowego ataku.

–Który z was jest Chill? – zapytał Jim, w pełni świadom tego, jak niewiele potrzeba,

aby zrobić coś, co uznają za niewybaczalny brak szacunku.

–Ja jestem Chill – powiedział mężczyzna z tlenionymi włosami zdumiewająco wysokim, starannie modulowanym głosem. – Masz dla mnie jakąś wiadomość? Serce Jima biło tak mocno i tak powoli, że miał wrażenie, iż za chwilę dostanie zawału.

–Mam wiadomość od Umbera Jonesa – wykrztusił.

–Kim do diabła jest ten Umber Jones? Nie znam żadnego Umbera Jonesa.

–No cóż... to tylko wiadomość – wymamrotał Jim. – Umber Jones mówi, że wie o tym, że ostatnio odebrał pan dostawę dwóch kilogramów kolumbijskiej kokainy... Chill pochylił się nad stołem i spojrzał Jimowi prosto w oczy.

–Mówiłem ci, człowieku, że nie znam żadnego Umbera Jonesa. Więc skąd ten Umber

Jones tak dużo o mnie wie?

–On ma... bardzo szczególne zdolności.

–Na przykład jakie? Podśluchuje moje rozmowy? Przekupuje moich ludzi? Czyba ten

Umber Jones nie robi niczego takiego? Nie próbuje mnie wygryźć? Bo jeśli tak, to nie

wyjdiesz stąd na własnych nogach.

–Proszę, niech pan mnie wysłucha – powiedział Jim. – Umber Jones mówi, że teraz

nadeszły inne czasy. Twierdzi, że teraz on przejmuje kontrolę i chce dziewięćdziesiąt procent

od całego zysku z transportu. Mówi, że pozwoli panu działać dalej, o ile będzie pan pracował

dla niego i nie sprawi mu żadnych kłopotów.

Jasnowłosy Murzyn patrzył przez chwilę na Jima z niedowierzaniem. Jeden z jego pomocników wstał i sięgnął ręką pod skórzaną kurtkę, ale Chill warknął: „Siadaj, Newton!”

–i tamten niechętnie usiadł. Jim mówił dalej:

–Umber Jones da panu znać, gdzie może pan mu zapłacić. Powiedział też, że jeśli pan

mnie tknie albo nie zgodzi się na jego warunki, będzie miał pan poważne kłopoty.

Chill powoli pokręcił głową.

–Człowieku, nigdy w życiu nie spotkałem nikogo, kto miałby taki tupet jak ty. Albo ten

cały Umber Jones, jeśli naprawdę istnieje. Zaraz, o ile dobrze zrozumiałem, on chciałby,

żebym oddawał mu dziewięćdziesiąt procent wszystkiego, co zarobię? Dla niego dziewięćdziesiąt, a dla mnie dziesięć, tak?

Jim tępo skinął głową. Śpiewaczka dotarła do kulminacyjnego momentu piosenki i jej głos

przeszedł w histeryczny wrzask.

–A jeśli nie dam mu tych pieniędzy... będę miał kłopoty?

–Tak.

–Co „tak”?! – wrzasnął Murzyn.

–Tak, będzie pan miał kłopoty.

–Chcesz powiedzieć „tak, panie Chill, będzie pan miał kłopoty, proszę pana”. O jakich

kłopotach mówimy?

Jim sięgnął do kieszeni i wyjął skrawek czarnej tkaniny. Teraz serce biło mu tak wolno, że

prawie zatrzymywało się i miał wrażenie, że za chwilę sam może zmienić się w zombie.

Rozłożył materiał na stole, a Chill odsunął popielniczkę pełną łupinek po orzeszkach

pistacjowych, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Podniósł materiał, obrócił go w palcach, pochylił

się do światła i przeczytał to, co zostało napisane na tkaninie.

Potem z dziwnym wyrazem twarzy spojrział na Jima.

–Skąd to masz? – zapytał.

–Dał mi to Umber Jones, żeby panu oddać. Nawet nie wiem, co to takiego.

–Nie wiesz, co to jest? Przynosisz mi klątwę voodoo i nie wiesz, co to jest?

–Słuchaj pan... jestem tylko posłańcem. Jestem nauczycielem w college’u i o voodoo

wiem tylko tyle, ile wyczytałem w książkach i gazetach.

Chill rąbnął pięścią w stół. Pistacjowe łupiny rozprysły się na wszystkie strony.  
–To klątwa voodoo! – ryknął. Podsunął Jimowi materiał pod nos. – Ten kawałek odcięto z sutanny zamordowanego katolickiego księdza, a ostrzeżenie napisano jego krwią!

Wiesz, co ono głosi? Tu, patrz: jama ebaya ozias – a tutaj jest znak Barona Samedi, władcy

cmentarzy! Ośmielasz się przynosić mi coś takiego?

–Ja... musiałem to zrobić. Nie miałem wyboru. Jestem winien Umberowi Jonesowi pewnego rodzaju przysługę, to wszystko. Nie pytaj mnie o voodoo. Nie pytaj mnie

o narkotyki. Ja tylko próbuję pozostać przy życiu i ochronić kilka osób, które są dla mnie

bardzo ważne, rozumiesz?

Chill przez dłuższy czas mierzył go spojrzeniem. Wydawało się, że trwa to całe godziny.

Wreszcie sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę papierosów. Włożył jednego do ust i natychmiast

szczęknęły cztery zapalniczki. Ale Chill sam sobie przypalił.

–Kim on jest, ten Umber Jones? Facet zmęczony życiem czy co?

–Na pańskim miejscu nie lekceważyłbym go.

Chill zrolował w palcach skrawek sutanny.

–Zna się na voodoo, muszę mu to przyznać. Czasem używa się drzazgi z ołtarza albo

hostii... zanurzają to we krwi kurczęcia, co ma być ostrzeżeniem. Jednak to, co przyniosłeś,

to śmiertelna groźba... A nikt nie grozi śmiercią Chillowi, wierz mi.

–Ja nic nie wiem – odparł Jim. – Kazał mi to tu przynieść, więc przyniosłem.

Chill uśmiechnął się i wypuścił dym przez zaciśnięte zęby.

–Nie mam pojęcia, co ktoś taki jak pan robi w tym interesie, jednak na pańskim miejscu

zapomniałbym o tym Umberze Jonesie, kimkolwiek on jest, i wyniósł się jak najdalej z L.A.

Słyszałem, że Nome na Alasce to o tej porze roku całkiem przyjemne miejsce...

–Więc co mam mu powiedzieć?

–Powiedz mu, żeby poszedł do diabła.

Chill powiedział to zupełnie spokojnie, jednak Jim dosłyszał w jego głosie wahanie,

zdradzające głęboko skrywaną niepewność. Ten kawałek materiału wuja Umbera poważnie

go zaniepokoił. Zachowywał się jak Billy Bones z „Wyspy Skarbów” po otrzymaniu czarnej

plamy.

Jim czekał jeszcze przez chwilę, lecz Chill zgasił papierosa, a jego pomocnicy

**zaczęli**

**wzruszać ramionami i spoglądać groźnie na intruza – najwyraźniej audiencja była skończona**

**–wstał więc i opuścił bar w chwili, gdy śpiewaczka zaczęła potwornie fałszować „Jesteś po**

**prostu najlepszy”. Pomyślał, że jeśli Chill zamierza kogoś zastrzelić, to najpierw powinien**

**zastrzelić tę babę.**



## ROZDZIAŁ IX

Ku zdziwieniu Jima następnego ranka Tee Jay przyszedł na zajęcia. Miał na sobie podkoszulek z napisem Snoop Doggy Dog i dziwny, nieobecny wyraz twarzy. Jim wszedł do klasy niosąc pod pachą gruby folder. Rzucił go na biurko, po czym stał przez chwilę, spoglądając kolejno na każdego ucznia: Sue-Robin Caufield, flirtującą i rozgadaną; Davida Littwina, ze zmarszczonymi brwiami wpatrującego się w swój stolik, jakby nie mógł pojąć, skąd się tu wziął; śmiejącą się głośno Muffy Brown; Raya Vito, z przymkniętymi oczami flirtującego z Amandą Zaparelli – teraz, kiedy miała już proste zęby, wzbudziła jego gwałtowne zainteresowanie.

Jim potarł brodę grzbietem dłoni. Przez całą noc miał koszmary i rano nie ogolił się zbyt dokładnie. Włosy nie dały się ułożyć tak, jak chciał, a w szufladzie znalazł tylko jedną czystą koszulę – była to koszula w niebieską kratę, którą zazwyczaj wkładał do prac przy samochodzie. Brakowało jej dwóch guzików, ale przynajmniej była uprasowana.

– Miło mi powitać Tee Jaya z powrotem w klasie i jestem pewny, że wam również – zaczął. – To, co przydarzyło się Elvinowi, było straszną tragedią, lecz chyba łatwiej będzie nam ją znieść wiedząc, że sprawca nie jest jednym z nas.

Mówiąc „Jednym z nas”, obrócił się i spojrzał na Tee Jaya. Tylko oni obaj wiedzieli, że Tee Jay naprawdę był zamieszany w morderstwo i nawet jeśli sam nie zabił Elvina, to przecież stał i patrzył, jak Umber Jones dźga nożem jego przyjaciela. Ale Jim chciał, aby chłopiec czuł, że należy do klasy i zawsze może się zwrócić do nich o pomoc. To był jedyny sposób, w jaki mógł wyrwać go spod okropnego wpływu wuja.

– Dzisiaj przeczytamy „Dlaczego głaskał koty” Merrilla Moore’a. Strona sto osiemnaście w książce „Współczesna poezja amerykańska”. Chcę, żebyście najpierw przeczytali go sami i spróbowali zrozumieć. To trudny i dziwny wiersz, jednak chciałbym od każdego z was usłyszeć, co o nim sądzi.

Głaskał koty z najrozmaitszego powodu  
Na przykład, kiedy wszedł do domu i czuł,

**Że podłoga może się zapaść razem ze ścianami**

**Zgodnie z niektórymi prawami magii.**

**To właśnie chyba głosił znak nad drzwiami:**

**Naruszenie praw przez intruzów takich jak on.**

**Lecz nie miał nic do stracenia i nic do zyskania,**

**Więc zawsze wchodził...**

**Wciąż jeszcze czytał po cichu wiersz, kiedy dostrzegł czarny dym kłębiący się nad parapetem. Dym gęstniał i rósł lekko wirując, aż stopniowo przybrał postać wuja**

**Umbera, z**

**początku niewyraźną i zniekształconą, ale potem całkiem dobrze widoczną.**

**Jim usiłował na niego nie patrzeć, jednak okazało się to niemożliwe, gdyż Umber**

**Jones**

**podszedł prosto do jego biurka i stanął tuż przed nim. Jego twarz wyglądała jak**

**upudrowana**

**popiołem, a oczy jak dwie czerwone kulki. Przypominał zombie, ale przemówił**

**swoim**

**zwykłym, grubym i groźnym głosem:**

**–Zrobił pan to, o co prosiłem, i porozmawiał z człowiekiem zwanym Chill?**

**Jim skinął głową. Zauważył, że Sharon podniosła głowę znad książki i spogląda na**

**niego**

**marszcząc brwi, jakby czuła, że dzieje się coś dziwnego. Jim nie chciał, aby**

**Umber Jones**

**zaczął podejrzewać, że któryś z uczniów wie o jego istnieniu, ale kiedy zerknął na**

**Tee Jaya,**

**zorientował się, że chłopiec widzi wuja równie wyraźnie jak on.**

**–W porządku, panie Rook... i co ten Chill miał do powiedzenia?**

**Jim nie odpowiedział. Umber Jones podszedł jeszcze bliżej do biurka i wyciągnął**

**rękę.**

**–Nie dosłyszałem, panie Rook. Może niech pan mówi trochę głośniej.**

**Jim nadal spoglądał na niego i nic nie mówił. Umber Jones patrzył na niego przez**

**jakiś**

**czas, a potem zaczął odkręcać prawe ramię. W końcu zdjął je, ukazując ukryte w**

**nim ostrze.**

**–Widzi pan ten nóż, panie Rook? To ostrze ma moc Ghede, który jest najbliższym współpracownikiem Barona Samedi. Kiedy Baron Samedi potrzebuje zwłok,**

**dostarcza mu je**

**Ghede. Chyba nie chce pan zostać takimi zwłokami?**

**Przysunął nóż pod nos Jima, aż ostrze prawie dotknęło jego brody.**

**–Może jednak powie mi pan, co powiedział Chill zeszłego wieczoru?**

**–Powiedział, żeby poszedł pan do diabła.**

**–Oczywiście – zaśmiał się Umber Jones. – Chyba nie oczekiwał pan, że odda**

**dziewięćdziesiąt procent swoich zysków ot tak, ponieważ kazał mu to zrobić jakiś**

**nauczyciel**

**z college'u?**

**–Nie, prawdę mówiąc, nie.**

**Jeszcze dwóch czy trzech uczniów podniosło wzrok znad książek.**

**–Ale przekazał mu pan wiadomość, no nie? I ostrzegł go, co będzie, jeśli nie zrobi tego,**

**co mu kazano?**

**–Tak.**

**–Więc następnym razem, kiedy pan się z nim zobaczy, będzie bardziej chętny do współpracy?**

**–O czym pan mówi? Co pan chce zrobić?**

**–Zamierzam przekonać go tak, jak zawsze przekonuję wszystkich, którzy mi się opierają.**

**–Jeśli komuś znów stanie się krzywda... – zaczął Jim.**

**W tej samej chwili John Ng zerwał się z miejsca. Na jego twarzy malowała się panika.**

**–Panie Rook! – zawołał, trzymając w ręce amulet. – Panie Rook, on tu jest, prawda?**

**To z nim pan rozmawia! Spójrzcie na mój kamień! Zrobił się cały czarny!**

**Sharon również się poderwała.**

**–Wyczuwam go, panie Rook! Niech pan nie udaje, że go tu nie ma!**

**Inni uczniowie, zaskoczeni, rozglądali się na wszystkie strony.**

**–Kto tu jest? O kim oni mówią?**

**–To ten człowiek w czerni! – wrzasnął John. – To ten facet, który zabił Elvina!**

**Nikt**

**go nie widzi, tylko pan Rook, ale on tu jest. Jest tu wśród nas, w tym pokoju!**

**Tee Jay obrócił się na krześle.**

**–Zamknij się, ty wietnamski głupku! O czy ty mówisz, do diabła, jaki facet ubrany na**

**czarno?**

**–On tu jest! – oświadczyła Sharon. – Wiem, że tu jest!**

**–Ty też się zamknij, suko – warknęła na nią Tee Jay. – Zwariowałaś czy co?**

**–Tee Jay! – skarcił go Jim. W tym momencie poczuł zimne dotknięcie na twarzy i leżącą przed nim książkę opryskały kropelki krwi.**

**Zaszokowany, przycisnął dłoń do policzka. Umber Jones mierzył go gniewnym spojrzeniem, obnażając pożółkłe zęby w groteskowym uśmiechu.**

**–Powiedziałem panu, żeby im pan nic nie mówił, no nie? Nie usłuchał mnie pan.**

**W klasie zapadła głucha cisza. Wszyscy uczniowie patrzyli na Jima szeroko otwartymi**

**oczami. Krew ciekła mu między palcami i skapywała z łokcia.**

**–Nic im nie powiedziałem – odparł. – Byli dostatecznie wrażliwi i inteligentni, więc domyślili się sami.**

**Umber Jones zdawał się rosnąć i puchnąć, aż osiągnął ponad dwa metry. Miał na sobie**

czarny garnitur i zapinaną na guziki czarną kamizelką, którą Jim wyraźnie widział, chociaż

wydawała się dziwnie przezroczysta. Patrząc przez nią mógł dostrzec twarze swoich uczniów

–Ricky’ego, Beattie i Shermy Feldstein.

–Teraz, kiedy już o mnie wiedzą – oznajmił Umber Jones – może przydałaby im się mała lekcja, żeby wiedzieli, co się stanie, jeśli o mnie komuś powiedzą.

–Nie dotykaj ich, ani się waż! – krzyknął Jim.

–A kto mnie powstrzyma?

–Słuchaj, zrobię wszystko, co chcesz! Chcesz, żebym wrócił i porozmawiał z Chillem?

Dobrze, zrobię to. Tylko zostaw w spokoju moich uczniów!

–Zrobisz, co zechcę, bez względu na to, czy ich zostawię w spokoju, czy nie. Jest pan

moim przyjacielem, panie Rook, pamięta pan?

Jim skoczył, usiłując złapać Umbera Jonesa za ramię, ale jego ręce przeszły przez tamtego

jak przez dym. Umber Jones machnął uzbrojonym ramieniem i rozciął Jimowi lewy rękaw

marynarki, a potem drasnął go w czubek nosa. Gdyby Jim nie cofnął w porę głowy, Umber

Jones rozciąłby mu nozdrze.

Klasa widziała tylko uskakującego i miotającego się Jima, jego rozcięty rękaw i lejącą się

krw. Muffy zaczęła wrzeszczeć, a kiedy Jim zatoczył się na stolik Jane Firman, ona też

podniosła krzyk. Chłopcy wołali przestraszeni:

–Trzymajcie go! Niech go ktoś przytrzyma! Sprowadźcie pana Wallechinsky’ego! Nie

pozwólcie mu upaść!

Tee Jay nagle wstał i krzyknął:

–Nie! Słyszycie mnie? Nie wołajcie nikogo! Zamknijcie się i zostańcie na swoich miejscach!

Wszyscy nagle zamilkli, oprócz Muffy, która żałośnie pociągała nosem. Umber Jones

cofnął się od Jima, unosząc wysoko ostrze i tocząc okrutnymi szkarłatnymi ślepiami. Jim

wyjął chusteczkę higieniczną z pudełka na biurku i przycisnął ją do policzka. Był wstrząśnięty i obolały, ale najgorsze było to, że czuł się bezsilny. Powinien ochraniać swoich

studentów, a nie potrafił.

–Słuchajcie mnie uważnie – powiedział Tee Jay. – Wyjdziecie stąd i nikomu nie powiecie ani słowa o tym, co tu widzieliście. Ten człowiek w czerni, o którym

**mówił pan**

**Rook, jest prawdziwy, nawet jeśli nie możecie go zobaczyć. Ja go widziałem.**

**Widziałem go**

**w dniu, w którym zginął Elvin, i widzę go teraz, wyraźnie jak na dłoni.**

**Stał na środku klasy, spoglądając po kolei na każdego z nich.**

**–Może przedtem nie wierzyliście w jego istnienie, ale spójrzcie na to skaleczenie**

**na**

**policzku pana Rooka i powiedzcie mi, skąd się wzięło. Jeśli nie chcecie, żeby**

**przytrafiło się**

**wam to samo, trzymajcie buzie na kłódkę i nie rozmawiajcie o tym z nikim. A jeśli**

**potrzebujecie bardziej przekonujących argumentów, idźcie do zakładu**

**pogrzebowego i**

**spójrzcie na ciało Elvina.**

**–Kim jest ten mężczyzna w czerni? – zapytał go Russell Gloach.**

**–Kimś w rodzaju ducha, to wszystko.**

**–Ducha? – mruknął zdziwiony Ray. – Duchów przecież nie ma.**

**–No, może raczej duszą bez ciała. On nie jest martwy... tylko potrafi opuszczać**

**swoje**

**ciało.**

**–Skąd tyle o nim wiesz? – zapytała Sue-Robin.**

**–To duch kogoś, kogo znam. Dlatego tu jest.**

**–Czy nie możesz mu powiedzieć, żeby zostawił nas w spokoju? – spytała żałośnie**

**Jane.**

**Miała łzy w oczach i była bardzo przestraszona.**

**Tee Jay energicznie potrząsnął głową.**

**–To nie jest taki rodzaj ducha, któremu można wydawać jakiegokolwiek rozkazy.**

**Chcecie**

**żyć długo i szczęśliwie? Więc traktujcie go z szacunkiem i trzymajcie się z daleka.**

**Rozumiecie?**

**Jim wyszedł przed klasę i nie patrząc na Tee Jaya powiedział:**

**–Słuchajcie wszyscy, Tee Jay ma rację. We własnym interesie nie powinniście**

**mówić**

**nikomu o tym, co tu dziś zaszło. Nawet rodzinie czy najbliższemu przyjacielowi.**

**–A co możemy zrobić z tym duchem? – spytała Beattie, nerwowo rozglądając się**

**po**

**klasie.**

**Jim zerknął na Umbera Jonesa, lecz ten opuścił głowę, tak że zasłoniło ją rondo**

**kapelusza.**

**–Nic nie możemy zrobić – odparł Jim. Klasa wyczuła rezygnację w jego głosie i**

**zamilkła.**

**Jim otarł twarz. Policzek przestał krwawić, jednak przydałoby się go obmyć.**

**Powinien**

**pójść prosto do gabinetu lekarskiego, ale nie zamierzał zostawiać klasy sam na**

sam z

Umberem Jonesem.

–Wracajmy do wiersza – powiedział. – Tee Jay... zechcesz usiąść na swoim miejscu?

Chłopak wzruszył ramionami i klapnął na swoje krzesło.

Jim wrócił za biurko i usiadł. Przed nim leżał zalany krwią podręcznik. Zerknął na Umbera

Jonesa, lecz ten pozostał na swoim miejscu, wciąż kryjąc twarz w cieniu szerokiego ronda

kapelusza.

Wszyscy szeptali i wiercili się niespokojnie.

–No już, wracajmy do wiersza – powtórzył Jim. – On nie uczyni wam krzywdy, jeśli zrobicie to, co powiedział Tee Jay... A teraz chcę, żebyście wszyscy zastanowili się, czy to

zapadanie się podłóg i znikanie ścian było prawdą, czy tylko alegorią? A jeśli tak, to alegorią

czego? I co miał na myśli autor, mówiąc o innych prawach magii”?

Klasa milczała. Wiedzieli, że Umber Jones nadal pozostaje w pokoju, czy widzą go, czy

nie. Wuj Umber zdjął kapelusz, przygładził dłonią popietatoszane włosy i z ironicznym

uśmiechem spojrzał na Jima,

–Chill przestraszył cię, prawda? – powiedział tym swoim głosem przypominającym tek

wleczonego po cemencie worka.

Jim zignorował go i wskazał na siedzącego w odległym kącie Grega.

–Jak myślisz, co poeta rozumiał przez „niektóre prawa magii”? – zapytał.

Greg wykrzywił twarz w tuzinie różnych grymasów, zanim zdołał wykrztusić:

–Przesady... no, wie pan, o czym mówię? Takie jak te związane z rozsypywaniem soli

czy przechodzeniem pod drabiną...

–Bardzo dobrze, Greg. Rozmaite tabu, o tym pisał. To określenie pochodzi od polinezyjskiego słowa „tabu”, oznaczającego święty lub szczególnie ważny obiekt.

Umber Jones zauważył:

–Ktoś powinien opatrzyć panu ten policzek. Paskudne skaleczenie.

–Nie przeszkadzaj – odparł spokojnie Jim, chociaż wciąż trząsał się ze złości. – Te dzieci muszą się uczyć.

Ich oczy spotkały się na moment. Potem Umber Jones oświadczył:

–W porządku. Przyślę do pana posłańca z wiadomością.

–Tylko nie Elvina, proszę. Niech spoczywa w pokoju.

–Elvin? On nie chce spoczywać w pokoju. Z przyjemnością wychodzi na spacer.

Jim nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Ale Umber Jones już zaczął drgać i

**blaknąć, a po**

**kilku chwilach jego dym rozwiął się i zniknął, jakby go nigdy nie było.**

**–Poszedł sobie – oświadczył John Ng. – Spójrzcie na mój kryształ. Znowu jest przezroczysty.**

**–Naprawdę poszedł? – zapytała Rita.**

**–Tak – potwierdził Jim. – Myślę, że da nam wreszcie spokój.**

**–Czego on chciał? – nalegała Sherma.**

**–Nie powinniście się tym przejmować – powiedział Jim. – Przykro mi tylko, że zostaliście w to zamieszani.**

**–No, Tee Jay, powiedz nam, czego on chce – zażądał Russell. – Wygląda na to, że jesteście dobrymi kumplami.**

**–Słyszałeś, co powiedział pan Rook. On niczego od was nie chce. Żąda tylko**

**odrobiny**

**szacunku i dyskrecji – odparł Tee Jay i przytknął palec do ust tak, jak zrobił to**

**Umber Jones,**

**kiedy zaglądał przez okno. Potem odwrócił się do Jima i powiedział: – Ktoś musi**

**panu**

**opatrzyć to skaleczenie, panie Rook. Może zaprowadzę pana do higienistki?**

**W jego głosie było coś, co kazało Jimowi natychmiast odłożyć zakrwawiony**

**podręcznik.**

**–W porządku, Tee Jay. To nie potrwa długo – zwrócił się do pozostałych uczniów.**

**–**

**Może tymczasem napiszecie wiersz o waszych przesądach... o wszystkim, co was przeraża.**

**O rozbitych lustrach, omijaniu pęknięć chodnika, o liczbie trzynaście...**

**Spojrzeni na niego, wciąż stropieni i zdenerwowani. Wyszedł zza biurka i przeszedł**

**między**

**stolikami, poklepując uczniów po ramionach i ściskając ich ręce.**

**–Słuchajcie – powiedział – zdarzyło się tu coś bardzo dziwnego i**

**niebezpiecznego.**

**Jednak dopóki nie stracimy głowy... póki będziemy trzymać się razem, wszystko**

**będzie**

**dobrze.**

**Tee Jay wstał i wziął go pod rękę.**

**–Chodźmy, panie Rook. Naprawdę ktoś musi obejrzeć pański policzek.**

**Wyszli z klasy i poszli korytarzem. Obok przeszedł pan Wallechinsky, wciąż**

**noszący**

**plaster na policzku. Jim zasłonił ręką twarz.**

**–Jak leci, panie R.? – powitał go woźny.**

**Jim odparł:**

**–Wspaniale.**

**Minęli zakręt na końcu korytarza i Tee Jay przystanął.**

**–Panie Rook... muszę panu coś powiedzieć. Wiem, że mnie pan nienawidzi. Wiem,**

że

uważa pan, że pomogłem wujowi Umberowi zabić Elvina, ale to wcale nie było tak...

Jim oparł się plecami o ścianę, W oddali słyszał miarowy pisk sportowych butów uczniów

na wypastowanej drewnianej podłodze. Nie był nastawiony zbyt przyjaźnie czy współczująco.

Kołnierzyk miał mokry od krwi i wciąż trząsał się ze złości. Jednak Tee Jay mówił bardzo

poważnie i wyglądał teraz jak dawniej, a nie jak rozwścieczony chuligan, który pobił Elvina

w toalecie.

–No dobrze – mruknął Jim. – A jak było?

–Zaczęło się to sześć miesięcy temu, kiedy wuj Umber niespodziewanie stanął w drzwiach. Powiedział, że wrócił z długiej podróży po Europie, Afryce czy skądś tam, i że

chce znowu nas poznać. Nie pamiętałem go. Miałem tylko dwa lata, kiedy opuścił L.A.

Mamie chyba się nie spodobał, ale w końcu był bratem ojca, więc co miała zrobić? Ja

uważałem, że jest wspaniały. Był zabawny i znał mnóstwo tych niesamowitych opowieści o

ceremoniach voodoo i ołtarzach z ludzkich kości, o kapłankach mówiących nieznanymi

językami. Nauczył mnie wszystkiego. Pokazał mi. Sprawił, że przekonałem się, iż voodoo jest

jedyną prawdziwą religią, rozumie pan? I tak jest, to jedyna religia, która jest rzeczywista.

Jedyna dająca dowody na to, w co wierzysz.

–No cóż, w tym muszę ci przyznać rację – rzekł Jim, odejmując dłoń od policzka i pokazując Tee Jayowi krew na palcach.

–Przepraszam, panie Rook. Nie chciałem tego.

–A Elvin? Co z Elvinem? Pewnie tego też nie chciałeś. Jednak Elvin nie żyje, a przynajmniej wszyscy tak sądzą.

–Właśnie o tym chcę teraz z panem porozmawiać. Dopiero wtedy, gdy wuj Umber zabił

Elvina, przekonałem się, do czego jest zdolny. Powiedział, że zamierza nauczyć Elvina

szacunku... Nie miałem pojęcia, że chce go zabić. Przysięgam.

–Byłeś tam, kiedy to się stało. Dlaczego nie próbowałeś go powstrzymać?

Tee Jay potrząsnął głową.

–Jego nic nie powstrzyma, panie Rook. Może wezwać na pomoc Voduna, Barona Samedi i mnóstwo duchów, o jakich pan nigdy nie słyszał. Widzi pan, kiedy w



latach

siedemdziesiątych mieszkał w Venice, zarabiał na życie myjąc samochody białych ludzi.

Obiecał sobie, że już nigdy nie będzie się tak poniżać. Chciał znaleźć prawdziwą władzę. Nie

polityczną, lecz magiczną. I przyrzekł sobie, że pewnego dnia wróci do L.A. i zdobędzie

wszystko, stanie się szanowany i bogaty, i żaden biały człowiek nie pstryknie na niego

palcami i nie nazwie go „chłopcem”. Nie pozwoli nikomu na brak szacunku wobec siebie i

takich jak on.

–I dlatego zabił Elvina?

Tee Jay przełknął ślinę i skinął głową.

–Elvin zawsze śmiał się z voodoo. Próbowałem przekonać go, że to jedyna religia, jaką

czarny człowiek może wyznawać, ale on tylko szydził ze mnie. Mogłem to znosić, kiedy

jednak zaczął obrażać Barona Samedi, przestało mi to być obojętne. Powiedział: „Zamierzasz

odgryzać łby drobiu, łązić z twarzą pomalowaną na białą i w czarnym kapeluszu?”

Wtedy go

uderzyłem. Żałuję, że to zrobiłem, ale nie powinien tak mówić. Nie o czymś, w co naprawdę

wierzę.

–I co się wtedy stało? – spytał Jim. – Twój wuj przyszedł do szkoły? Skąd wiedział, że

jesteś zły na Elvina?

–Zadzwoiłem do niego do domu, bo bałem się, że doktor Ehrlichman każe mnie zapuszkować. Wuj Umber zapytał mnie, co się stało, więc opowiedziałem mu

wszystko.

Powiedział, że zajmie się tym, i tak też zrobił. A raczej zrobił to jego Dym...

Tee Jay głęboko wciągnął powietrze. Jim widział, że chłopiec jest bliski łez.

–Kazał mi zawołać Elvina do kotłowni. Powiedziałem Elwinowi, że mam trochę niezłej

trawki. Przeszedł tam, a wuj Umber dmuchnął na niego tym swoim proszkiem, i Elvin

zesztywniał jak trup. Nie mógł się poruszyć, nie mógł mówić, jednak przez cały czas patrzył

na mnie, jakby błagał, wie pan? Wuj Umber powiedział, że na Haiti zadają bluźniercom za

karę dwieście pchnięć nożem...

Tee Jay znów zamilkł na dłuższą chwilę, a potem powiedział:

–Tak właśnie postąpił z Elvinem, na moich oczach. Byłem przerażony, panie Rook,  
cholernie przerażony. Wiedziałem, że jeśli spróbuję go powstrzymać, zrobi ze mną to samo.

On zabije każdego, kto stanie mu na drodze, panie Rook...

–Więc czemu go nie opuścisz, jeśli jesteś tak cholernie przestraszony? Dlaczego nie wrócisz do domu?

Tee Jay wbił oczy w podłogę.

–On mi nie pozwoli – wymamrotał.

–Ach tak? I to jedyny powód? Po prostu ci nie pozwoli? Daj spokój, Tee Jay, znam cię trochę lepiej.

–To jeden z powodów. A poza tym ja wierzę w voodoo, panie Rook. Naprawdę wierzę.

Ono daje moc. Czuję ją w rękach i w myślach. Nigdy nie czułem się taki silny. Nigdy nie

byłem taki pewny siebie. Pierwszy raz w życiu czuję, że jestem kimś ważnym, że mam jakąś

przyszłość, rozumie pan? Czuję, że jestem panem mojego losu.

–Rozumiem. Masz przed sobą przyszłość, obojętnie kogo skrzywdzisz?

–Nie chciałem śmierci Elvina, panie Rook, przysięgam. To już się nie powtórzy.

–A jeśli Chill nie zechce oddać Umberowi Jonesowi dziewięćdziesięciu procent zysków?

Przysięgniesz, że twój wuj nie tknie go palcem?

–Chill jest handlarzem narkotyków. Wie, co ryzykuje.

–Och, pewnie. Jednak to nie oznacza, że można go zabić. Powinno zająć się nim prawo.

Nie podnosząc głowy, Tee Jay powiedział:

–Panie Rook... to nie takie proste. Jestem między młotem a kowadłem. Szanuję pana, bo

jest pan chyba jedynym białym człowiekiem, który rozumie, co dzieje się w mojej głowie, ale

voodoo jest takie fascynujące... Daje poczucie władzy. Dzięki niemu czarni ludzie czerpią ze

studni swego dziedzictwa. A pan zawsze mówił, abyśmy nie wypierali się naszego dziedzictwa, prawda?

–Nie jestem uprzedzony do voodoo – powiedział Jim. – Szanuję voodoo tak samo jak

katolicyzm, szintoizm czy jakąkolwiek inną wiarę. Jednak nie lubię przemocy i przymusu. A

przede wszystkim nie pochwalam morderstw. Powinieneś pójść do rodziców Elvina i

powiedzieć im, jaki czujesz się silny teraz, kiedy odkryłeś voodoo.

–Lepiej zaprowadzę pana do higienistki – odparł Tee Jay.

–Dziękuję, chyba sam trafię – mruknął Jim i ruszył korytarzem, zostawiając Tee Jaya.

Chłopiec spoglądał za nim przez chwilę, a potem zawołał:

–Panie Rook! Niech mnie pan nie odpycha, proszę! Robię, co mogę, przysięgam!

Jim przystanął, ale nie odwrócił się.

–Obiecuję, panie Rook, że zrobię wszystko, żeby już nikomu nie stała się krzywda!

–A jeśli wuj Umber znów zechce kogoś zabić? Po czyjej stronie? Jego czy

mojej? – zapytał Jim.

–Jestem krwią z jego krwi, panie Rook. Musi pan to zrozumieć.

–Właśnie – powiedział Jim i powlókł się do gabinetu lekarskiego.

Reszta dnia minęła spokojnie. Kiedy chłopcy poszli do warsztatu spawać i naprawiać

samochody, a dziewczyny słuchały wykładu o gospodarstwie domowym, Jim przeprowadził z

Jane Firman indywidualną lekcję rozpoznawania słów. Potem pracował z Davidem Littwinem

nad jego jękami.

Lubił Davida. Mimo wady wymowy chłopiec był zawsze chętny do współpracy i nigdy nie

obrażał się na innych, kiedy z niego drwili. Jim nie udawał, że jego uczniowie nie mają wad.

Wcześniej czy później będą musieli stawić czoło światu, który nie wybacza jękania się,

fatalnego akcentu czy ociężałego myślenia. Chciał, żeby jego uczniowie nabrali pewności

siebie, ale nie przekonywał ich, że będzie im łatwo żyć i zawsze będą otoczeni przez

wybaczących przyjaciół i życzliwie nastawionych nauczycieli. Pewnego dnia jakiś

niecierpliw pracodawca zapytał Davida, czy jest nadzieja, że otrzyma odpowiedź do Bożego

Narodzenia, i chłopak będzie musiał sobie z tym poradzić.

Od kiedy David rozpoczął naukę w drugiej klasie specjalnej, poczynił znaczne postępy, ale

Jim nie zamierzał wmawiać mu, że ludzie będą czekać w nieskończoność, podczas gdy on s-

s-syka, usiłując powiedzieć, o co mu chodzi.

Pod koniec dnia rozległo się pukanie do drzwi klasy i weszła Susan.

–Słuchaj – oświadczyła – kiedy mówiłam, że powinieneś trzymać się ode mnie z

daleka, nie miałam na myśli trzech tysięcy mil i zawsze.

–Przepraszam – odparł Jim, wpychając plik wypracowań do walizeczki i zamykając ją z

trzaskiem. – Byłem dziś bardzo zajęty.

–Skaleczyłeś się – powiedziała zatroskana. Podeszła i dotknęła jego policzka, a potem

nosa. – Jak to się stało? Wyglądasz jak pan Wallechinsky.

–To nic takiego. Pęknięta szyba.

Zmarszczyła brwi.

–Czy dzieje się coś złego? – zapytała.

Wciąż myślał o tym, jak przymknęła oczy, kiedy powiedziała, że go kocha, i jak namiętnie

go pocałowała.

–Wszystko w porządku – mruknął. – Miałem ciężki dzień, to wszystko.

Chciał wyjść zza biurka, ale Susan nie ruszyła się z miejsca, zagradzając mu drogę.

–Nie chcę, żebyś myślał, że jestem na ciebie zła – powiedziała. – Nadal chciałabym

obejrzeć twoje mapy, jeśli kiedyś znajdziesz chwilę czasu.

–Ja nie mam żadnych map – oświadczył. – Ron Philips po prostu napuszczał nas na

siebie.

–Nie masz map? – Susan zamrugła oczami. – Co chcesz przez to powiedzieć? A co z

mapą północno-zachodniego przejścia Martina Frobishera?

Potrząsnął głową.

–Wymyśliłeś to? – zapytała z niedowierzaniem. – Po co to wymyśliłeś?

Zanim dokończyła zdanie, natychmiast zrozumiała dlaczego i zaczerwieniła się jak nastolatka.

–Przepraszam – powiedziała. – Nie powinnam o to pytać. To było grupie.

Słuchaj...

zrobiłam z siebie kompletną idiotkę. Lepiej już pójdę.

Chwyił ją za rękę.

–Susan... Ja nie wiem, co zaszło między nami. Nie wiem, dlaczego powiedziałaś, że

mnie kochasz, a potem zmieniłaś zdanie. Sądzę, że kobiety mają prawo bywać zmienne, ale

bardzo chciałabym wiedzieć, co cię ode mnie tak nagle odepchnęło. Mam nieświeży oddech?

Rano w supersamie poznałaś Richarda Gere? Co?

–Nie rozumiem tego – przyznała Susan. – Uważasz, że między nami było coś, a nie

było. Po prostu odwiozłeś mnie do domu. Rozmawialiśmy o mapach, i to

**wszystko. Potem**

**wpadłeś na żywopłot i zamoczyłeś spodnie.**

**–Nie całowaliśmy się?**

**–Cmoknęłam cię w policzek.**

**–Cmoknęłaś, a nie pocałowałaś? Bez języczka?**

**–Języczka? – powtórzyła ze zdumieniem. – Jim... rozmawialiśmy o mapach, nic więcej. Od tego nie przechodzi się zaraz do pocałunków z języczkiem.**

**Jim przycisnął rękę do czoła.**

**–Coś mi się pokręciło. Myślałem, że całowaliśmy się. Myślałem, że powiedziałaś,**

**że**

**mnie kochasz, i pocałowaliśmy się.**

**Susan wzięła go za rękę.**

**–Jim... lubię cię i podziwiam twoją pracę z drugą klasą specjalną, ale nigdy nie mówiłam, że cię kocham. I uwierz mi, proszę... nigdy się nie całowaliśmy.**

**Jima nagle olśniło. Proszek pamięci! Sprawdzał proszek pamięci wyobrażając**

**sobie, że**

**Susan jest zakochana w nim po same uszy. Teraz przypomniał to sobie. Wiedział,**

**że to tylko**

**działanie proszku, ale mimo to nadal był przekonany, że całował się z Susan. To**

**było**

**najdziwniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doznał. Nadal czuł jej wargi, czuł**

**miętkość jej**

**włosów i lekki oddech na swoim policzku. „Pokochałam cię od pierwszego**

**wejrzenia”.**

**Powiedziała to tak wyraźnie, że mógł wyobrazić sobie każde słowo w lśniących,**

**soczystych**

**barwach, jak garść kolorowych cukierków.**

**–Jezu – wymamrotał oszołomiony.**

**–Słuchaj... – zaczęła Susan. – Może za jakiś czas moglibyśmy pójść na kolację.**

**Albo**

**na piknik.**

**–Jasne – powiedział i uścisnął jej rękę. – Chyba lepiej pójdę już do domu. Kotka Tibbles pewnie czeka na kolację.**

**Gdy wracał do Venice, zrobiło się parno i ujrzał węzowe języki błyskawic**

**przelatujących**

**nad górami Santa Monica, Zanim przejechał połowę drogi, usłyszał ogłuszający**

**trzask**

**pioruna i zobaczył rozpryski deszczu na chodnikach. Niebawem woda spływała**

**kaskadą z**

**dachu samochodu, a wycieraczki zaciekle śmigają tam i z powrotem po przedniej**

**szybie.**

**Kiedy dotarł do swojego domu, zaparkował jak najbliżej cementowych schodów i**

**wysiadł**

trzymając nad głową egzemplarz National Geographic. Szkoda rytuałów płodności  
ludu Motu

z Papui-Nowej Gwinei – trochę się umoczą.

Wszedł po schodach. Myrlin obserwował go przez okno kuchni, ale gdy Jim nagle odwrócił się i zrobił okropnego zeza, pospiesznie opuścił rolety.

Kiedy Jim otwierał frontowe drzwi, zagrzmiało ponownie i zaczął padać jeszcze ulewniejszy deszcz, spływając strumieniem z dachu i wytryskując z rynien. Zapalił

światło i

wrzucił mokrą gazetę do kosza. Zostawił drzwi lekko uchylone i po kilku

sekundach pojawiła

się kotka, ocierając się o jego nogi i miauczeniem domagając się uwagi.

–No, już dobrze – powiedział.

Poszedł do kuchni, otworzył lodówkę i wyjął talerz jambalayi, którą zrobił sobie

jakiś

dwa miesiące temu. Po dzisiejszym dniu nie był szczególnie głodny, ale miał przed

sobą długi

wieczór poprawiania prac i wiedział, że jeżeli czegoś nie zje, to o północy zacznie

robić sobie

obrzydliwe kanapki ze wszystkiego, co znajdzie w lodówce – z pikli, sera

gorgonzola,

przeterminowanej wędliny i masła orzechowego – i nad ranem będzie bardzo tego

żałował.

Włożył talerz z jambalayą do mikrofalówki i włączył rozmrażanie, a potem otworzył

puszkę piwa i wyjął konserwę z mięsem dla kotów. Kotka wpadła do kuchni

gorączkowo

przebierając łapami i zaczęła przełykać kawałki konserwowego królika, zanim

zdążył nałożyć

je na miseczkę.

–Kochasz tylko moje żarcie – powiedział do niej – a Susan wcale mnie nie kocha.

Wstał i przejrzał się w lustrze obok telefonu, ostrożnie dotykając policzka, żeby

sprawdzić,

jak goi się rana. Nóż Umbera Jonesa musiał być ostrzejszy niż brzytwa, ponieważ

cięcie, choć

głębokie na pół centymetra, już zdążyło się zamknąć. Skaleczenie na nosie było

bardziej

kłopotliwe: niewielkie, półkoliste nacięcie na samym czubku, lekko rozchylone.

Przez jakiś

czas nie będzie mógł wycierać nosa.

Wziął swoje piwo, przeszedł do stołowego i włączył telewizor. Wiadomości, mecz

baseballu, „Simpsonowie”, znów mecz, zbliżenia jakichś obrzydliwych owadów,

wiadomości.

Błyskawice przecięły niebo za oknem i obraz zaczął drgać. Jim podszedł do

odbiornika i

uderzył w pudło telewizora otwartą dłońią, ale obraz nadal drgał. W tym momencie znów

usłyszał miauczenie kotki. Kiedy odwrócił się, zobaczył jakąś postać siedzącą na kanapie.

Była ledwie widoczna, szczupła i zwiewna, wydawała się bezcielesna, jakby wycięta z firanki.

Spojrzał na nią z niepokojem, jednak teraz, kiedy pogodził się już z istnieniem wędrujących dusz, nie był tak przerażony, jak przy pierwszej wizycie Umbera Jonesa. Przez

chwilę patrzył na siedzącą postać, a potem ostrożnie podszedł do niej. Miała pochyloną głowę

i dłonie splecione na podołku. Jim klęknął przed kanapą i wyciągnął rękę, by sprawdzić, czy

zareaguje na dotknięcie, ale poczuł tylko zimne mrowienie, jakby zanurzył palce w wodzie z lodem.

Postać uniosła głowę. Miała smutną twarz i oczy skryte w cieniu, jednak Jim poznał ją od

razu.

–Pani Vaizey – odezwał się. – Słyszysz mnie pani, pani Vaizey?

–Słyszę cię – odparła.

Nie był pewny, czy naprawdę przemówiła, ale zrozumiał to, co powiedziała.

–Pani Vaizey... bardzo mi przykro, że tak się stało. Gdybym wiedział...

–Wiedziałam, co ryzykuję, Jim. A teraz, kiedy już jestem martwa, chyba możesz nazywać mnie Harriet, prawda?

–Czy Umber Jones przyłapał cię w swoim mieszkaniu?

Skinęła głową i powiedziała:

–Jego dusza właśnie wyszła z ciała, kiedy to się stało. Cieleśna powłoka leżała na łóżku.

Twarz miał pomalowaną na biało, kapelusz położył obok siebie na poduszce, a w ręku

trzymał laseczkę loa, jak Baron Samedi. Próbowалам mu ją zabrać, ale spóźniłam się. Jego

Dym wrócił, przyłapał mnie i już nic nie mogłam zrobić. Wezwał na pomoc Ogou – na

Ferraille, a on zmusił mnie, żebym się wchłonęła.

–Ból...

–Ten ból był straszniejszy, niż możesz sobie wyobrazić. Jednak na szczęście nie trwał

długo, a teraz jest już po wszystkim. Już nigdy nie poczuję bólu.

–I co się teraz z tobą stanie?

–Zniknę, Jim, jak wszystkie dusze. Nie ma żadnego nieba. Poza życiem jest tylko

**rodzaj**

**znikania, jak blaknięcie fotografii pozostawionej na słońcu. Po jakimś czasie zostają tylko**

**słabe zarysy, a potem już nie ma nic.**

**–Będzie mi cię brakowało.**

**–No cóż... dopóki ktoś mnie pamięta, nie zniknę na dobre. Ale musisz jeszcze znaleźć**

**sposób, żeby pozbyć się Umbera Jonesa, inaczej będzie cię prześladował do końca twoich dni.**

**–Próbowałem się go pozbyć – odparł Jim, obracając głowę tak, żeby zobaczyła rozcięty**

**policzek. – Widzisz rezultat. Groził, że zrobi krzywdę moim uczniom, jeśli nie będę go**

**słuchać.**

**Opowiedział jej, co zaszło tego dnia w szkole, a ona wysłuchiwała go z uwagą. W końcu**

**powiedziała:**

**–Musisz odebrać mu laseczkę loa. To jedyny sposób. Myślisz, że mógłbyś namówić na**

**to Tee Jaya?**

**–Nie sądzę. Jest zły na wuja za to, że zabił jego najlepszego przyjaciela, ale bardzo się go**

**boi. Nie sądzę, żeby chciał narażać się na jego gniew wykradając mu święty przedmiot, jakim**

**jest ta laseczka.**

**–To mnie wcale nie dziwi. Ten chłopak musi być prawdziwym wyznawcą voodoo, inaczej nie widziałby Dymu swojego wuja. Podejrzewam, że sam będziesz musiał to zrobić...**

**–Mówisz o włamaniu do mieszkania Umbera Jonesa?**

**–Albo o tym, co ja zrobiłam: o wizycie duszy. Upewnij się tylko, że ten człowiek nie**

**wróci niespodziewanie i nie przyłapie cię tak, jak mnie.**

**–Jak mogę to zrobić? Nie mam pojęcia, jak mógłbym opuścić moje ciało.**

**–To nie jest takie trudne. Usypiesz krąg z popiołu i palcem nakreślisz trzy symbole:**

**Księżyc, Słońce i Wiatr. One wyprowadzą twoją duszę z ciała i sprowadzą ją z powrotem.**

**Musisz tylko leżeć spokojnie na kanapie i wymówić trzy wersy wyzwajającego zaklęcia.**

**–Nie znam tych trzech wersów zaklęcia. Czy to te łacińskie słowa, które wtedy wymawiałaś?**

**–Możesz wypowiedzieć je w dowolnym języku. W niektórych działa szybciej i**



natychmiast uwalnia cię z ciała. Na przykład po kreolsku lub w języku Yoruba, ponieważ te

języki mają magiczną moc.

–Dawno nie rozmawiałem po yorubańsku...

–Więc powiedz to zakłęcie po angielsku. „Uwolnij moją duszę... niech podąża, gdzie

chce. Niech moje ciało śpi bez niej. Uwolnij moją duszę... i chroń ją od zła i ciemności”.

Powtórzyła te słowa trzykrotnie, a Jim powtarzał je za nią.

–Nie martw się, jeśli trochę je zmienisz... twoja wola cię wyzwoli, a nie to, co powiesz.

–Jakie to uczucie? – zapytał Jim.

–Poczujesz się, jakbyś zdjął ciężki płaszcz, który nosiłeś przez całe życie.

Poczujesz się

tak wolny, że nie będziesz chciał wracać. Polecisz. Popłyniesz. Kiedy raz to zrobisz, nie

będziesz mógł się doczekać następnego razu.

Jim nie był pewny, czy to mu się podoba. Zanim na scenę wkroczył Umber Jones, wiódł

dość spokojne i unormowane życie. Nie chciał, aby zakłócała je jakaś dziwna tęsknota, której

nigdy nie zdoła zaspokoić. Czułby się jak astronauta wiecznie marzący o powrocie na

Księżyc.

–Jeśli polecę... jeżeli popłynę... nie mając ciała, jak zdołam zabrać laseczkę?

–Dusza nie potrzebuje materii – odparła pani Vaizey. – Działa siłą woli. Siłą duszy jest

jej umiejętność koncentracji, nie ograniczana przez ciało i krew.

Postać staruszki zaczęła znikać.

–Poczekaj! – zawołał Jim. – Jeśli już będę miał tę laseczkę loa, co mam z nią zrobić?

Pani Vaizey powiedziała coś tak cicho, że nie dosłyszał. Równie dobrze mogło to być

„weź ją” jak i „zniszcz ją”. A może zupełnie coś innego. Jej postać zbladła i wyglądała jak

słaby cień rzucony na kanapę. A potem zupełnie zniknęła.

Jim wstał i przez dłuższy czas przechadzał się po mieszkaniu, zastanawiając się, co do

diabła powinien zrobić.

Nagle usłyszał dzwonek do drzwi. Otworzył je nie zdejmując łańcucha. To był Geraint, w

jaskrawej zielono-szkarłatnej koszuli.

–Czy jest u ciebie moja matka? – zapytał.

**–Twoja matka? Oczywiście, że nie. Skąd ten pomysł?**

**–Myrlin mówił, że rozmawiałaś z nią.**

**–W jaki sposób zdołał to zobaczyć? Ma rentgen w oczach czy co?**

**–Przypadkiem spacerował po balkonie i zerknął do twojego mieszkania.**

**–Przypadkiem, tak? Mogłem się tego spodziewać – burknął Jim.**

**Zdjął łańcuch i otworzył drzwi na oścież.**

**–Chcesz wejść i przeszukać lokal? – zapytał.**

**–Nie, dzięki – zmieszał się Geraint. – Ale bardzo się o nią martwię, wiesz? Nigdy przedtem nie znikła tak bez słowa. Szukałem wszędzie... bez skutku.**

**–Nie martw się. Wiesz, jaka ona jest. Gdziekolwiek się podziała, na pewno jest szczęśliwa.**

**Geraint już miał odejść, ale nagle pociągnął nosem i zatrzymał się.**

**–Wiesz co... jestem pewny, że czuję zapach jej perfum.**

**Jim wiedział, że pani Vaizey pozostawiła po sobie zarówno zapach perfum, jak i wibracje**

**swojej osobowości. Uspokajającym gestem położył dłoń na ramieniu Gerainta.**

**–Przykro mi, ale to tylko twoje pobożne życzenia.**

## ROZDZIAŁ X

Zdołał zjeść połowę jambalayi, a resztę wrzucił do kociej miski. Potem wziął prysznic i włożył czarny golf oraz czarne spodnie. Znalazł też parę czarnych rękawiczek, które dostał od matki na Gwiazdkę i których nigdy nie nosił. Przyczesał mokre włosy i przejrzał się w lustrze. Może nie miał żadnego doświadczenia jako włamywacz, ale z pewnością wyglądał jak kryminalista. Otworzył kredens w kuchni i wyjął niebieskie plastikowe pudełko, w którym przechowywał różne narzędzia. Wyjął z niego długi śrubokręt i cienką szpachlę. Znalazł też w nim wygięty kawałek drutu, którym kiedyś udało mu się otworzyć szkolną szafkę. Włożył ten amatorski wytrych do kieszeni, a potem pojechał do mieszkania Umbera Jonesa. Zaparkował po drugiej stronie ulicy, wciskając się tuż za furgonetkę sklepu z dywanami. Przez zasłony w oknach mieszkania Umbera Jonesa sączyło się bursztynowe światło i Jim widział zarys poruszającej się postaci. Z tej odległości wydawało mu się, że to Tee Jay. Zerknął na zegarek. Dochodziła 11.11. Wygodnie zasiadł w samochodowym fotelu, przygotowując się na długie oczekiwanie. Włamanie do mieszkania, w którym przebywał Umber Jones i Tee Jay, będzie niezwykle ryzykowne, ale wolał mieć do czynienia z Umberem w jego cielesnej postaci niż z jego Dymem, obdarzonym całą niszczycielską władzą laseczki loa. Skracał sobie czas recytując wiersze. „Lecz śmierć odparła: Jam go wybrała. Tak więc poszedł. I cicha letnia noc zapadła”. Nagle drzwi mieszkania Umbera Jonesa otworzyły się i wyszedł z nich Tee Jay. Miał na sobie niebiesko-białą wiatrówkę i trzymał ręce w kieszeniach. Rozejrzał się na prawo i lewo, po czym szybkim krokiem ruszył na zachód. Po pięciu lub sześciu minutach światło w oknie Umbera Jonesa zgasło. Może położył się do łóżka, pomyślał Jim i postanowił, że da mu około pół godziny, a potem sprawdzi, czy uda mu się włamać. Największe niebezpieczeństwo groziło mu tylko przez kilka minut,

podczas

których będzie szukał laseczki loa – lecz gdy ją już znajdzie, Umber Jones nic nie będzie

mógł mu zrobić.

Odczekał dwadzieścia minut. Okno na piętrze nadal było ciemne. Wuj Umber musiał już

zasnąć. Jim dał mu jeszcze trzy minuty, a potem wysiadł z samochodu, pozostawiając drzwi

nie zamknięte na wypadek, gdyby musiał szybko uciekać.

–Jesteś stuknięty – powiedział sam do siebie, przechodząc przez ulicę. – To nigdy się

nie uda. Ten facet zaraz zbudzi się i posieka cię na plasterki.

Ale czy miał inne wyjście? Miał działać dalej jako „przyjaciel” Umbera Jonesa, być jego

chłopcem na posyłki, wymuszać haracz od alfonsów i handlarzy narkotyków pod nieustanną

groźbą, że prześladowca skrzywdzi jego uczniów? A może całymi dniami miał pilnować

mieszkania – Umbera czekając, aż ten opuści je jako Dym? A jeśli wuj Umber wróci i

przyłapie Jima na kradzieży laseczki loa, tak jak złapał panią Vaizey? Nie miał ochoty

wchłonąć sam siebie i zakończyć życia jako kupka popiołu.

Dotarł do drzwi mieszkania i rozejrzał się niespokojnie, ale w pobliżu nie było nikogo

oprócz jakiegoś mocno pijanego mężczyzny, wyglądającego jak Stan Laurel. Tulił się do

ściany, jakby się w niej zakochał, i od czasu do czasu wykrzykiwał oderwane fragmenty

piosenki z Moon River.

–„Szerszą niż milę toń... przepłynę ja i mój koń...” Drzwi były stare i kiepsko dopasowane. Między framugą i panelem ziała co najmniej półcentymetrowa szpara, a drewno

wyglądało na spróchniałe. Jim wyjął śrubokręt i wsunął go w szczelinę obok zamka. Potem

pociągnął z całej siły, i część framugi pękła. Wtedy zdołał wepchnąć śrubokręt tak głęboko,

że wyczuł rygiel zamka. Już miał go otworzyć, gdy nagle usłyszał basowy pomruk, jakby tuż

pod jego nogami przejeżdżał skład metra. Tyle że w Venice nie było metra. Instynktownie cofnął się od drzwi. Pomruk narastał i co – raz bardziej przypominał łoskot

bębnow. Kiedy drzwi drgnęły, Jim odwrócił się i uciekł. W połowie następnego

budynku

znalazł pustą wnękę bramy seks-shopu i przycisnął się do siatki drzwi. Serce waliło mu jak

młotem. Za siatką i uśmiechało się do niego wyblakłe zdjęcie pulchnej dziewczyny o białym

ciele i mocno podmalowanych oczach.

Po paru minutach wychylił się, żeby sprawdzić, co się dzieje. Na chodniku nie było nikogo

poza pijakiem, który przesunął się kilka kroków dalej.

– „Czekając... tuż za zakrętem...” – śpiewał.

Ale powietrze przed mieszkaniem Umbera Jonesa zdawało się drgać, jak nad pustynną

autostradą. Drzwi uchyliły się odrobinę i zaczął sączyć się z nich dym. Gęsty, czarny dym.

Jim cofnął się. Dobrze wiedział, co to takiego. Dym wił się, kłębił i powoli unosił w górę, aż

uformował się w wysoką, czarną sylwetkę Umbera Jonesa.

Jim miał dwie możliwości. Mógł zostać i zaryzykować włamanie do mieszkania Umbera

Jonesa albo pójść za nim i sprawdzić, co tamten knuje. Rozsądniejsze wydawało mu się

włamanie do mieszkania. W końcu, jeśli znajdzie laseczkę loa, Umber Jones nie będzie mógł

już wezwać na pomoc demonów dających mu moc. Nadal będzie mógł użyć pistoletu lub

noża, ale co z tego? Jim uczył piętnastolatków, którzy potrafili używać pistoletu i noża, a

czasami nawet przynosili je do szkoły.

Poza tym pani Vaizey umarła usiłując przynieść mu tę laseczkę i czuł, że jego obowiązkiem jest dokończyć to, co zaczęła. Przynajmniej tyle był jej winien.

Umber Jones zaczął się oddalać, łopocząc połami czarnej marynarki jak skrzydłami kruk.

Przesunął się obok pijaka – który oczywiście nie widział go, ale najwidoczniej poczuł jego

obecność, gdyż odwrócił się i spojrzał w przestrzeń.

Umber Jones wszedł na ulicę. Gdy to robił, nadjechała rozpędzona taksówka z podniesioną

chorągiewką, kołysząc się na wyboistej nawierzchni. Kierowała się wprost na przechodzącego, jej światła przeszywały jego ciało jak tuman mgły. Przez chwilę Jim myślał,

że Umber zginie pod kołami, lecz samochód przejechał przez niego. Postać Umbera

zawirowała i skłębiła się, ale zaraz odzyskała pierwotny kształt i Umber Jones

przeszedł na

drugą stronę ulicy.

Kiedy zniknął za rogiem, Jim na kilka długich chwil stracił odwagę i stał bez ruchu,

przyciśnięty do drucianej siatki sex-shopu. Jak można walczyć z kimś, kto opuszcza swoje

ciało i w postaci dymu krąży po ulicach? Jednak zaraz odpowiedział sobie na to pytanie:

można, bo trzeba. Polega na tobie dziewiętnaścioro młodych ludzi.

Dobro musi zwyciężyć zło. Tak każe prawo natury.

Zrobił dwa głębokie wdechy, wyszedł z bramy i wrócił pod drzwi mieszkania Umbera

Jonesa. Wyjął śrubokręt i ponownie podważył zamek. Pijak dostrzegł go i niepewnym

krokiem ruszył w jego kierunku.

–„Czeka mnie za zakrętem... – ryknął. – Z jagodzianym okrętem...”

Nagle zapaliło się światło w mieszkaniu pana Pachowskiego. Sąsiad wuja Umbera odsunął

zasłony, otworzył okno i zawołał:

–Co się tam dzieje? Wynocha stąd, zanim wezwę gliny! Jim cofnął się od drzwi, uspokajająco machając ręką.

–W porządku... Szukam numeru dwanaście tysięcy dwa!

–To nie ten blok... dwanaście tysięcy dwa jest trzy budynki na zachód!

–Dzięki – powiedział Jim i odszedł. Mimo to pan Pachowski nadal odprowadzał go wzrokiem. Jim ponownie pomachał mu ręką. – Dzięki – powtórzył. – Dobranoc.

Przeszedł na drugą stronę ulicy. Pijak potoczył się w jego kierunku, wciąż śpiewając.

Kiedy Jim wsiadł do samochodu, podszedł do niego i oparł się o dach. Jim opuścił szybę i

powiedział:

–No już, sływaj. Znajdź sobie jakieś bezpieczne miejsce do spania.

Pijak spojrzał na niego nie widzącymi oczami.

–Powiedz mi coś – poprosił. – Nigdy na to nie wpadłem i chyba nikt tego nie wie.

Co

to jest, do licha, ten jagodziany przyjaciel...?

Kiedy odpowiedziało mu milczenie, z szeroko rozłożonymi ramionami odszedł w noc –

strach na wróble walczący z cyklonem. Jim włączył silnik i ruszył. Widział, że pan Pachowski

wciąż odprowadza go spojrzeniem paciorkowa – tych oczu. Nie pozostało mu nic innego,

jak wrócić do domu i znaleźć jakiś inny sposób zdobycia laseczki Umbera Jonesa.

A może mógł pójść za Umberem Jonesem i dowiedzieć się, co on knuje? To

**mogło być**

**bardzo niebezpieczne, ale w ten sposób mógł zdobyć jakieś dodatkowe informacje o**

**możliwościach Umbera Jonesa, a może także o jego słabych stronach. Jedna czy dwie rzeczy**

**w zachowaniu tam – j tego budziły zdziwienie. Umber Jones twierdził, że chce, aby jego**

**istnienie pozostało tajemnicą, tymczasem raz po raz pojawiał się w natłoczonej klasie, w**

**której Jim z trudem mógł ukryć fakt, że dzieje się coś dziwnego. Przecież równie dobrze mógł**

**pojawiać się w jego mieszkaniu lub na ulicy, gdzie nie groziło mu, że ktoś odkryje jego**

**obecność. I jeszcze coś: kiedy chciał wysłać Jima z instrukcjami do Chilla, dlaczego przysłał**

**Elvina, zamiast odwiedzić go osobiście – albo w postaci Dymu?**

**Jim minął narożnik, za którym zniknął Umber Jones. Ulica była pusta, nie licząc rzędu**

**zaparkowanych samochodów i mężczyzny spacerującego z groźnie wyglądającym psem.**

**Skręcił w lewo i powoli pojechał do następnego skrzyżowania, nerwowo bębniąc palcami po**

**kierownicy. Umber Jones szedł szybko, ale nie mógł zajść dalej niż cztery czy pięć przecznic.**

**Jim zatrzymał się na światłach, a potem, kiedy zmieniły się na zielone, skręcił w prawo.**

**Dojeżdżając do następnej przecznicy zaczął podejrzewać, dokąd zmierza Umber Jones.**

**Był teraz zaledwie trzy kwartały od baru „Sly’s”, gdzie przesiadywał Chill i jego pomocnicy.**

**Chill posłał Umbera Jonesa do diabła. Może Umber Jones zamierza zrobić to samo.**

**Nadal nie widząc nigdzie wuja Umbera, Jim postanowił zaryzykować i podjechać prosto**

**pod bar. Na następnym skrzyżowaniu ostro skręcił w lewo, aż opony zapiszczały jak duszone**

**koty, a potem w prawo. Dotarł pod bar w samą porę, aby dostrzec czarną sylwetkę Umbera**

**Jonesa wychodzącego zza następnego rogu.**

**Jednocześnie zauważył Chilla oraz trzech jego ludzi stojących na chodniku.**

**Czwarty**

**siedział na masce zielonego cadillaca, paląc cygaro. Umber Jones zbliżał się do nich bardzo**

szybko. Jego twarz była upiornie biała, a oczy szkarłatne jak rozżarzone węgle. Chill i jego pomagierzy nie widzieli go. Jim mocniej ścisnął kierownicę. Nie wiedział, co robić. Nawet gdyby ostrzegł krzykiem Chilla i jego ludzi, nie uwierzyliby mu, bo Umber Jones był niewidzialny. I wcale nie pomógłby im w ten sposób. Umber Jones był nie tylko niewidzialny, ale i nietykalny. Jedyłą namacalną cechą było emanujące z niego zło, a wspomagala go moc loa – Ghede i Ougona Ferraille. Jim już zamierzał krzyknąć „Uwaga!”, ale nie zdołał wymówić ani słowa. Mógł tylko patrzeć ze zgrozą, jak Umber Jones odkręca swoją rękę, odsłaniając ukryte w niej ostrze. Chill kołysał się na piętach, trzymając ręce w kieszeniach i śmiejąc się. Stojący obok niego goryl miał na sobie czarną koszulę i białą jedwabną kamizelkę. Umber Jones podbiegł do niego i dźgnął go prosto w żołądek – raz, dwa, trzy razy. Napadnięty był zbyt zaszokowany, żeby krzyknąć. Stał z szeroko rozłożonymi rękami, gapiąc się na swoją kamizelkę, która wyglądała, jakby ktoś rozgniół na niej truskawki. Potem nagle osunął się na kolana, zakaszał krwią i runął na chodnik. Pozostali goryle biegali z wycelowaną bronią, usiłując zobaczyć, kto ich zaatakował. Wydawało się, że wystrzelają się wzajemnie, bo końcu na chodniku nie było nikogo innego. Jeden z nich cofał się, wymachując pistoletem na wszystkie strony. Jim słyszał ich wrzaski i przez moment podejrzewał, że rzeczywiście zaczną strzelać. Ale Chill krzyknął na nich, żeby przestali biegać w kółko jak bezgłowe kurczaki. W przypadku ludzi zaatakowanych przez wyznawcę voodoo to bardzo trafne porównanie, pomyślał ponuro Jim. Chill wskazał na budynki po drugiej stronie ulicy. Goryle pozdejmowali okulary przeciwsłoneczne i uważnie przyglądali się oknom, usiłując dostrzec ukrytego snajpera. Jeden z nich przyklęknął obok leżącego na chodniku towarzysza, rozchylił jego zakrwawioną



kamizelkę, po czym obrócił się do pozostałych i potrząsnął głową. To nie były rany od kul,  
lecz ślady noża.

Umber Jones przez cały czas krążył wokół nich, błyskając ostrzem i zębami, i obserwując

ich nieruchomymi, szeroko otwartymi oczami szaleńca. Nagle skoczył do klęczącego przy

pierwszej ofierze goryla, pochylił się i objął go ramieniem za szyję, jakby go chciał udusić,

ale w następnej chwili jednym gwałtownym ruchem przeciął jego tętnicę i krtań. Goryl

próbował wstać, jednak już nie zdołał. Krew tryskała z jego szyi tak silnym strumieniem, że

opryskła chodnik i szyby cadillaca szefa.

Chill miał dość. Wrzasnął na dwóch pozostałych goryli i wszyscy wskoczyli do samochodu, jakby ścigał ich sam diabeł. I tak też było. Zanim szofer Chilla zdążył uruchomić

silnik, czarny obłok dymu podpłynął do auta i wsączył się przez uchyloną tylną szybę.

Silnik cadillaca ożył z warkotem. Pisnęły opony, spod tylnych kół trysnęły smużki dymu.

Samochód ruszył.

Nie ujechał daleko. Zanim dotarł do następnej przecznicy, gwałtownie skręcił i z ogłuszającym traskiem uderzył w tył nieprawidłowo zaparkowanej śmieciarki.

Zapadła nagła

cisza, a potem wóz eksplodował. Pomarańczowa kula ognia wzbiła się w nocne niebo.

Płonące zapasowe koło zostało wyrzucone na dziesięć metrów w powietrze i wylądowało na

dachu samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy.

Jim sądził, że wszyscy pasażerowie cadillaca zginęli. Jednak po chwili prawe przednie

drzwi otworzyły się i wypadł z nich Chill. Z jego włosów unosił się dym, ale zdołał podnieść

się na kolana i odczołgać od wraka. Żar płonącego samochodu był tak intensywny, że

podeszwy jego żółtych zamszowych butów natychmiast zajęły się płomieniem.

Dwaj

śmieciarze odciągnęli go w bezpieczne miejsce, położyli na chodniku i nakryli płaszczami.

Jim trwał w bezruchu, patrząc, jak samochód Chilla wypala się do cna. Tylko on widział

postać o popielatoszarej twarzy i w kapeluszu Elmera Gantry, która z grymasem

upiornej

satysfakcji również obserwowała płonący wóz.

O trzeciej nad ranem obudziło Jima ciche, natarczywe stukanie. Usiadł na łóżku nasłuchując. Chwila przerwy, a potem znów to ciche postukiwanie, jakby ktoś

uderzał

paznokciem w szybę pokoju.

Wygramolił się z łóżka. Kotka Tibbles leżała zwinięta w nogach łóżka. Kiedy Jim

podniósł

się, otworzyła jedno oko i obrzuciła go zirytowanym spojrzeniem. Przeszedł bosopo

po

dywanie. Okno było zasłonięte bawełnianymi zasłonami, lecz księżyc był w

trzeciej kwadrze

i Jim wyraźnie widział cień kogoś stojącego na balkonie.

Przez dłuższą chwilę stał przed zasłoniętym oknem, zastanawiając się, czy je

otworzyć,

czy udawać, że śpi.

Ale wtedy cień uniósł rękę i znowu zastukał w szybę. Jeśli nie otworzę, pewnie

będzie tak

tłukł przez całą noc, pomyślał Jim. Był i tak już wystarczająco zmęczony. Kiedy

położył się

do łóżka, zasnął niemal od razu, ale co dziesięć minut budził się, tłukąc rękami po

pościeli i

gasząc wyimaginowany ogień.

Tuż po drugiej udało mu się zasnąć – a teraz obudziło go to: cień stojący przed

oknem i

cierpliwie pukający w szybę.

Wziął się w garść i szarpnięciem rozchylił zasłony. W świetle księżyca ujrzał

Elvina, o

bladej skórze poznaczonej ranami podobnymi do pysków śniętych ryb. Elvin

znów zastukał w

szybę. Uśmiechał się przepaszająco, jak ślepiec, któremu wydaje się, że napotkał

jakaś

przeszkodę.

Jim skrył twarz w dłoniach. Nie wiedział, ile jeszcze zdoła znieść. Jednak kiedy

odjął ręce,

Elvin wciąż tam był, i wiedział, że nie ma innego wyjścia – musi otworzyć mu

drzwi.

Powłócząc nogami, Elvin wszedł do środka i stał spoglądając w dal.

–Cześć, Elvin – powiedział Jim. Woń rozkładu była jeszcze silniejsza i wydało mu

się,

że Elvin wygląda znacznie gorzej. Jak długo magia Umbera Jonesa będzie

poruszać tym

okaleczonym ciałem, posyłając je z wiadomościami?

–Umber Jones chce, żeby pan znów zobaczył się z Charlesem Gillespie –  
wybełkotał

Elvin. – Chce, żeby pan powiedział mu to samo, co ostatnim razem. Jeśli będzie  
się nadal

wahał, ma mu pan dać to...

Sięgnął białą, gąbczastą ręką do kieszeni i wyjął kurze skrzydełko z  
przywiązanymi do

niego kolorową nitką włosami i piórami. Wyglądało jak wielka sztuczna mucha.

Elvin

cierpliwie odczekał chwilę, a potem położył skrzydełko na stole.

–Następna klątwa voodoo, jak sądzę – mruknął Jim.

–Następna próba przemówienia Charlesowi Gillespie do rozumu – odparł Elvin.

Odwrócił się, żeby odejść, ale Jim rzucił ostrym głosem: „Elvin!” – i chłopiec  
stał jak

wryty nie odwracając się. Włosy z tyłu jego głowy były nastroszone od  
zaschniętej krwi.

–Elvin... czy pozostało z ciebie coś z tego, kim byłeś przedtem, zanim zapanował  
nad

tobą Umber Jones? – zapytał Jim.

Zapadła boleśnie długa cisza, a potem Elvin odparł:

–Nie rozumiem pytania.

–Po prostu chcę wiedzieć, czy rozmawiam z Elvinem Clayem, prawdziwym

Elvinem

Clayem, ukochanym synem pana i pani Clay i bratem Elviry, czy też z kawałkiem  
posłusznego rozkazom Umbera Jonesa ciała.

–Umber Jones jest moim hounganem. Robię wszystko, co każe mi Umber Jones.

–Wiem o tym, Elvinie. Jednak chcę wiedzieć, czy pozostało w tobie jeszcze coś z  
prawdziwego Elvina. Odrobina własnej woli. Trochę siły. Jakieś własne myśli...

Elvin wahał się. Pomimo odrazy Jim położył mu rękę na ramieniu. Ciało pod

marynarką

wydawało się nienaturalnie miękkie. Jim czuł, jak gnijące mięśnie przesuwają się

po

kościach. Elvin pochylił głowę i rany na jego szyi otworzyły się, jakby chciały

przemówić

własnym głosem. Potem odwrócił się i na jego twarzy – odrażająco okaleczonej –  
odmalowało się prawie dziecinne błaganie.

–Dlaczego on mnie nie zostawi w spokoju, panie Rook? Dlaczego nie da mi

umrzeć...?

–Nie wiem, Elvinie. Wydaje się, że potrzebuje cię tak samo, jak potrzebuje mnie.

–Czy nie może pan go poprosić, żeby zostawił mnie w spokoju? Nie wie pan, jak

to jest,

kiedy czujesz, że gnijesz. Jakby coś wyżerało mi wnętrzności.

Jim przełknął ślinę, a potem odparł:

**–Słuchaj, Elvinie... zrobię wszystko, co będę mógł. Obiecuję.**

**Elvin odpowiedział skinieniem głowy, odwrócił się i wyszedł z mieszkania. Jim patrzył,**

**jak wymacuje sobie drogę po schodach i wychodzi w noc. Jeden Bóg wie, dokąd zmierzał i**

**gdzie przebywał, gdy Umber Jones nie wysyłał go z wiadomościami. Może na cmentarzu?**

**Może w jakiejś piwnicy? I co się z nim stanie, kiedy jego ciało rozłoży się tak bardzo, że nie**

**będzie w stanie nawet chodzić?**

**Podniósł sporządzony z kurzej kości fetysz. Wydawał mu się niewiarygodnie paskudny.**

**Wyschnięty i stary, roztaczał silny, nieprzyjemny zapach, mieszaninę wszelkich budzących**

**mdłości woni, od odoru zjełczanego tłuszczu po smród ścieku. Nie wiedział, jak zareaguje na**

**to Chill, ale w nim ten przedmiot budził strach i obrzydzenie.**

**Nie miał ochoty wracać do łóżka, więc poszedł do kuchni i zrobił sobie filiżankę mocnej**

**kawy. Usiadł przy stole, ze znużeniem wpatrując się w fetysz i rozmyślając, czy kiedykolwiek**

**zdoła uwolnić się od Umbera Jonesa. Kiedy tak siedział, usłyszał obrzydliwe, mdlące dźwięki**

**dochodzące z pokoju stołowego. Brzmiało to tak, jakby ktoś z trudem łapał oddech na łożu**

**śmierci.**

**Ostrożnie otworzył szufladę ze sztućcami i wziął największy nóż, jaki zdołał znaleźć.**

**Potem na palcach wyszedł z kuchni i stanął w progu pokoju. Odgłos powtórzył się**

**– okropny, bulgoczący.**

**Powiedział sobie: „No dobrze, potrafiłeś stawić czoło Elwinowi, więc potrafisz stawić**

**czoło i temu”. Policzył do trzech, a potem włączył światło i wskoczył do stołowego, wysoko**

**unosząc nóż i krzycząc: „Stój!”**

**Kotka Tibbles spojrzała na niego ze zdumieniem. Właśnie zwróciła całą kolację na dywan.**

**Jim stał patrząc na nią i ściskając w dłoni nóż. To była jego wina – po co dawał jej jambalayę? Wiedział, że po chili zawsze choruje.**

**Wrócił do kuchni po wiadro i ścierkę. Nigdy jeszcze nie czuł się tak zmęczony i przybity.**

**Kiedy następnego ranka wszedł do klasy, zastał swoich uczniów stojących lub**

siedzących

na stolikach i rozmawiających z ożywieniem. Ze znaczącym trzaskiem rzucił dziennik na

biurko, a potem rzekł:

–No, co jest? Założyliście klub dyskusyjny? Jaki temat dzisiejszych obrad? W domu

uważają, że wszystkie nastolatki powinny nosić koszule w spodniach?

Russell Gloach wysunął się naprzód. Na wargach miał jeszcze resztki batonika, które

szybko otarł grzbietem dłoni.

–Nie, proszę pana. Tematem jest, co zrobimy z wujem Tee Jaya?

Tee Jay też tam był, siedział na końcu klasy. Jim podszedł do niego i zapytał:

–A co ty o tym sądzisz, Tee Jay? To twój wujek. To, co robi, jest ściśle związane z twoją

religią.

–Posunął się za daleko – odparł chłopak. – Nie miałem pojęcia, że zaczniesz kasować

ludzi.

–Posunął się za daleko i nie wiesz, jak go powstrzymać? A nie możesz zaapelować do

lepszego części jego charakteru?

–Wuj Umber nie ma czegoś takiego.

–Nie może pan oczekiwać, że Tee Jay stawi czoło wujowi – powiedziała Sharon. – Zginąłby tak samo jak Elvin. David Littwin zaczął:

–M-m-my p-p-próbowaliśmy znaleźć jakiś s-s-sposób, ż-żeby s-się go p-p-pozbyć.

–I znaleźliście? – zapytał ich Jim.

–Moglibyśmy pójść do jego mieszkania i spuścić mu łomot – zaproponował Mark.

–I co by to dało? – Ray Vito wzruszył ramionami. – Nie złamał prawa, no nie? A przynajmniej nie możemy tego udowodnić. Sami skończylibyśmy w kiciu za napad i pobicie.

–Moglibyśmy poczekać, aż opuści swoje ciało – rzekł Titus Greenspan. – Wtedy zabilibyśmy drzwi deskami, żeby nie mógł do niego wrócić.

–To na nic – stwierdził Jim. – W postaci dymu może prześlizgnąć się przez każdą szczelinę.

–W jednej z moich książek jest opisany taki rytuał voodoo – oświadczyła Sharon.

– Ze

słowami i wszystkim. Kiedy rzuci się klątwę na kogoś, kogo dusza opuściła ciało, nie zdoła

powrócić do swojej cielesnej powłoki.

–To mogłoby się przydać – powiedział jej Jim. – Jednak przede wszystkim musimy

zabrać mu jego laseczkę loa... laskę, której używa, by wezwać na pomoc pomniejszych

demony. Bez niej nie miałby żadnej mocy.

–Mógłbyś ją zwinąć, kiedy twój wujek będzie spał? – zapytał Ricky Tee Jaya.  
Chłopak potrząsnął głową.

–Zrobiłbym to, gdybym mógł, ale nie ośmielę się jej dotknąć. Jest święta.

–Święta czy nie, to jedyny sposób, żeby powstrzymać twojego wuja...

–Nie rozumiesz – rzekł Tee Jay. – Jest święta. Zrobiono ją z drewna dębu duchów rosnącego na cmentarzu... drzewa żywiącego się ciałami martwych. Martwe ciała należą do

Barona Samedi, a to oznacza, że laseczka loa również do niego należy.

–Baron Samedi to jedna z tych rzeczy, które nie są prawdziwe – powiedziała Beattie.

–Mit – dodał Seymour.

–Baron Samedi jest równie prawdziwy jak ty czy ja, Beattie – odparł Tee Jay. –

Kiedy

zacząłem praktykować voodoo, złożyłem uroczystą przysięgę, że nigdy nie splamię jego

honoru, nie ukradnę jego własności i nie złamię jego praw. Gdybym spróbował ukraść

wujowi tę laskę, zrobiłbym sobie wroga z najpotężniejszego ducha w całym zachodnim

świecie. Dopadłby mnie jak nic. I powiem wam jeszcze coś: miałbym szczęście, gdybym

skończył jak Elvin.

Wśród reszty klasy podniosły się sceptyczne szepty. Jim uciszył je gestem i powiedział:

–Słuchajcie, cokolwiek pozostali sądzą o voodoo, Tee Jay w nie wierzy, więc nie możemy traktować go lekceważąco. Gdyby on i jego wuj byli mahometanami, nie oczekivalibyśmy, że sprzeciwi się woli Allacha, nawet dla udaremnienia morderstwa. W

przeszłości wielu ludzi stawało przed podobnymi dylematami, na przykład katoliccy księża,

którzy wysłuchiwali spowiedzi seryjnych morderców. Myślę, że wystarczy, gdy Tee Jay

postara się nie dopuścić do kolejnych zabójstw i zechce nam pomóc, oczywiście jeśli nie będzie musiał popełnić herezji.

Niewielu uczniów w jego klasie wiedziało, co to jest „herezja”, ale domyślili się.

Pojęli

także, że Jim usiłuje przywrócić Tee Jaya na łono klasy i prosi ich, żeby go nie izolowali. Tee

Jay zajął się voodoo, ponieważ – mimo swej popularności – czuł się gorszy od innych. Co z

tego, że jesteś lubiany, skoro z trudem sylabizujesz wierszyki dla dzieci w klasie

specjalnej

nędznego college'u?

–Tee Jay mógłby pomóc zawiadamiając nas, kiedy dusza jego wuja opuści ciało – oświadczyła Sharon. Wtedy moglibyśmy tam pójść i zabrać mu tę laskę.

–Nie zdołacie tam wejść – odparł Tee Jay. – Kiedy wuj zmienia się w Dym, dobrze zamyka mieszkanie. Nie chce, żeby ktoś w tym czasie ruszał jego ciało.

–Nie mógłbyś nas wpuścić?

–Nie da rady. Zamyka się w swoim pokoju i zaszuwa rygle. Trzeba by czołgu, żeby

dostać

się do środka. Poza tym... w ten sposób pomógłbym wam w kradzieży laseczki

loa i jestem

pewny, że Baron Samedi nie byłby z tego zadowolony,

–Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle zacząłeś wierzyć w takiego paskudnego typa

jak

Baron Samedi – powiedziała Muffy. – Jakby w rzeczywistym świecie było za mało paskudnych typów.

–Jeżeli nie możemy tam po prostu wejść i zabrać mu laseczki, będziemy musieli

się

włamać w inny sposób. Nie wiem, czy jesteście gotowi to usłyszeć, lecz sądzę, że powinniście... życiu nas wszystkich zagraża niebezpieczeństwo.

Najkrócej i najbardziej rzeczowo jak mógł, Jim opowiedział im o pani Vaizey i o

Elvinie.

Kiedy skończył, w klasie było tak cicho, że doktor Ehrlichman zajrzał przez

okienko

sprawdzając, czy nadal tam są. Jim przechadzał się między stolikami, czekając na

reakcję

uczniów.

Jane Firman miała łzy w oczach.

–Czy to wszystko prawda? – zapytała. Jim skinął głową.

–Kiedy ta stara połknęła siebie... Jezu, chyba pana zemdliło.

–Nie wierzę w ani jedno słowo – oświadczyła Rita. – To nie jest test, co? Takie udawanie, żebyśmy myśleli o sprawach, których tak naprawdę nie może być.

–Po co miałbym to robić? – zdziwił się Jim.

–Aby nas nauczyć. Rozwinąć naszą wyobraźnię.

–No cóż, chciałbym, żeby tak było – odparł Jim. – Sharon, a co ty o tym myślisz?

Dziewczyna była bardzo przygnębiona.

–Owszem, czytałam o ludziach zmuszanych, żeby zjadali sami siebie –

powiedziała. –

To ma być kara za wtykanie nosa w cudze sprawy. Na przykład wkraczanie na

magiczny

teren albo chodzenie po cmentarzu czy oglądanie banda bez zaproszenia.

–Banda to rodzaj rytualnego tańca na cześć Barona Samedi – wyjaśnił Tee Jay. –

Jest

dość seksowny. No wiecie, ludzie tańczą bez ubrań.

–Jednak to zjadanie samego siebie jest okropne... – rozmyślała na głos Sharon. –

Nie

miałam pojęcia, że coś takiego może się naprawdę zdarzyć.

–Nie masz pojęcia o wielu sprawach – burknął Tee Jay. – Wciąż gadasz o naszych korzeniach i tym podobnych rzeczach, a nie masz o nich pojęcia.

Sharon zamierzała zaprotestować, ale Jim ją uprzedził.

–Dlatego potrzebujemy twojej pomocy, Tee Jay – powiedział. – Wiesz o tym

więcej

niż ktokolwiek z nas. Nawet jeśli nie możesz udzielić nam czynnej pomocy, to

przynajmniej

staraj się nie przeszkadzać. Chociaż tyle powinienesz zrobić, zważywszy na to, co

spotkało

Elvina.

Chłopak rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „Dobra, w porządku”. Jim dodał:

–Proponuję, żeby Tee Jay dziś wieczorem, jeśli jego wuj Umber przybierze postać

Dymu, zadzwonił do mnie do domu i zawiadomił o tym. Tylko o to cię proszę, Tee

Jay, nic

więcej od ciebie nie chcę... ale to musisz być ty, ponieważ tylko ty oprócz mnie

możesz go

zobaczyć. Kiedy tylko otrzymam tę wiadomość, opuszczę moje ciało używając

techniki,

jakiej nauczyła mnie pani Vaizey. Jeśli wyruszę natychmiast, być może uda mi się

dostać do

mieszkania wuja Umbera i zdobędę laseczkę loa.

–A jeśli on pana złapie?

–To nie będę musiał martwić się, co zjeść na kolację, no nie?



## ROZDZIAŁ XI

Zaparkował w odległości jednej przecznicy od baru „Sly’s” i resztę drogi pokonał pieszo.

Bykowały wykidajło był jeszcze bardziej wrogo nastawiony niż poprzednio.

–Masz tupet, koleś. Na twoim miejscu byłbym już w Nome, na Alasce.

–Gdzie ja trafiłem? – zapytał Jim. – Czy to filia tamtejszego biura podróży?

–Chill nie chce cię widzieć. Nie ma go dziś dla nikogo.

–Powiedz Chillowi, że mam coś dla niego. Skromny prezent od Umbera Jonesa.

Serce biło mu mocniej niż zwykle, lecz jednocześnie niewiarygodnie ekscytowało go, że

może rozmawiać w ten sposób z takimi twardymi facetami wiedząc, że ma nad nimi

przewagę. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał, dlaczego niektórzy ludzie wchodzą na

przestępczą drogę. On też uwielbiał zwięzłe, eufemistyczne rozmowy, które łatwo mogły

przejsć w brutalne akty przemocy – pobicie czy nawet zabijanie. Uwielbiał ryzykowanie, że

powie się coś nie tak, okaże brak szacunku lub słabość, albo po prostu nadużyje czyjejs

cierpliwości.

To niemal tak podniecające jak nauczanie, pomyślał i uśmiechnął się do siebie.

Portier rzucił kilka słów do domofonu i powiedział:

–Dobra... znasz drogę.

Jim zszedł po ciemnych schodach. Na dole kolejny wykidajło obszukał go i kiwnięciem

głowy pozwolił wejść. Ten sam pianista grał wiązkę melodii z musicali wystawianych na

Broadwayu. Śpiewaczki nie było. Jim przeszedł przez smugi reflektorów i papierosowego

dymu i ujrzał siedzącego w kącie Chilla z turbanem bandaża na głowie i obiema rękami

owiniętymi tak grubo, że przypominały kukielki. Otaczali go trzej goryle w lustrzanych

okularach; jeden z nich nieustannie spoglądał na zegarek, jakby miał umówioną wizytę u

fryzjera, który nie pozwalał oklapnąć jego trwałej.

–Siadaj – powiedział Chill i Jim usiadł.

Zapadła długa cisza.

–Papierosa – zażądał Chill i jeden z goryli wetknął mu papieros w usta i podał ogień.

Chill wydmuchnął dym, oparł się wygodnie i wreszcie oświadczył: – Ten Umber Jones...

muszę wiedzieć o nim coś więcej.

–Przykro mi, ale nic nie mogę powiedzieć. Ja tylko przynoszę wiadomość.

–Chodzi mi o to, czy on byłby zainteresowany dżentelmeńską rozmową?

–Nie.

Chill skrzywił się.

–Widzisz, rzecz w tym... problem polega na tym, że to nie może być

dziewięćdziesiąt

procent.

–To pańska sprawa – odparł Jim. – Jednak sądzę, że powinienem pana ostrzec, że jeśli

nie przystanie pan na warunki Umbera Jonesa, konsekwencje tego będą oplakane.

Przynajmniej dla pana.

–Że co...? Nie mógłby pan mówić po angielsku?

–Mówię, szanowny panie Chill, że pan i pańscy ludzie powinni robić to, czego żąda

Umber Jones, inaczej skopie wam tyłki.

–Hej! – zaprotestował jeden z goryli, ale Chill uciszył go machnięciem obandażowanej

ręki. Pochylił się nad stołem i rzekł: – I kto, jeśli można wiedzieć, miałby mi skopać tyłek?

Jim nawet nie mrugnął okiem.

–Chyba ci sami ludzie, którzy spalili panu włosy.

–Znasz ich? – warknął wściekle Chill. – Nie uważasz, że powinieneś mi o nich powiedzieć?

Przez chwilę wokół stolika panowała pełna napięcia cisza. Chill mierzył Jima nieruchomym spojrzeniem, a on odpowiadał mu takim samym, chłodnym i nieugiętym.

Potem Jim wyjął z kieszeni fetysz i pokazał go. Z początku Chill nie chciał spojrzeć, ale po

chwili popatrzył. Mrugnął raz, dwa razy, a jego twarz przybrała wyraz, jaki można zobaczyć

tylko u kogoś, komu lekarz właśnie powiedział, że czyrak na jego szyi nie jest zwyczajną

krosta, lecz złośliwym chłoniakiem, i zostało mu mniej niż sześć tygodni życia.

Jego goryle cofnęli się. Byli wyraźnie wystraszeni. Oni też wiedzieli, co oznacza ten

fetysz, i nie chcieli pozostawać zbyt blisko człowieka, któremu groziła rychła śmierć. Jeden z

nich przeżegnał się. Drugi splunął i nakreślił jakiś znak w powietrzu. Trzeci zasłonił oczy

dłonią, żeby nie patrzeć na fetysz.

–Może znalazłaby się jakaś możliwość porozumienia – mruknął Chill bez

większego

przekonania.

–Nie – odparł Jim.

–Hej, daj spokój. Powinienem spotkać się z tym Umberem Jonesem... może

moglibyśmy

dogadać się jak człowiek z człowiekiem.

–Nie.

–Usiłuję być rozsądny, człowieku! – wybuchnął Chill. – Usiłuję pójść na

ustępstwa,

jednak musicie grać fair! To mój teren! Działam tu od piętnastu lat, wszyscy mnie

znają. Jak

ten Umber Jones chce przejąć mój interes? Nikogo tu nie zna.

–Nie musi. Pan będzie wykonywał całą robotę, a on będzie brał procent. Albo pan

zgodzi

się na jego warunki, albo wydarzy się więcej takich wypadków jak wczoraj

wieczorem.

Chill rąbnął pięścią w stół i natychmiast tego pożałował – nadal bolały go palce.

–Nie możesz mi udowodnić, że zrobił to Umber Jones! Nikogo tam nie było!

Jim podniósł fetysz voodoo i potrząsnął nim.

–Och, nie – rzekł. – Był tam ktoś. To, że kogoś nie widać, wcale nie oznacza, że

go nie

ma. Słyszał pan o Dymie?

Twarz Chilla straciła kolor; jego policzki stały się niemal równie białe jak bandaż

na

głowie.

–Dym? O tym mówisz? Dym? To niemożliwe, człowieku. To tylko przesąd.

–Tak, pewnie. Więc twoich goryli zadźgał przesąd, tak? Niezwykły sposób

umierania.

Jim nadal trzymał fetysz w uniesionej ręce. Chill nie mógł oderwać od niego oczu.

Widać

było, że jest bardzo przestraszony.

–Zabierz to, człowieku. Nawet nie chcę na to patrzeć.

–To prezent. Umber Jones będzie bardzo zły, jeśli go pan nie przyjmie.

–Zabieraj go, słyszysz?! – wrzasnął Chill. – Powiedz mu, że dostanie, co chce!

Dziewięćdziesiąt procent, sto dziesięć procent, ile chce!

Jim pochylił się, przykładając dłoń do ucha.

–Dobrze usłyszałem?

–Powiedz mu, że dostanie tyle, ile chce! Wszystko!

Jim przez sekundę czy dwie nic nie mówił, a potem skinął głową.

–W porządku. Powiem mu.

Wstał i wyszedł ze „Sly’s”. Kiedy szedł, wszyscy szybko rozstępowali się na boki, zarówno klienci jak i personel, i nawet pianista przestał grać.

Jim gardził Umberem Jonesem za jego okrucieństwo, chciwość i diabelskie

**szuczki, ale w**

**tym momencie miał niesamowite poczucie władzy. Zrozumiał, dlaczego Tee Jay tak bardzo**

**pociągało voodoo. Było jak seks. Jak pokonanie przeciwnika w zacieklej walce. Jak**

**wyzwolenie. Jakby miało się po swojej stronie wszystkich bogów.**

**Kiedy siedział w swojej kuchni jedząc pierożki Chef Boy-ar-Dee posypane tartym parmezanem, zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i zapytał:**

**–Tak, kto mówi?**

**–Pan Rook? Tu Tee Jay. Wuj Umber właśnie opuścił mieszkanie.**

**–Jesteś pewny?**

**–Zamknął się w swoim pokoju prawie dwadzieścia minut temu. Obserwowałem ulicę i**

**widziałem, jak jego duch-dym kierował się na zachód.**

**–Jesteś tego pewny?**

**–Oczywiście, że jestem. Widziałem go na własne oczy, jak płynął nad ulicą.**

**Jim spojrział na kuchenny zegar. Była 10.47. Kotka Tibbles siedziała u jego nóg, oblizując**

**pyszczek.**

**–Słuchaj – odezwał się do niej. – Lepiej nie jedz tych pierożków. Pamiętasz, co było**

**wczoraj.**

**–A co było wczoraj? – zapytał Tee Jay.**

**–Zapomnij o tym. Mówiłem do kogoś innego.**

**–Niech pan przyjdzie – powiedział Tee Jay. – Nie wiem, jak długo go nie będzie.**

**–W porządku, przyjdę – odparł Jim. – Ale nie oczekuj zbyt wiele. Nigdy tego nie robiłem i może mi się nie udać.**

**–Uda się, panie Rook, jestem pewny., Jim już wcześniej usypał wokół kanapy krąg**

**z popiołu z zaimprovizowanymi symbolami Słońca, Księżycy i Wiatru. Położył się teraz na**

**niej i wsunął pod głowę poduszkę. Czuł się co najmniej śmieszny. Jednak pani Vaizey udało**

**się to, więc nie było powodu, by nie miało się udać również jemu. Wielu ludzi opuszczało**

**swoje ciała i wędrowało po świecie w postaci dymu, duchów czy letnich przeciągów. Nie**

**było powodu, dla którego i on nie miałby tego zrobić.**

**Kotka Tibbles patrzyła na niego z zainteresowaniem, gdy recytował słowa, których**

**nauczyła go pani Vaizey – z kilkoma własnymi dodatkami. „Uwolnij moją duszę... niech**

**podąża, gdzie chce... niech moje ciało śpi bez niej... uwolnij moją duszę... chroń**

**ją od zła i**

**ciemności... uwolnij moją duszę...”**

**Czuł się dziwnie lekki, jakby spędził cały wieczór w barze, pijąc jedną szklaneczkę whisky**

**po drugiej. Patrzył w sufit, na pofalowany tynk modny w latach pięćdziesiątych i powtarzał w**

**myślach: „Uwolnij moją duszę”. Tynk zaczął pływać, sufit zmienił się w morze, a kanapa w**

**łódź przecinającą fale, wypływającą z portu świadomości, z klatki kości i ciężkiego, opornego**

**ciała. Jim poczuł, że unosi się w powietrzu.**

**Obrócił się, jakby płynął, i ujrzał siebie leżącego na kanapie, z zamkniętymi oczami i**

**rękami złożonymi na piersi. Podleciał bliżej i spojrzał na swoje ciało z lękiem i fascynacją.**

**Jego twarz wyglądała trochę dziwnie, jakby obco. Po chwili zrozumiał, że nigdy jeszcze nie**

**oglądał jej pod tym kątem, chyba że na zdjęciach. Przeważnie widział ją w lustrze, w którym**

**była widoczna z innej strony.**

**Kotka zdawała się wyczuwać, że dzieje się coś dziwnego, bo nastroszyła sierść i ostrożnie**

**cofnęła się o trzy czy cztery kroki. Ale nie patrzyła na niego, co oznaczało, że tak samo jak**

**ludzie nie potrafiła widzieć duchów.**

**Zegar w kuchni wskazywał 11.00, więc Jim uznał, że powinien już ruszać.**

**Spotkanie z**

**powracającym ze swojej wyprawy Umberem Jonesem było ostatnią rzeczą, jakiej sobie**

**życzył.**

**Przepłynął przez pokój i wyleciał przez uchylony na trzy centymetry lufcik.**

**Uczucie**

**wyzwolenia od cielesnej powłoki było upajające. Pani Vaizey miała rację: czuł się tak, jakby**

**zrzucił ciężki, krępujący ruchy płaszcz. Prześlizgnął się wzdłuż balkonu obok mieszkania**

**Myrlina i przez okno zobaczył sąsiada przeglądającego się w lusterku i przycinającego sobie**

**włosy w nosie.**

**Potem poleciał nad schodami i wysunął się z budynku na ulicę. Stwierdził, że porusza się**

**znacznie szybciej niż pieszo. Na dobrą sprawę wystarczyło tylko, że pomyślał o tym, że chce**

dojść do następnego skrzyżowania, a już tam był – jak w jakimś slapstikowym filmie. Płynął ulicami Venice, przecinając je lub lecąc wzdłuż chodników. Czasem przelatywał o centymetry od spacerujących ludzi, ale nikt go nie dostrzegał. Wiedział, że bez żadnego ryzyka może przechodzić przez ulicę przed pędzącymi samochodami. Pojazdy po prostu przejadą przez niego, tak samo jak przejechały przez Dym Umbera Jonesa. Ale brakowało mu pewności siebie, więc – niewidzialny – czekał na zielone światło jak wszyscy. Na rogu Mildred stanął tuż za człowiekiem z psem. Zwierzę najwyraźniej wyczuło obecność Jima, gdyż skowyczało, szarpało łapami chodnik i rozglądało się wokół niespokojnie. –Co jest, Sukie? – zapytał właściciel psa. – Zachowujesz się, jakbyś zobaczyła ducha. W końcu Jim dotarł do domu Umbera Jonesa i wzbił się na wysokość pierwszego piętra. Przez okno ujrzał Tee Jaya siedzącego na kanapie i oglądającego telewizję przy wyłączonej fonii. Chłopiec raz po raz zerkał na zegarek i patrzył w okno. W pierwszej chwili Jim miał ochotę uskoczyć, ale zaraz uświadomił sobie, że chociaż Tee Jay jako uczeń voodoo mógł widzieć Dym, to jednak nie mógł dostrzec jego ducha. Podpłynął do okna mieszkania Umbera Jonesa. Zasłony były częściowo zaciągnięte, a pokój oświetlały tylko dwie świece z czarnego wosku. Kiedy znalazł się bliżej, zobaczył ciało Umbera Jonesa leżące na łóżku. Jego twarz była pobielona popiołem. Miał na sobie czarny frak, szare spodnie i czarne kamasze, a obok, na poduszce, leżał cylinder. W jednej ręce trzymał fetysz z kurzych kości, paciorków, pierza i kłaczek sierści, znacznie staranniej wykonany niż ten, który wysłał Chillowi. W prawej dłoni ścisnął długą laseczkę z jasnego gładkiego drewna, ozdobioną srebrną trupią czaszką. Laska loa. Symbol mrocznej władzy Umbera Jonesa – jak biskupi pastorał czy królewskie berło. Jim czytał w książkach Sharon o laseczkach loa: jeden wyznawca voodoo przekazywał ją drugiemu, ale nikt nie stawał się jej właścicielem. Taka laska zawsze należy

tylko do

Barona Samedi, władcy cmentarzy, który w każdej chwili może zażądać jej zwrotu. Okno sypialni Umbera Jonesa było lekko uchylone, więc Jim wpłynął przez nie jak strumień ciepłej wody. Klimatyzację wyłączono i w pomieszczeniu było nieznośnie

duszno i

gorąco, a odór kadzidła był tak silny, że Jim niemal się dusił. Dziwne, pomyślał,

nie mam

ciała, a jednak odczuwam potrzebę oddychania. Pewnie nawet duchy mają płuca.

Zbliżył się do łóżka i zatrzymał, spoglądając na Umbera Jonesa leżącego z

szeroko

otwartymi oczami o źrenicach czerwonych jak owoce granatu. Jednak jego duch

był

nieobecny, błędził gdzieś w ciemnościach, a oczy były nieruchome i niewidzące.

Jim ostrożnie wyciągnął rękę nad pogrążonym we śnie ciałem i chwycił laseczkę

loa.

Wyczuł ją, ale jego dłoń przeszła przez drewno. Spróbował jeszcze raz, ale nie

zdołał chwycić

jej w palce. Jakby usiłował podnieść żywego węgorza.

Zaraz jednak przypomniał sobie, co powiedziała mu pani Vaizey: duch działa siłą

woli, nie

ciała. Siłą ducha jest sama jego istota, zdolność koncentracji, nie skrepowana

przez ciało i

krew.

Ponownie położył ręce na laseczce i wyobraził sobie, że wysuwa się z dłoni

Umbera

Jonesa i wpada w jego własna rękę. Wpatrywał się w nią usilnie, próbując ją

zmusić, aby

poddała się jego woli. Wreszcie poczuł, że laska powoli zaczyna się

materializować, gładka,

twarda i błyszcząca. Nadal nie wydawała się rzeczywistym przedmiotem i miał

wrażenie, że

w każdej chwili może mu się wymknąć. Jednak wciąż koncentrował się – chodź,

chodź, ty

przekłety, uparty kawałku drewna, mówił w myślach – i laseczka centymetr po

centymetrze

wysuwała się z ręki Umbera Jonesa.

Gdyby ktoś na to patrzył, ujrzałby, że laska jak zaczarowana wędruje w górę i

powoli

szybuję do okna. Jim, wcale nie wiedząc o tym, używał swojej energii psychicznej

w podobny

sposób jak poltergeisty ciskające po pokoju talerzami i meblami.

Musiał skoncentrować całą siłę woli, aby utrzymać laseczkę loa. Jeśli uda mu się

donieść

ją do okna, zrzuci ją na ulicę, a potem ukryje gdzieś w pobliżu i wróci po nią w swojej  
cielesnej postaci. Nadal jednak nie wiedział, co powinien z nią później zrobić –  
złamać,  
zakopać czy cisnąć do oceanu – a w żadnej z książek Sharon nie wspomiano o  
tym.

Podejrzał, że najlepszym sposobem na pozbycie się jej byłoby spalenie i  
rozzrucenie  
popiołu na cztery wiatry.

Dotarł do okna i ulokował koniec laski w szczelinie lufcika. Spojrzał na chodnik w  
dole,

upewniając się, że nikogo nie ma w pobliżu. Nie chciał, by jakiś przechodzień  
podniósł laskę  
i odszedł z nią nie wiedząc, co to takiego.

Już miał ją rzucić na dół, kiedy po drugiej stronie ulicy; dostrzegł jakiś ciemny  
kształt. Z

początku myślał, że to tylko cień markizy „Amato’s Dęli”, ale po chwili z  
przerażeniem ujrzał

wyłaniającą się z mroku postać Umbera Jonesa, z pobieloną twarzą i jarzącymi się  
czerwonymi oczami, podążającą prosto do drzwi mieszkania.

Na chwilę zapomniał o koncentracji i laseczka upadła na linoleum podłogi. W  
panice

ukłękął i usiłował ją podnieść, jednak zbyt niepokoiła go wizja zbliżającego się  
ducha

Umbera Jonesa. Próbował raz za razem, ale laska wciąż wymykała mu się z  
palców. Usłyszał

w następnym pokoju głosy – Tee Jaya i Umbera Jonesa i zrozumiał, że chłopiec  
usiłuje

zatrzymać ducha swojego wuja. Wciąż nie mógł podnieść laseczki. Teraz już  
nawet nie mógł

jej wyczuć. Musiał uciekać, zanim Umber Jones odkryje jego obecność i  
skorzysta z mocy

Ghede, każąc mu wchłonąć samego siebie albo ukarze go w jakiś inny okropny  
sposób.

Już miał wylecieć przez okno, gdy silna, twarda dłoń chwyciła go za ramię.  
Odwrócono go

gwałtownym szarpnięciem i trzykrotnie uderzono w twarz. Policzki były  
bezgłośne, ale

bardzo silne. Jim miał wrażenie, że skręcono mu kark. Upadł, jednak zaraz  
postawiono go na

nogi i stanął oko w oko z duchem Umbera Jonesa.

Ku jego zdziwieniu Umber Jones uśmiechał się.

–Więc nauczyłeś się opuszczać swoje ciało i chodzić po świecie jako duch? –



powiedział.

Jim usiłował się wyrwać, ale Umber Jones trzymał go mocno.

–Co sprowadza cię do mojego domu? – zapytał. – Postanowiłeś złożyć mi

towarzyską

wizytę? Miałeś ochotę na pogawędkę?

Jim obrócił się bokiem do niego, lecz Umber Jones nadal trzymał go mocno za rękę.

Rozejrzał się po pokoju – popatrzył na biurko zasypane różnymi rupieciami, na stoły z

talizmanami, amuletami i srebrnymi pudełkami.

–Chyba nie przyszedł pan tu, aby coś ukraść, panie Rook? – zapytał. – To do pana

niepodobne. Myślałem, że obowiązkiem nauczyciela jest dawanie przykładu innym.

Zaśmiał się ponuro, a potem dodał:

–Nie... nie sądzę, żeby przyszedł pan tu coś ukraść, prawda? Nie widzę, żeby czegoś

brakowało.

Igrał z Jimem, drwił z niego. Z pewnością zaraz wejściu do pokoju dostrzegł leżącą na

podłodze łasi loa.

–A może... chwileczkę, co to? – powiedział po dr wuj Umber, spoglądając pod nogi

Jima. – Czy to nie mi laska? Mam nadzieję, że nie zamierzał pan z nią odejść, panie Rook,

bo to święta laska. Można nią zapukać do każdych drzwi i wezwać tyle duchów, ile się chce.

Można nią przywołać Ghede i Ougona Ferraille. A nawet Voduna, jeśli ma się odwagę.

–Cholernie dobrze pan wie, co tu robię. To zabijanie musi się skończyć.

Umber Jones przysunął się do niego tak blisko, że prawie dotykali się nosami.

–Zabijanie nigdy się nie skończy, panie Rook. Przynajmniej dopóki wszyscy w tym mieście nie zaczną szanować Umbera Jonesa. Chcę nie tylko ich szacunku, ale także ich

pieniędzy i wszystkiego, co wpadnie mi w oko.

–Postradał pan rozum.

–Możliwe, panie Rook. Jednak pan stracił coś znacznie cenniejszego. Stracił pan swoje

ciało.

–Naprawdę myśli pan, że zdoła zmusić każdego alfonsa i handlarza narkotyków w Los

Angeles, żeby oddawał pani dziewięćdziesiąt procent zysków?

–Myślę? Ja to wiem. Co powiedział panu dziś Chill? Niech mi pan nie mówi, że

**Jeszcze**

**się opiera.**

**Jim nie odpowiedział. Umber Jones obrzucił go przeciągłym spojrzeniem, a potem puścił**

**jego rękę. Pochylił się i podniósł laskę loa, przesuwając po niej rękę, jakby upewniał się, że**

**nie została uszkodzona. Właśnie ta laska umożliwiała jego duchowi wkraczanie do realnego**

**świata a także zabieranie różnych rzeczy, okaleczanie i zabijanie ludzi. Umber podszedł do**

**swojego ciała, rozchylił palce i włożył laseczkę na swoje miejsce.**

**–Myślałem, że mogę panu ufać – oświadczył. – Nie wie pan, jak bardzo mnie pan rozczarował. Zawiódł pan też swoich uczniów.**

**–Nawet nie próbuj krzywdzić moich uczniów.**

**Umber Jones popatrzył na niego groźnie.**

**–Nie zdołasz mnie powstrzymać.**

**–Och, powstrzymam. Znajdę jakiś sposób, możesz mi wierzyć.**

**–A jeśli każę ci, żebyś sam się pożarł, tak jak zrobiłem to z twoją znajomą?**

**–Za bardzo mnie potrzebujesz. Jak bez mojej pomocy przekonasz wszystkich tych**

**handlarzy narkotyków, żeby ci płacili?**

**–Zawsze mogę znaleźć innego przyjaciela.**

**–Być może. Jednak to nie takie łatwe znaleźć przyjaciela. Szczególnie przyjaciela, którego można szantażować, tak jak mnie.**

**Umber Jones wyszczerzył zęby w uśmiechu.**

**–Masz rację, ale myślę, że powinieneś dostać nauczkę. Sądzę, że powinieneś otrzymać**

**małą lekcję posłuszeństwa i pokory.**

**Jim nie wiedział, co na to powiedzieć. Jeszcze nigdy w życiu nie był tak przestraszony. W**

**postaci ducha, poza swoim ciałem, czuł się słaby i bezbronny jak nowo narodzone dziecko**

**wobec tej widmowej postaci, uosabiającej ciemne moce. Zanim Umber Jones uderzył go, nie**

**miał pojęcia, że duch może dotknąć innego ducha, nie mówiąc już o tym, że mógłby zrobić**

**mu krzywdę. Poza tym, czego dowiedział się od pani Vaizey i co wyczytał w książkach**

**Sharon i National Geographic, jego znajomość tematu ograniczała się do Jacoba Marleya i**

**„Caspra”.**

**–I co zamierzasz zrobić? – zapytał niespokojnie.**

**–Przekonasz się – odparł Umber Jones.**

**–Chcesz mnie wypuścić?**

**–Jak sam powiedziałaś, niełatwo znaleźć przyjaciela...**

**–A co z tą lekcją posłuszeństwa i pokory?**

**–Przekonasz się – powtórzył Umber Jones, odwrócił się plecami do Jima i znów podszedł do łóżka. Stał obok swego ciała, położył dłonie na jego piersi, a potem wymamrotał kilka niezrozumiałych słów. Jego ciało zaczęło oddychać szybciej i głębiej, aż**

**klapy czarnego fraka unosiły się i opadały. Wkrótce oddech przeszedł w rżące jęki, jak u**

**człowieka uwięzionego w zatopionej łodzi podwodnej.**

**Widmowa postać Umbera Jonesa zadrżała. Ciało wydawało się przyciągać je z każdym**

**rżącym oddechem. Potem duch Umbera zaczął się kurczyć i tracić kształt, coraz bardziej**

**przypominając dym. Na oczach oszołomionego Jima ciało powoli wessało ten dym. Obok**

**łóżka nie pozostało nic oprócz kilku czarnych smużek, które unosiły się i wiły, aż i one**

**zostały wessane.**

**Jim usłyszał, że Umber Jones coś mamrocze. Jego palce poruszyły się. Czas uciekać,**

**pomyślał. Odwrócił się i wyleciał przez szparę w oknie w noc. Opadł na chodnik i obejrzał,**

**się na okno mieszkania. Na tle migotliwego blasku świec dostrzegł sylwetkę stojącego tam i**

**obserwującego go Umbera Jonesa.**

**Ruszył do domu, przelatując nad kolejnymi ulicami. Teraz chciał tylko powrócić do swego**

**ciała, zanim Umber Jones postanowi dać mu lekcję. Dzięki Bogu wyglądało to, że nie będzie**

**musiał konsumować sam siebie. Jednak nieświadomość tego, co szykuje dla niego**

**przeciwnik, była niemal równie przerażająca.**

**Dotarł do swojego domu i wleciał przez lufcik do mieszkania. Przeleciał przez pokój**

**stołowy, w którym kotka Tibbles spała na podłodze obok kanapy.**

**Ale sama kanapa była pusta. Jego cielesna postać zniknęła.**

## ROZDZIAŁ XII

Przeleciał do sypialni. Tam również nie było ciała. Z rosnącym przerażeniem otworzył

drzwi łazienki. Wanna była pusta. Z sitka prysznicza kapła woda.

Wrócił do stołowego i położył dłoń na kanapie, jednak nie wyczuł ciepła.

Zauważył, że

popiół jest rozrzucony, jakby ktoś przeszedł przez krąg. Kotka chyba wyczuła obecność pana,

bo podniosła łeb i otworzyła jedno oko.

Co do diabła mam teraz zrobić? – zastanawiał się Jim. Czy właśnie tak ukarał go Umber

Jones, zabierając mu ciało i pozostawiając bezdomnego ducha? Pani Vaizey mówiła, że

rozdzielone ciało i duch mogą przetrwać bez siebie tylko przez krótki czas. Co teraz ma

robić?

A jeżeli zniknięcie jego ciała nie miało nic wspólnego z Umberem Jonesem? Jeśli Myrlin

zobaczył go w takim stanie i wezwał karetkę?

Raz po raz okrążał pokój. Nikt nie mógł go spostrzec, ale poruszając się powodował

wirowanie powietrza. Duchy i widma nie są całkowicie niewykrywalne. Podnoszą lub

obniżają temperaturę, zwalniają chód zegarów, a ich oddech zawsze można wyczuć czy nawet

dostrzec, szczególnie na zaparowanej szybie.

Wciąż krążył jak oszalały, kiedy usłyszał znajome stukanie w szybę okna pokoju. Nie

mógł otworzyć drzwi, więc wypłynął przez otwór wentylatora na balkon. Przy balustradzie

stał Elvin, uśmiechając się do siebie. Rany na jego twarzy ziały czernią i zaczęły ociekać

gęstą, zielonkawą wydzieliną zasychającą wokół brzegów jak majonez na słoiku, a w jego

oczodołach kłębiły się zielone muchy.

–Pewnie przynosisz następną wiadomość – powiedział Jim.

Elvin zamknął i otworzył usta. Język miał tak opuchnięty, że prawie nie mógł mówić.

–Nie wiesz przypadkiem, gdzie się podziało moje ciało? – zapytał Jim. – Jeżeli Umber

Jones w taki sposób, chce mnie ukarać, to możesz mu powiedzieć, że go przepraszam i nigdy

już nie dotknę jego laseczki. Niech mi; tylko odda moje ciało.

**–Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz – wybełkotał Elvin.**

**–O czym ty mówisz, do diabła?**

**Mucha wyleciała z jednego oczodołu Elvina, bzyząc donośnie w nocnej ciszy.**

**–Zniosłem twoje ciało tam, gdzie powinno być... tam, gdzie powinny leżeć**

**wszystkie**

**ciała – powiedział martwy chłopiec.**

**–Gdzie? Na cmentarz?**

**Elvin kiwnął głową.**

**–Wszystkie ciała powinny być w ziemi, tak jak i moje.**

**–Moje ciało zostało pochowane?**

**–Właśnie, panie Rook. Ale niech się pan nie przejmuję, Odmówiłem krótką**

**modlitwę**

**nad pańskim grobem.**

**Jim poczuł się jeszcze bardziej nagi i bezbronny. Uwolnienie się od ciała było**

**wspaniałym**

**przeżyciem, ale teraz czuł się tak, jakby zbyt długo siedział w zimnej wannie.**

**Mimo iż był**

**duchem, trzął się cały. Zatęsknił za swoim ciałem. Choć było ciężkie i**

**niewygodne,**

**brakowało mu ciepła i poczucia bezpieczeństwa, jakie zapewniało.**

**–Nikt nigdy pana nie znajdzie, panie Rook – oświadczył Elvin. – Będzie pan musiał  
zaczekać, aż Umber Jones pana odkopie.**

**–A kiedy to będzie?**

**–Za dzień. Może dwa. Za półtora miesiąca. Trzy miesiące. A może nigdy.**

**–Przecież moje ciało nie przetrwa bez duszy.**

**–Pokażę panu, gdzie jest pan pochowany, żeby mógł pan z powrotem wejść w**

**swoją**

**skórę.**

**–Jednak nawet jeśli to zrobię, to jak przeżyję dwa metry pod ziemią?**

**–Proszek... – wymamrotał Elvin z uśmiechem. – Dmuchałem na pana trochę  
proszku, kiedy leżał pan na kanapie. Nie musi pan jeść ani pić. Prawie nie będzie**

**pan**

**oddychał. Jest pan zombie, panie Rook. Przeżyje pan pod ziemią długie miesiące.**

**Jim nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Elvin przysunął się bliżej. Cuchnął tak  
odrażająco, że Jim zwymiotowałby, gdyby miał żołądek.**

**–Niech pan idzie za mną – powiedział Elvin. – To niedaleko.**

**Odwrócił się i poczłapał wzdłuż balkonu. Jim zawahał się, lecz Elvin obejrzał się i  
pomachał na niego.**

**–Chodźmy – ponaglał. – Nie mamy wiele czasu. Przecież chce pan dostać z**

**powrotem**

**swoje ciało, prawda?**

**Jim niechętnie spłynął za nim po schodach. Jednak zamiast wyjść na ulicę, Elvin**

**skręcił w**

wąskie przejście wiodące na tyły domu, gdzie stały pojemniki na śmieci. Było mokre od wody z ogrodowych spryskiwaczy. Elvin powłóczył nogami po cemencie w ten sam charakterystyczny sposób, co zombie z „Powrotu żywych trupów”. Wielki Boże, pomyślał Jim, czyż życie naprawdę nie naśladuje sztuki? O ile „Powrót żywych trupów” można uznać za sztukę.

Elvin przeszedł przez podwórze i pobrnął przez płataninę krzaków i zarośli, aż dotarł do trójkątnej skrawka ugoru między tyłem garaży a betonową ścianą następnego budynku.

Było tu ciemno i ponuro, lecz Jim dostrzegł, że sucha kamienista gleba jest świeżo skopana.

–To tu pochowano moje ciało? – zapytał ze zgrozą.

–Nie wyczuwa go pan, panie Rook? Nie czuje własnego ciała?

–Nie. Co mam teraz robić?

–To, co zawsze robią duchy, kiedy wracają ze spaceru. Wrócić do swego ciała i odpocząć.

–Czy Umber Jones wiedział, że dziś wieczór opuszczę moje ciało?

–Umber Jones wie wiele rzeczy, panie Rook.

–Przecież tylko moi uczniowie wiedzieli, co zamierzam zrobić. Nikt inny. A oni nie powiedzieliby mu o tym.

–No cóż – rzekł Elvin – teraz będzie pan miał mnóstwo czasu do przemyślenia tej sprawy.

Chyba wcale nie chciał być sarkastyczny. Jego zduszony, rozmamłany głos brzmiał prawie smutno, jakby bardzo żałował, że to nie jego gnijące ciało spoczywa w trumnie pod ziemią.

Jim nie wiedział, co robić. Stał na grudach przekopanej ziemi i usiłował wyczuć, gdzie jest jego ciało. Minęło kilka minut. Elvin cierpliwie obserwował go, a noc wokół rozbrzmiewała odgłosami ulicznego ruchu. Nagle Jim poczuł pod sobą jakieś ciepło: jego ciało znajdowało się pod nim, wyczuwał je. Zamknął oczy i próbował wyobrazić sobie, jest po prostu ciepłą wodą wsączającą się w glebę i wniknął w ziemię. Zapadając się coraz niżej czuł, jak jego duch przesuwa się między drobinami piasku. Po chwili znalazł się w kompletnych ciemnościach.

Dotarł do wieka trumny. Zwykle pudło z sosnowych desek, przez które przesączczył

się z  
łatwością. Wpłynął z powrotem do swojego ciała, do mózgu. Wniknął w dłonie,  
jakby  
wkładał parę rękawiczek. Wypełnił płuca, żołądek i sięgnął w nogi, aż do czubków  
palców.  
Przez kilka sekund czuł bezgraniczną ulgę.  
Ale tylko przez kilka sekund. W następnej chwili zrozumiał, że jest uwięziony w  
ciemnej,  
ciasnej skrzyni i nie może się poruszyć. Poczł gwałtowny przyptływ klaustrofobii,  
jednak  
nawet nie mógł wrzasnąć. Leżał unieruchomiony magicznym proszkiem, z  
szeroko otwartymi  
oczami, rozdziawionymi ustami i zupełnie sparaliżowanymi mięśniami twarzy.  
Kiedyś, grając  
w piłkę, wywichnął sobie szczękę, ale to było tysiąc razy gorsze. Wszystkie  
mięśnie  
zesztywniały mu tak, że nie mógł nawet wyładować wściekłości dysząc, kopiąc  
czy tłuając  
pięściami. Pomyślał, że prawdopodobnie niedługo umrze.  
Po kilku minutach spróbował wziąć się w garść. Trumna była tak ciasna, że  
nosem prawie  
dotykał jej wieka. Miał wrażenie, że zaraz eksploduje jak bomba. Jednak po chwili  
zaczął  
powtarzać w myślach: „Jesteś pogrzebany, sparaliżowany, ale nie jesteś martwy.  
Przestań  
panikować i zacznij myśleć, bo inaczej nigdy się stąd nie wydostaniesz. Przecież  
wiesz, że  
niektórzy ludzie potrafili przeżyć kilka dni po takim»pogrzebie«. Ty też możesz  
przeżyć,  
jeśli zachowasz spokój. Twoje płuca nie chcą oddychać, ale to nawet lepiej.  
Musisz  
spowolnić metabolizm do absolutnego minimum. Żadnych wysiłków myślowych,  
żadnej  
histerii”.  
Minęło prawie dwadzieścia minut, zanim zdołał się uspokoić. Wciąż miał chwilowe  
ataki  
klaustrofobii, pod wpływem których dygotał od głowy do stóp. Mimo to jakoś  
opanował  
strach i uspokoił umysł. Przeżyje, był tego pewien. Umber Jones za bardzo go  
potrzebował,  
żeby pozwolić mu umrzeć. Po prostu ukarał go za to, że próbował mu ukraść  
laseczkę loa.  
Jeśli spokojnie przyjmie tę karę, przeżyje.

Usiłował myśleć o tym, co powinien robić dalej. Mógł leżeć tu i czekać, aż Umber Jones go ekshumuje, albo próbować uciec. Problem w tym, że był sparaliżowani a jego umysł nie potrafił zdobyć się na żaden większy wysiłek. Leżał w kompletnej ciemności, pod ziemią, nie mogąc – krzyczeć i nawet nie mogąc płakać. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał, jak to jest być zombie i dlaczego tak posłusznie wykonywali rozkazy, kiedy w końcu wykopano ich z ziemi. Pozostawali w głębokim szoku lub byli tak wdzięczni za ocalenie, że zrobiliby wszystko, co rozkazał im wybawca. Nie ma nic okropniejszego, niż leżeć tak żywcem w swoim grobie, czekając z nadzieją na dźwięk łopaty. Jim był gotów uwierzyć, że Bóg o nim zapomniał.

O 10.15 druga klasa specjalna była już niespokojna. Jednak nikt nie wrzeszczał, nie strzelał kawałkami papieru i nie bębnił w blaty stolików. Tym razem byli przygaszeni i zmartwieni, rozmawiali ściszonymi głosami i od czasu do czasu podchodzili do okna, żeby sprawdzić, czy na parkingu nie pojawił się samochód Jima.

Russell Gloach kończył stertę aromatycznych tortillas, wystarczającą dla licznej rodziny.

–Nie uważacie, że coś poszło nie tak? – zapytał. – Ten wuj Tee Jaya wygląda na wyjątkowo paskudnego faceta.

Muffy zerknęła na zegarek.

–Gdzie jest Tee Jay? Chyba tylko on mógłby nam powiedzieć, co naprawdę się stało, a tymczasem nie ma go...

–Coś poszło nie tak – powtórzył Russell, przyskajac okruchami placków.

–Może skończyłbyś z tym pesymizmem? – warknął Seymour. – Pana Rooka mogło zatrzymać cokolwiek. Korek drogowy, kto wie co?

–Czy kiedykolwiek się spóźnił? Zawsze przychodzi na czas.

–Może znalazł tę laskę i teraz próbuje się jej pozbyć.

–M-m-może p-powinniśmy z-zadzwoić do jego d-do-mu? – podsunął David.

–To chyba najlepszy pomysł – odparła Sharon. – Czy ktoś zna numer jego telefonu?

–Jest w jego biurku – poinformował Ray.

–Skąd wiesz?



–Bo zawsze przeglądałam biurka nauczycieli, żeby zobaczyć, co skonfiskowali.

Jeśli

potrzebujecie gumę do żucia, scyzoryk czy magazyn porno, nie ma pewniejszego źródła jak

biurko nauczyciela.

Znaleźli telefon Jima w notesiku w skórzanej okładce, który zawsze trzymał w lewej

szufladzie. Sue-Robin wyjęła z eleganckiej torebki swój komórkowiec i wystukała numer,

przez cały czas żując gumę. Czekając, nadmuchała duży różowy balon. Telefon dzwonił i

dzwonił, ale Jim nie odpowiadał. W końcu Sue-Robin powiedziała:

–Nie odbiera. Coś musiało mu się stać.

–I co teraz zrobimy?

–No cóż, najpierw chyba sprawdzimy w kancelarii, czy w ogóle dziś przyszedł. A potem... no, nie wiem... może kilkoro z nas powinno pójść do Tee Jaya? Może on wie, gdzie

podział się pan Rook.

Muffy poszła porozmawiać z Sylwią, sekretarką doktora Ehrlichmana, ale ona również nie

widziała Jima.

–Nie martwcie się, to pewnie ten jego stary samochód. Poproszę doktora Ehrlichmana,

żeby dał wam coś do roboty.

–Och, nie. Proszę mu powiedzieć, żeby się nie fatygował. Mamy mnóstwo roboty

–  
odparła Muffy.

Wróciła do klasy i przecząco pokręciła głową.

–A więc to tak – stwierdziła Sue-Robin. – Ray i Beattie, może wy pojedziecie do domu Tee Jaya? Spytacie jego mamę o adres wuja, a potem sprawdzicie, czy jest w domu.

–Muszę tam iść właśnie z Rayem? – zapytała z odrazą Beattie.

Ray posłał w jej kierunku czuły pocałunek i powiedział:

–Pewnie, że tak. Mam najszybszą gablotę.

–Szybki samochód jest nędnym odpowiednikiem penisa – prychnęła Beattie.

–W szybkim samochodzie szybciej do raju – odparował Ray.

Nadal dyskutowali jeszcze nad tym, co mogliby zrobić pozostali, gdy usłyszeli przeraźliwy

pisk. Zamilkli i popatrzyli po sobie, a potem, jak na próbie baletu, wszyscy jednocześnie

obrócili głowy w kierunku źródła dźwięku. W powietrzu unosił się kawałek kredy, raz po raz

postukując w tablicę.

**–O mój Boże! – jęknęła Rita Munoz. – To pewnie znów wuj Tee Jaya.**

**–Mam nadzieję, że nie – mruknął Seymour. – Co zrobimy, jeżeli to rzeczywiście on?**

**Kawałek kredy znieruchomiał w powietrzu, a potem nagle upadł na podłogę.**

**Wszyscy**

**podskoczyli. Po chwili kreda znów uniosła się bardzo powoli i dotknęła tablicy.**

**Wyglądało to**

**tak, jakby trzymała ją jakaś niewidzialna dłoń, której palce nie mogą się dobrze zacisnąć.**

**–Hej, patrzcie – zawołał John Ng. – Stawia jakiej znaki. Coś pisze.**

**Denerwująco powoli kreda nakreśliła krótką pionową linię. Potem lekko przesunęła się w**

**bok i narysowała coś co wyglądało jak grabki.**

**JE.**

–Co to oznacza? – zmarszczył brwi Titus. Jednak kreda zaraz poruszyła się znowu i

dorysowała jakiś zygzak.

–Nie rozumiem tego – rzekł Ricky. – Jeśli mamy rozmawiać z duchem, to może byłoby lepiej, gdyby raz stuknął na „tak”, a dwa na „nie”?

Kreda poruszyła się znowu. Tym razem napisała T, potem dorysowała drugie grabki i

podwójny pagórek. Kimkolwiek był piszący, w miarę upływu czasu zdawał się nabierać

pewności siebie i siły.

**JESTEM POCHOWANY.**

–„Jestem pochowany” – przeczytał Titus. – Tak napisał. Jestem pochowany.

Kreda pisała dalej, z każdą chwilą szybciej. Klasa obserwowała ją jak urzeczona.

**JESTEM POCHOWANY ZA GARAŻAMI NA TYŁACH DOMU. WEŹCIE ŁOPATY.**

**JIM.**

Po słowie „Jim” kreda upadła na podłogę i pękła. Uczniowie przez chwilę milczeli,

a

potem zaczęli pohukiwać, krzyczeć i wiwatować. Duch Jima Rooka naprawdę tu był.

Sherma uciszyła ich i wyszła na środek klasy, rozglądając się wokół.

–Panie Rook... wiemy, że pan tu jest. To było jedno z najniezwyklejszych przeżyć

w

moim życiu...

–Daj spokój z przemówieniami – przerwał jej Ricky. – Chodźmy go wykopać.

Wszyscy skoczyli do drzwi, ale właśnie w tej chwili stanął w nich doktor

Ehrlichman z

grubym plikiem zeszytów pod pachą. Zatrzymali się, szurając nogami i pokaszując.

Doktor

Ehrlichman popatrzył na nich ze zdziwieniem i powiedział:

–Jeszcze pół godziny do przerwy. Dokąd się wybieracie?

–Zajęcia w terenie, proszę pana – odparł Russell.

–Zajęcia w terenie? Nic nie wiem o żadnej wycieczce. Poza tym nie możecie iść na

nią sami, bez pana Rooka.

–Mamy się spotkać z panem Rookiem przy plaży. Mamy pochodzić po plaży, a potem

napisać wiersz o swoich wrażeniach. Wie pan, tańczące fale i tym podobne rzeczy.

–I lale w bikini – wtrącił Mark i stęknął, gdy Russell szturchnął go w plecy.

–Przykro mi, ale nie dawałem panu Rookowi pozwolenia na zajęcia w terenie – oświadczył doktor Ehrlichman. – Dopóki nie omówię z nim tego osobiście,

uważajcie je za

odwołane. Przyniosłem wam kilka zadań z matematyki, żebyście dobrze się bawili przez

następne pół godziny.

–Bawili? – jęknął Greg. Matematyka była dla niego równie zrozumiała jak sanskryt.

Nawet nad najłatwiejszymi zadaniami siedział całe godziny, otrzymując wyniki, które według

nauczyciela były nie tylko błędne, ale twórczo błędne.

–Nie możemy kazać panu Rookowi czekać na plaży – stwierdził Ray. – Będzie się zastanawiał, co się z nami stało.

–No dobrze... w takim razie ty i John pójdziecie do niego i zawiadomicie go o zmianie

planów. Tylko pospieszcie się. Pozostałych proszę o zajęcie swoich miejsc.

Rozdam wam

prace.

Klasa przyjęła to chórem jęków, westchnień i cichych protestów, niechętnie wracając do

stolików. Przystanąwszy w progu Ray uniósł kciuk do góry, a potem wycelował w dyrektora

środkowy palec. Oczywiście zrobił to za jego plecami. Z pewnością był łobuzem, ale nie

samobójcą.

Odnalezienie zachwaszczonego spłachetka ziemi za garażami zajęło im dłuższą chwilę, ale

kiedy tam dotarli, od razu wiedzieli, że trafili we właściwe miejsce. Świeżo skopana ziemia

była dobrze widoczna, suche grudy tworzyły wyraźny kształt nagrobka.

Po cichu pożyczyci sobie z magazynka woźnego dwie łopaty na długich trzonkach, jednak

nie od razu zaczęli kopać. Stanęli nad grobem i niespokojnie spojrzeli po sobie Tam, w klasie,

wykopywanie pana Rooka wydawało się wspaniałą przygodą, ale teraz, kiedy naprawdę

przyszli tutaj i stanęli nad jego grobem, zaczęły ich nękać wątpliwości. Co będzie, jeśli go

wykopią, a on okaże się martwy? Albo okropnie okaleczony? A jeśli to pomyłka i to wcale

nie on? Co wtedy powiedzą policji? „Duch zostawił nam wiadomość na szkolnej tablicy,

każąc nam wykopać ciało”?

–Może nie powinniśmy tego robić – mruknął Ray.

John trącił bryłę ziemi końcem łopaty.

–A jeżeli on tam jest i nadal żyje? Nie możemy go tak zostawić.

**Ray przygryzł kciuk.**

**–Nie wydaje mi się, żeby on mógł jeszcze żyć.**

**–Może żyje. To voodoo... a ci faceci od voodoo potrafią utrzymać przy życiu ludzi pochowanych w trumnach.**

**–No, nie wiem. Może powinniśmy wezwać gliny. Po prostu anonimowy telefon.**

**John milczał przez chwilę, a potem sięgnął za koszulę i wyjął swój amulet.**

**Podniósł**

**wisiorek do słońca. Kamień roziskrzył się jak diament.**

**–Myślę, że wszystko będzie dobrze – stwierdził John. – To miejsce ma pozytywną aurę. Nie ma tu niczego złego... ani nikogo martwego.**

**–Mam uwierzyć temu kamieniowi? – zapytał Ray.**

**–Widziałeś, jaki zrobił się ciemny, kiedy wuj Tee Jaya przyszedł do klasy. Ja mu wierzę.**

**–W porządku. Zaczniemy kopać.**

**Zamknięty w ciemnej sosnowej skrzyni Jim usłyszał pierwsze odgłosy kopania i pomyślał:**

**Bogu dzięki. Był wyczerpany, jakby brał udział w maratonie olimpijskim. Tego ranka zużył**

**wszystkie siły każąc swemu duchowi znów opuścić ciało i wydostać się na powierzchnię.**

**Potem bardzo wolno przepłynął nad ulicami, bliski poddania się w połowie drogi do West**

**Grove College. Kiedy zatrzymał się na chwilę pod wiaduktem, miał wrażenie, że poranna**

**bryza po prostu rozwieje jego przezroczyste strzępy po oceanie.**

**Ale myśl o Umberze Jonesie oraz o tym, co ten łotr zrobił Elvinowi, pani Vaizey i jemu,**

**sprawiła, że znalazł w sobie dość silnej woli, aby napisać wiadomość na tablicy.**

**Gniew dodał**

**mu sił. Jednak potem był bliski utraty świadomości i ledwie pamiętał, jak jego duch zdołał**

**dowlec się z powrotem i wniknąć w ziemię.**

**Odgłosy kopania rozlegały się coraz bliżej. Teraz, kiedy wyzwolenie było tak bliskie, Jim**

**poczuł, że znów ogarnia go fala klaustrofobii. Miał ochotę walić w wieko trumny.**

**Chciał**

**krzyczeć do tych, którzy znajdowali się na górze. A jeśli przestaną kopać i pójdą sobie? A**

**jeśli to wcale nie jego uczniowie? Jeżeli wykopie go ktoś całkiem obcy i uzna za zmarłego?**

**A jeśli to Elvin lub Umber Jones?**

**Łopaty uderzyły o wieko trumny. Potem usłyszał szuranie zeszkrobwanej ziemi i stłumione głosy. Po kilku następnych minutach koniec łopaty wsunięto pod**

**pokrywę i z**

**donośnym trzaskiem oderwano wieko. Ziemia obsypała Jimowi twarz, a oślepiąco jasne**

**światło dnia poraziło oczy.**

**Ray i John, niech ich Bóg błogosławi. Klęczeli przy nim, spoglądając szeroko otwartymi**

**oczami. Nigdy przedtem nie zauważył, że Ray usiłuje wyhodować wąsik.**

**–Czy on nie żyje? – zapytał Ray. – Wygląda jak martwy.**

**John ponownie wyciągnął swój naszyjnik, przyłożył go Jimowi do czoła i przytrzymał**

**chwilę. Potem podniósł go i obejrzał.**

**–Jest czysty – oświadczył. – Pan Rook wygląda na martwego, ale wciąż żyje.**

**Zabierzmy go stąd, zanim ktoś nas zobaczy.**

**Wyciąganie Jima z trumny było niemal komiczną pantomimą. Mięśnie miał tak zeszywniałe, że jego łokcie nie zginały się, toteż nie mogli zarzucić sobie jego rąk na**

**ramiona. Wytaszczyli go więc z trumny i ponieśli sztywno wyprostowanego, jak drewnianą**

**figurkę Indianina reklamującego cygara. Sapiąc z wysiłku, doszli do garaży, przy których Ray**

**zaparkował swój samochód. Położyli Jima na tylnym siedzeniu i kiedy John poszedł po**

**łopaty, Ray przejrzał zawartość kieszeni Jima. Portfel, plan zajęć, kluczyki. Czuł się okropnie**

**nieswojo pod spojrzeniem przekrwionych oczu nauczyciela. Poklepał Jima po ramieniu i**

**powiedział:**

**–Niech się pan nie martwi, panie Rook. Wykopaliśmy pana i niedługo doprowadzimy**

**pana do porządku.**

**Tymczasem wrócił John i wrzucił łopaty do bagażnika.**

**–Dokąd teraz? – zapytał.**

**–Myślę, że powinniśmy zawieźć go do jego mieszkania... tak będzie najlepiej.**

**Potem**

**ściągniemy resztę klasy i zdecydujemy, co dalej.**

**John spojrzał na tylne siedzenie, na którym leżał zeszywniały Jim.**

**–Myślisz, że on nas słyszy?**

**–Nie wiem. Rany boskie, nie wiem nawet, czy przeżyje. Ale musimy robić, co się da, no**

**nie? On próbował opiekować się nami, więc teraz my musimy spróbować zaopiekować się**

**nim.**

**Wnieśli Jima po schodach na górę, do drzwi mieszkania. Jego buty głośno**

szurały po

betonie. Otworzyli drzwi i wtaszczyli go do środka. Kotka Tibbles miaucząc ocierała się o ich

nogi, gdy nieśli go na kanapę. Położyli go na plecach, a potem John pochylił się nad nim i

przyłożył ucho do jego piersi.

–W porządku. Żyje – oświadczył. – Słyszę, jak bije mu serce.

–I co teraz?

–Chyba powinniśmy pozwolić mu odpocząć. Cokolwiek mu podano, prędzej czy później

przestanie działać.

Ray delikatnie próbował zamknąć Jimowi powieki. Udało mu się z prawą, ale lewe oko

pozostało otwarte, patrząc na nich oskarżycielsko. A przynajmniej wydawało się, że spogląda

oskarżycielsko, choć w rzeczywistości Jim chciał tylko dać im znać, że nadal żyje.

Przede

wszystkim jednak chciał, żeby zwołali resztę klasy – szczególnie chodziło mu o Sharon.

Paraliż nie ustępował, ale Jim wiedział, że musi być jakiś sposób, żeby go pokonać. W końcu

czarownicy voodoo potrafili przywracać zombie do życia. Był pod działaniem jakiejś

chemicznej substancji, na którą musiało istnieć jakieś antidotum, choćby sporządzone ze

sproszkowanych czaszek, pajęczyn i odgryzionych kurzych łbów.

–Ściągnę tu innych – powiedział Ray. – Musimy to przedyskutować, rozumiesz?

Pan

Rook nie jest tylko twoim i moim nauczycielem. Jest nauczycielem nas wszystkich.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do West Grove College.

–Halo? – powiedział niższym o oktawę głosem. – Czy mogę mówić z Sue-Robin Caufield? Tu jej ojciec. Tak, obawiam się, że to pilne. Jej babcia miała atak serca.

Tak...

Może nie przeżyć tej nocy.

John usiadł na brzegu kanapy i spoglądał na Jima ze współczuciem.

–Panie Rook... słyszy mnie pan? Czy może pan mówić? Mógłby mi pan

powiedzieć, jak

się pan czuje?

Jim patrzył na niego jednym okiem. Widział go i słyszał, lecz nie mógł powiedzieć ani

słowa, gdyż miał wrażenie, że jego język jest zrobiony z drewna balsy, a mięśnie policzków

zaczęły się na stałe. Chciał poruszyć wargami, bardzo chciał coś powiedzieć, ale układ nerwowy odmówił mu posłuszeństwa.

–Zbierzemy tu całą klasę – powiadomił go John. – Znajdziemy wujka Tee Jaya i damy mu nauczkę, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobimy w życiu. Jim leżał nieruchomo, z jednym okiem zamkniętym, a drugim otwartym. Mógł tylko czekać, aż działanie proszku Umbera Jonesa osłabnie albo ktoś mu poda jakąś skuteczną odtrutkę. Jeśli Elvin mówił prawdę, działanie trucizny może ustąpić po wielu dniach, a nawet tygodniach.

Ray rozłączył się i wrócił do nich. Położył dłoń na ramieniu Jima.

–Jeżeli mnie pan słyszy, panie Rook, to chciałbym powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Przyjdzie tu cała klasa. Dopilnujemy, żeby ten Umber Jones więcej nie bruździł. Nikt nie będzie grzebał naszego nauczyciela, nikt!

Podniósł kotkę i pogłaskał ją po łbie. Jim patrzył na to i nie ruszał się. Nagle Ray zawołał:

–Kurwa! O to chodziło. Teraz wszystko rozumiem!

–Co rozumiesz? – zapytał John.

–To, dlaczego głaskał koty. No wiesz, w tym wierszu. Bo cały świat wokół niego rozpadał się, a głaskanie kotów było czymś rzeczywistym. Głaszczesz kota, a on nic, więc dlaczego sprawia ci to przyjemność? Bo czasem ludzie dają coś za nic i cieszą się z tego.

John Ng spojrzał na niego.

–Skoro tak twierdzisz, Ray, to pewnie tak jest.

Słońce przeświecało przez bawełniane zasłony i oblewało twarz Jima niesamowitą poświatą. Czuł się, jakby był bliżej aniołów niż ziemi. Nagle jednak zaczął dochodzić do siebie. Zdołał otworzyć drugie oko i czuł, że kąćki jego ust leciutko się uniosły. Nadal nie mógł wydobyć z siebie głosu, a ręce i nogi miał zupełnie sparaliżowane, lecz wiedział już, że nie umrze. Spróbował powiedzieć „dziękuję”, co zabrzmiało jak „dziki”, ale to nie miało znaczenia. Szybko wychodził z letargu. Już nie leżał w trumnie. Znow był w swoim mieszkaniu, wśród ludzi, których obchodził jego los – a to było jednym z najlepszych



lekarstw.

–Dziki – powtórzył.

John z niepokojem popatrzył na Raya.

–Co on mówi? – zapytał go Ray.

–Mówi „dziki”.

–Aha. Racja. „Dziki” – powtórzył Ray i klęknął obok kanapy. Pomachał do Jima i rzekł: – Dziki, panie Rook! Słyszysz mnie pan? Dziki, panie Rook! Dziki!

## ROZDZIAŁ XIII

Reszta klasy zjawiała się po dwudziestu minutach.

–Nie pytaliśmy nikogo o pozwolenie – oznajmiła zuchwale Muffy. – Po prostu poszliśmy sobie. Nikt nie pytał nas, dokąd idziemy. I nikt nie próbował nas zatrzymać.

–To był numer – powiedział Russell. – Przyjechaliśmy tu całą kawalkadą. Sześć samochodów i pikap, jeden za drugim. Bomba.

Zebrali się wokół kanapy, na której leżał Jim. Widział twarze ich wszystkich.

Opóźnieni w

rozwoju, dyslektycy, trudni. Dzieci, które nigdy nie były chlubą rodziców. W dodatku

buntowniczo nastawione, prześladowujące innych uczniów i wszędzie robiące zamieszanie.

Druga klasa specjalna zawsze była synonimem edukacyjnej katongi. Jednak Jim zrozumiał, że

jeśli przekona swoich uczniów, że obchodzi go to, co usiłują zrobić, obojętnie jak nieudane i

nieporadne wydawałyby się te próby zwykłemu nauczycielowi, im również zaczniesz na tym

zależać. Nie umieli czytać, nie umieli dodawać, nie potrafili narysować psa, który nie

wyglądałby jak pojemnik na śmieci, ale Jim wciąż zachęcał ich do dalszych wysiłków –

„No, powiedzmy, że to nie jest»Fido«. Nazwijmy to raczej pojemnikiem na śmieci”.

A teraz

byli tutaj, kiedy leżał sparaliżowany, i usiłowali postawić go z powrotem na nogi.

–Panie Rook? – odezwała się Sue-Robin, nachylając się nad nim tak nisko, że widział

tylko jej wielkie niebieskie oczy i miłą, pachnącą dzieciennym mydełkiem twarz. –

Żyje pan,

panie Rook?

–Dycham – wydusił Jim przez zaciśnięte zęby. Chciał powiedzieć „oddycham”, ale było to bez znaczenia. Przecież musiał oddychać, skoro mówił.

Sharon X siedziała w kuchni, zawzięcie kartkując książki, które mu pożyczyła.

–Jest – oznajmiła w końcu.

–Co? – zapytał Ricky.

–Środek przywracający do życia... Nazywają go miksturą ożywiającą.

–Podają przepis? – spytał Russell.

–Tak, ale jest trochę dziwny – odparła Sharon. – Jakiś korzeń krwawnika i

petunie,

zmieszane z krwią kurczaka i selerem...

–Brzmi wspaniale – mruknął Titus. – I gdzie to znajdziesz?

–Dwie przecznice stąd jest jedna z tych orientalnych zielarni – powiedziała Muffy.

–  
Moja ciotka Hilda kupowała tam olejek piżmowy i mirt. Co rano paliła trochę tego  
w  
kominku, żeby umilić sobie dzień.  
–Zaraz zawiozę tam Sharon – zedeklarował się Russell. – A wy zobaczcie, czy nie  
uda  
wam się go obudzić. W końcu przemówił, no nie? Może zacznie się ruszać.  
Ale Jim nadal leżał nieruchomo na kanapie. Miał białą jak maska z papier mache  
twarz i  
oczy otoczone czerwonymi obwódkami. Był pod silnym działaniem  
tetradotoksyny –  
alkaloidu sto kilkadziesiąt razy silniejszego od kokainy. Mimo to wciąż miał  
szansę. W 1880  
roku japoński szuler zatrzał się tetradotoksyną po zjedzeniu ryby fugu i odzyskał  
przytomność  
w kostnicy tydzień po tym, jak uznano go za zmarłego. Ale Jima potraktowano  
także  
bielunem i Bufo marinus. Wyglądał jak klasyczny zombie: blady, sztywny i  
nieruchomy –  
czekający, by wyrazi wdzięczność każdemu, kto go przywróci do życia.  
Sue-Robin pogładziła go po głowie.  
–Niech pan się nie martwi, panie Rook. Nic panu nic będzie. Ani się pan obejrzy,  
jak  
będzie pan z powrotem w klasie, zanudzając nas na śmierć tą pańską poezją.  
Jim zamrugał oczami. Spojrzał na uśmiechniętą Sue-Robin i pomyślał, że jeśli  
jakiś  
słowa mogłyby go ożywić, to tylko te. Sue-Robin zawsze siedziała z tyłu, z  
zamglonym  
spojrzeniem słuchając, jak czytał „Dziki brzoskwinie” Elinor Wylie. A więc  
zanudzał ją na  
śmierć, tak? Nie będzie im już czytał wierszy i Sue-Robin będzie mogła sobie  
spokojnie  
przeglądać komiksy z serii „Igrat, piekielny zabójca”.  
Nie wiedział, ile minęło czasu, zanim wróciła Sharon. Zobaczył ją w kuchni, w  
silnym  
świecie jarzeniówki. Mieszała korzenie i proszki w moździerz, którego zazwyczaj  
używał do  
rozcierania ziaren gorczycy. Zasnął z otwartymi oczami, słysząc głosy  
dobiegające z różnych  
kątów mieszkania. Kotka Tibbles wskoczyła na kanapę obok niego i głośno  
zamruczała mu  
do ucha; przypominało to bardziej bojowy werbel niż mruczenie. Potem Sharon  
uniosła mu

głowę i wlała do ust jakiś słodkawogorzki płyn. Czuł, jak ten płyn spływa mu po szyi za

kołnierz, ale nie przejmował się tym. Uspokoił się i zamknął oczy.

Kiedy spał, mięśnie jego nóg zwiotczały, a stopy rozchyliły się na boki; nagle poruszył

ręką i położył ją sobie na piersi. Uczniowie wciąż siedzieli przy nim i obserwowali go

uważnie, przekazując sobie puszkę piwa znalezioną w lodówce. Sharon stała trochę na

uboczu. Wiedziała, jakie podjęła ryzyko, dając Jimowi ten środek. Sproszkowane petunie i

krwawnik mogły go zabić, zamiast przywrócić do życia. Krwawnik był tak niebezpiecznym

zielem, że zielarze nadawali mu zawsze inną, tajemną nazwę. Krąg usypany z liści petunii

miał odstraszać złe duchy, ale wywar z nich mógł wywołać wymioty prowadzące do śmierci.

Mijały godziny. Uczniowie oglądali telewizję, palili i przeglądali egzemplarze Jimowego

„Playboya”.

–Nic dziwnego, że on jest jednym z tych mężczyzn, którzy patrzą z góry na kobiety –

stwierdziła Beatrice.

–Och, daj s-spokój – powiedział David Littwin. – T-tylko d-dlatego, że n-nie masz d-dość d-użytych cy-cy-cy...

W pewnym momencie zajrzał przez okno Myrlin, sprawdzając, co się dzieje.

Odpowiedziało mu spojrzenie osiemnastu par oczu, więc umknął do swojego mieszkania i

zaciągnął zasłony.

–...cycków – dokończył David Littwin i wszyscy wytrzeszczyli na niego oczy.

O trzeciej po południu Jim powoli usiadł.

–Mój Boże – wymamrotał, przyciskając dłonie do czoła.

–Co się dzieje? – zapytała Sue-Robin, podbiegając do kanapy i sadowiąc swój krągły

tyłeczek obok niego.

–Nic mi nie jest – odparł Jim. – Czuję się, jakbym pił przez całą noc, to wszystko.

Wyciągnął rękę i pomasaował sobie kark. Potem przeciągnął się i spróbował wstać, ale nie

zdołał. Popatrzył na swoich uczniów i uśmiechnął się.

–A więc dokonaliście tego. Uratowaliście mnie. Pokiwali głowami.

–To Ray i John wykopali pana, chociaż wszyscy widzieliśmy wiadomość na tablicy.

Jim rozejrzał się wokół. Wciąż był sztywny i dziwnie otępiały, jednak eliksir

**Sharon**

zdecydowanie wyrwał go z letargu.

–Poszkapilem – przyznał. – Udało mi się opuścić moje ciało i przenieść się do mieszkania Umbera Jonesa, ale zbyt dużo czasu zajęło mi zabieranie laseczki loa.

**Kiedy jest**

się duchem, nie ma się rąk... przynajmniej nie w zwykłym znaczeniu tego słowa.

**Trzeba**

poruszać palcami siłą, woli, inaczej niczego nie da się uchwycić. Tak samo była, z

**tym**

kawałkiem kredy. Czy widzieliście kiedyś ten film „Duch” z Patrickiem Swayze,

**który**

próbował podnosić różne rzeczy? To było dokładnie tak samo. Tylko siłą woH

**zdołałem**

napisać tę wiadomość, nie dzięki mięśniom. Ale gdy próbowałem ukraść laseczkę

**Umberowi**

Jonesowi, on zabrał moje ciało z tej kanapy i pochował je. Oczywiście z pomocą

**Elvina.**

Kiedy chciałem wrócić do mojego ciała, nie znalazłem go tu.

–Ale musiałeś się przerazić – mruknął Ricky.

–Okropnie się przeraziłem. Jednak Elvin pokazał mi, gdzie było pogrzebane ciało,

**więc**

udało mi się w nie wejść. Nie pytajcie mnie jak. Po prostu wsiąknęłam w ziemię. Pani

**Vaizey**

mówiła mi, że jeśli opuszczę swoje ciało choć raz, zawsze będę chciał to robić.

**Ale po**

dzisiejszym dniu chyba drugi raz tego nie zrobię...

–Więc nie zdobył pan laseczki loa? – zapytała Sharon.

Jim potrząsnął głową.

–Nie. Musimy znaleźć inny sposób.

Spojrzał na zegarek i dodał:

–Muszę wrzucić coś na ruszt. Jeśli chcecie zostać, będziecie mile widziani.

**Zamówcie**

pizzę albo cokolwiek. Potem porozmawiamy, co robić dalej.

Trochę po szóstej, kiedy wszyscy popijali kawę i rozmawiali, Jim wszedł do

**stołowego i**

klasnął w dłonie, żeby zwrócić na siebie ich uwagę. Wziął prysznic i przebrał się.

**Miał na**

sobie koszulę w różową kratkę i okulary od Armaniego, w których wyglądał jak

**sowa.**

–Dobra... myślę, że doszedłem do siebie – powiedział. – Jestem jeszcze trochę

zesztywniały, ale kto by nie był po wylegiwaniu się w trumnie? Śniły mi się

**różności, jednak**

nic przerażającego, chyba że uznalibyście za przerażający erotyczny sen o

**doktorze**

**Ehrlichmanie. Kiedy go zobaczycie, nie wspominajcie o czarnych pończochach i podwiązkach, dobrze?**

**Uczniowie roześmiali się, ale widzieli, że ich nauczyciel jest zdenerwowany i zmęczony.**

**Po chwili Jim dodał:**

**–Mamy do czynienia z potężną magią voodoo. Tu nie ma miejsca na sceptycyzm.**

**Umber**

**Jones dysponuje zadziwiającymi siłami. Potrafi krążyć po ulicach jak dym i zabijać ludzi,**

**k którzy nie mogą go dostrzec. Kiedy przyłapał mnie zeszłej nocy, z początku nie mogłem**

**pojąć, skąd wiedział, że opuszczę moje ciało. Jednak leżąc w trumnie miałem mnóstwo czasu**

**na myślenie... To niewiarygodne, jak sprawnie może pracować mózg, kiedy nie rozpraszają**

**go żadne zewnętrzne bodźce. Żadnych przelatujących samolotów. Żadnych dziwek**

**hałasujących piętro wyżej.**

**I znów uczniowie roześmiali się – nie z żartu, ale dlatego, że z ulgą stwierdzili, że ktoś**

**przejął kontrolę nad sytuacją.**

**–No dobrze, a teraz sprawdzam obecność – oznajmił Jim. – Nikogo nie brakuje?**

**–Nikogo oprócz Tee Jaya – odparł Seymour.**

**–Cóż, spodziewałem się tego – mruknął Jim.**

**–Spodziewał się pan? Dlaczego?**

**–Pomyślcie tylko. Wszyscy wiedzieliście, że zamierzam opuścić moje ciało i włamać się**

**do mieszkania Umbera Jonesa... ale miałem to zrobić tylko wtedy, kiedy jego duch-dym**

**również opuści ciało. Jedynie Tee Jay wiedział, że jego wuj to zrobił, więc też tylko on**

**dokładnie wiedział, kiedy opuszczę moje ciało, żeby przyjść po laseczkę loa.**

**–To była pułapka – powiedziała Sharon.**

**–Zgadza się – kiwnął głową Jim. – To była pułapka. Miałem nadzieję, że Tee Jay nie**

**został całkowicie zdominowany przez Umbera Jonesa. Pragnąłem wierzyć, że całe jego**

**zainteresowanie voodoo to tylko kaprys nastolatka i wkrótce mu to przejdzie. Ale on dobrze**

**wiedział, co robi, kiedy dzwonił do mnie zeszłej nocy... I myślę, że wiedział także, co robi,**

**kiedy zginął Elvin. To nie miało nic wspólnego z bójką w toalecie. Złożył ofiarę**

**Vodunowi.**

**–Jezu... – wymamrotał Mark.**

**–W książce Sharon wyczytałem, że złożenie ludzkiej ofiary to najszybszy sposób, aby**

**zostać uznanym za wyznawcę voodoo – dodał Jim.**

**–I co teraz zrobimy? – zapytał Titus, mrugając oczami zza swoich grubych szkieleł.**

**–Możemy razem rozwiązać ten problem. Dzisiaj zrozumiałem, że sam nie poradzę sobie**

**z tym wszystkim. Potrzebna mi pomoc mojej klasy.**

**Spojrzeni po sobie.**

**–Beze mnie – powiedziała Jane. – Nie chcę łapać duchów.**

**–Na mnie może pan liczyć – zdeklarował się Russell.**

**–Na mnie też – oświadczył Mark. David Littwin podniósł rękę i wystękał:**

**–N-na m-mnie r-również m-może p-pan...**

**–Dzięki, Davidzie – przerwał mu Jim. Nie chciał być nieuprzejmy, ale nie miał zbyt wiele czasu.**

**Wszyscy oprócz Jane Firman i Grega Lake'a chcieli się przyłączyć. Jane była nieśmiała, a**

**Greg musiał wcześniej wrócić do domu, ponieważ przyjechali jego dziadkowie. Jim wiedział,**

**że rodzice Grega są bardzo surowi, i nie chciał przyczyniać mu kłopotów.**

**–Musimy rozprawić się z Umberem Jonesem na dwóch frontach – powiedział. –**

**Kiedy**

**następnym razem opuści swoje ciało, jedna grupa będzie musiała pójść za jego duchem i zająć**

**go czymś, podczas gdy dwoje lub troje z was; włamie się do jego mieszkania i zabierze jego**

**laseczkę loa. Powinniście potem wymówić zaklęcie nie pozwalające duchowi Umbera**

**powrócić do cielesnej powłoki. Nie będzie miał laseczki loa, więc nie zdoła wezwać na**

**pomoc demonów, a kiedy nie zdoła wrócić do swojego ciała, wkrótce po prostu zniknie, jak**

**znikają wszyscy zmarli. Myślę, że byłoby dobrze, gdyby grupa śledząca Dym podzieliła się**

**na dwie mniejsze. Ja pójdę z jedną z nich, ponieważ tylko ja go mogę zobaczyć. Druga grupa**

**może wziąć prochy pani Vaizey. Gdybyście podejrzewali, że jest gdzieś obok was, sypniecie**

**tym proszkiem i wtedy powinniście go dostrzec. Mamy trzy telefony komórkowe, tak?**

**Dobrze... Będziemy cały czas w kontakcie.**

**–A co z Tee Jayem? – spytała Sharon. – On też może posłużyć się czarami.**

–No cóż, przede wszystkim nie wiemy, gdzie on jest, prawda? A po drugie mogą się mylić i może Tee Jay wcale nie ostrzegł Umbera Jonesa, że opuszczam moje ciało. Dopóki mu tego nie udowodnimy, nadal jest waszym kolegą. Uporamy się z tym problemem, kiedy przed nim staniemy.

Od ósmej wieczorem pilnowali mieszkania Umbera Jonesa. W samochodzie Raya siedział on sam, Sharon i David Littwin. W wozie Jima, stojącym kawałek dalej, siedzieli John Ng, Beattie McCordic i Muffy Brown. Po drugiej stronie ulicy, skierowany w przeciwną stronę, stał mustang Russella z Sue-Robin Caufield i Seymourem Williamsem. Russell dostał trzy plastikowe kubki z proszkiem na duchy i wyraźne instrukcje, że ma tego nie zjeść. W samochodzie Raya wszyscy obżerali się hamburgerami i popijali koktajlem truskawkowym. Sharon zabrała swoją książkę o rytuałach voodoo, z której miała przeczytać odpowiednie zaklęcie uniemożliwiające duchowi Umbera Jonesa powrót do ciała. Było napisane w bardzo starym afrykańskim języku i ledwie mogła je wymówić. Powtarzała je raz po raz, aż Ray powiedział:

–Rany boskie, Sharon, przestań. To brzmi tak, jakbyś topiła się w wannie.

–Babaibabataim’balatai... hathaba m’fatha babatai... – mamrotała Sharon, nie zwracając na niego uwagi.

Jim był wykończony, ale postanowił doprowadzić sprawę do końca. Wygodnie wyciągnął się na siedzeniu samochodu, włożywszy ciemne okulary i zieloną czapkę baseballową, żeby Umber Jones go nie rozpoznał. Prawdopodobnie nie groziło mu to – wuj Umber zapewne sądził, iż Jim spoczywa dwa metry pod ziemią, w ciasnej sosnowej skrzyni, cierpiąc zasłużone męki za próbę kradzieży laseczki loa – ale wolał być ostrożny. Minęła przeszło godzina i pomyślał, że może powinien odwołać czaty. Kazał wszystkim uczniom zadzwonić do rodziców i powiedzieć, że mają dodatkowe zajęcia z języka angielskiego, więc spóźnią się na kolację.

Beattie McCordic nie chciała jeść pizzy ani hamburgerów i – ku jej ogromnemu zmieszaniu – zaczęło jej burczeć w brzuchu. John uspokajał ją:

–Nie ma sprawy. Nawet twój żołądek ma prawo wyrazić swoje zdanie.



–Oszczędź mi tego – mruknęła Beattie.

W tym momencie frontowe drzwi mieszkania Umbera Jonesa otworzyły się i wyszedł z

nich wysoki ciemnoskóry mężczyzna w kapeluszu Elmera Gantry. Wyglądał jak Umber

Jones, ale czy to był on?

–Widzisz go? – zapytał Jim. – Przechodzi przez ulicę... mijają budkę telefoniczną... mijają kosz na śmieci.

Beattie zmarszczyła brwi, wpatrując się w mrok.

–Nie widzę go. Nikogo tam nie ma.

–Więc to na pewno on – stwierdził Jim. – Gdybyś go widziała, mógłby to być ktoś inny. Ruszajmy.

Beattie uruchomiła silnik i odbiła od krawężnika.

–Nie za szybko – ostrzegł ją Jim. – Nie powinniśmy zbliżać się do niego, żeby nie zauważył, że jest śledzony. Chociaż nie powinien być zbyt czujny. Nie ma pojęcia, że ktoś

może go zobaczyć.

Umber Jones minął sklep spożywczy, dotarł do następnej przecznicy i przeszedł przez nią

nie rozglądając się na boki. Jakaś ciężarówka przejechała niecałe pięć centymetrów od niego i

widmowa postać wuja Umbera zawirowała, jednak nie zwolniła kroku.

–Jedź teraz w lewo – mówił Jim. – Nadal idzie w tym samym kierunku, ale myślę, że

przy Colonial skręci w prawo.

Beattie prowadziła, więc Jim mógł skupić się na śledzeniu. Źle się czuł na fotelu pasażera,

wiedział jednak, że może będzie zmuszony wysiąść i pójść za Umberem Jonesem do jakiegoś

domu, sklepu lub restauracji. Poza tym chciał mieć wóz w każdej chwili gotowy do szybkiej

ucieczki, w razie gdyby coś poszło źle. Nie miał broni – która i tak na nic nie zdałaby się

przeciw duchowi – a dostatecznie dobrze poznał Umbera Jonesa, żeby wiedzieć, iż ucieczka

byłaby w takim przypadku najrozsądniejszym wyjściem.

–Skręć w prawo – polecił Beattie i wystukał numer telefonu Sue-Robin. –

Jedziemy za

nim na północny zachód. Może spotkamy się na skrzyżowaniu Colonial i Warren?

–Jak pan sądzi, dokąd on idzie? – zapytał John.

–Nie wiem... ale gdziekolwiek się udaje, z pewnością narobi kłopotów.

Dym skręcił w lewo, a potem znów w prawo, po czym ruszył ulicą pełną małych sklepików i tanich hoteli. Przed Glencoe Hotel dwaj mężczyźni rozmawiali z

**mocno**

**wytapiowaną blondynką w mini. Jeden z nich miał na sobie biały garnitur i był zbudowany**

**jak dębowe drzwi, a drugi, znacznie chudszy, miał wybrylantynowane włosy i ciemne okulary**

**na nosie. Chyba właśnie karcił za coś dziewczynę, bo raz po raz groził jej palcem i podnosił**

**rękę, jakby chciał ją uderzyć.**

**–O Boże – jęknął Jim. – Znowu to samo.**

**Widmowa postać przemykała po ulicy, a w miarę jak zbliżała się do hotelu, zdawała się**

**pęcznieć, aż stała się większa niż Dębowe Drzwi. Jim nie zauważył gestu odkręcania ręki,**

**lecz w świetle ulicznych lamp dostrzegł błysk ostrza.**

**Tym razem nie będzie czekał, bez względu na to, czy tamci zasłużyli na to, co zamierzał**

**zrobić z nimi Dym, czy nie. Opuścił szybę i wrzasnął:**

**–Uważajcie! Za wami!**

**Chudy mężczyzna w czarnych okularach natychmiast schował się za plecami dziewczyny.**

**Prawdziwy rycerz, pomyślał Jim. Pan Dębowe Drzwi obrócił się na pięcie, unosząc pięść, gdy**

**Dym dopadł go i dźgnął w brzuch.**

**–Co się dzieje? – krzyknęła przerażona Beattie. – Spójrzcie na tego człowieka!**

**Biały garnitur Pana Dębowe Drzwi spływał krwią, a Umber Jones zadawał pchnięcie za**

**pchnięciem. Nikt oprócz Jima go nie widział. Wszyscy widzieli tylko zataczającego się na**

**chodniku masywnie zbudowanego mężczyznę w garniturze szybko pokrywającym się**

**czzerwonymi plamami. Pan Dębowe Drzwi zrobił chwiejny krok, a potem runął twarzą w dół**

**na beton.**

**Umber Jones z przerażającym grymasem na twarzy odwrócił się w kierunku samochodu**

**Jima. Jego oczy jarzyły się, policzki był szare od popiołu. Przez moment Jim myślał, że**

**zamierza ich zaatakować. Uniósł zakrwawiony nóż, przeszedł dwa lub trzy kroki po trotuarze,**

**a potem stanął jak wryty. Jim niemal słyszał, jak tamten głośno myśli. Jeśli jego przeciwnik**

**wy dostał się z trumny i śledzi go z kilkoma uczniami, to co robią pozostali?**

**Umber Jones wyszczerzył zęby i wrzasnął:**

–Przeklinam pana, panie Rook! Zabiję pana za to!

Potem zawrócił i pomknął z powrotem tą samą drogą, którą przybył.

–Za nim! – krzyknął Jim, zapominając, że Beattie nie widzi ducha wuja Umbera.

–W którą stronę? – zapytała w panice.

–Z powrotem! Szybko! On wraca do swojego mieszkania!

W oddali odezwały się syreny policyjnych radiowozów. Beattie wykonała

niepewny

manewr na środku ulicy, a Jim znów złapał telefon komórkowy i wystukał numer Sue-Robin.

Usłyszał szereg głośnych trzasków, a potem jej głos:

–Tak? Tak...? Nie słyszę pana, panie Rook!

–Jedź z powrotem pod dom Umbera Jonesa! – wrzasnął.

Po chwili wybrał numer Raya, ale nie mógł się połączyć.

–Widzi go pan jeszcze? – pytała rozpaczliwie Beattie.

–To bez znaczenia... on już nas zauważył. Wracaj pod jego dom. Próbuje złapać

Raya,

ale nie mogę się połączyć.

Ray, Sharon i David znajdowali się na tyłach sklepu „Dollars Sense” i ostrożnie przeciskali się między skrzynkami po pomarańczach, skrzyniami warzyw i stertami worków z

ziemniakami. Sklep był jeszcze czynny. Przez szybę ze zbrojonego szkła widzieli plecy

jakiegoś młodego człowieka rozmawiającego przez telefon. Kiedy Sharon przypadkowo

kopnęła skrzynkę po owocach, tamten odwrócił się i spojrzał za okno. Ale podwórze było nie

oświetlone, więc zaraz odwrócił się znowu do telefonu. Przemknęli do pomalowanych na

czarno schodów przeciwpożarowych.

Wspinali się po nich najciszej, jak umieli. Wiedzieli, że nie obudzą Umbera Jonesa, ale Jim

przestrzegł ich przed panem Pachowskim, a całkiem możliwe, że był tam też Tee Jay. Kiedy

dotarli na podest pierwszego piętra, Ray wskazał w kierunku sypialni Umbera Jonesa i

szepnął:

–Teraz wystarczy wejść tam i zwinąć tę laskę.

Podszedł do okna i spróbował je otworzyć.

–Z-z-zamknięte? – zapytał David.

–Nie tylko zamknięte, ale zabite na głucho.

–I co teraz?

–Użyjemy włoskich talentów, od pokoleń przechodzących z ojca na syna – odparł Ray,

zdjął but na podwyższonym obcasie, zamachnął się nim i zbił szybę.

–Jezu Ch-ch... – wymamrotał David, przyciskając dłonie do uszu.

Szkoło posypało się na beton podwórka. Ray bez pośpiechu włożył but na nogę i wzruszył ramionami.

–W tej okolicy nikt nie przybiega na odgłos tłuczonego szkła. Raczej pędzi w przeciwnym kierunku.

Usunął kilka pozostałych kawałków szyby. Po drugiej stronie wisiała gruba czarna zasłona,

którą musiał odsunąć, żeby zajrzeć do środka. Trzy mocne szarpnięcia, i ujrzeli spoczywające

na łóżku ciało Umbera Jonesa.

–Jest laska... widzę ją! – syknęła Sharon. – Chodź, Ray, musisz tylko ją wziąć, a potem ja powiem zakłęcie i wyniesiemy się stąd w cholerę!

Ray wgramolił się przez wybite okno, przeszedł przez sypialnię i spojrzał na Umbera Jonesa.

–Patrzcie na niego, ma otwarte oczy, ale nie widzi mnie. Niesamowite! – zawołał.

–Bierz laskę! – ponagliła go Sharon.

Ray wyciągnął rękę i chwycił srebrną czaszkę wieńczącą laseczkę loa. Jednak w tej samej

chwili drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie i do sypialni wpadł Tee Jay. Złapał Raya za

koszulę i odrzucił go w bok.

–Ośmielasz się dotykać świętej własności Barona Samedi! – wrzasnął. Jego głos wcale

nie był głosem Tee Jaya. Przypominał dźwięk setek odtwarzanych na wolnych obrotach

głosów – basowych i chrapliwych.

I wcale nie wyglądał jak Tee Jay. Całą twarz miał pomalowaną na biało, oprócz czarnych

kręgów wokół oczu i linii przecinającej usta. Był nagi do pasa, a jego skórę zdobiły dziesiątki

małych haczyków z uwiązanymi do nich kępkami ufarbowanej na czerwono sierści lub

kurzych piór.

Stał w kłębach kadzidlanego dymu i wyglądał jak przybysz z dna piekieł.

Ray podniósł się z podłogi.

–Słuchaj, człowieku – powiedział. – Nie chcę tu żadnych kłopotów, ale muszę dostać

tę laskę. Twój wuj nie może zabijać ludzi. Wiesz o tym.

Tee Jay spojrzał na niego oczami lśniącymi jak czarne chrząszcze, zamachnął się i uderzył

go pięścią. Ray runął na bok, uderzając głową o krawędź stołu.

Kiedy Tee Jay podszedł, żeby uderzyć Raya jeszcze raz, Sharon właśnie wchodziła do

mieszkania. Sięgnęła po laseczkę loa, ale Tee Jay najwidoczniej wyczuł jej obecność. Obrócił

się na pięcie i uderzył ją otwartą dłonią w bok głowy. Upadła na podłogę.

–Dotykanie laski loa to bluźnierstwo! – ryknął.

–Tee Jay... – powiedziała błagalnie. – To ja, Sharon! Zignorował ją i zajął się Rayem.

Podniósł go z podłogi, jednak chłopak był nieprzytomny, więc puścił go.

–Nie ruszaj się – ostrzegł Sharon. – Mój wuj zaraz wróci, a wtedy zobaczysz, co robimy z bluźniercami.

Sharon usiłowała podczołgać się do okna, ale doskoczył do niej i ponownie ją spoliczkował.

–Nie ruszaj się, suko! – wrzasnął.

Stojący za oknem David przycisnął się do muru, wstrzymując oddech. Nie mógł wezwać

pomocy, ponieważ telefon komórkowy miał Ray. Nasłuchiwał więc, czekał i modlił się, żeby

Tee Jay nie wyjrzał na zewnątrz.

–To nie twoja wina – powiedział Jim. – Nie powinienem kazać ci jechać tak szybko.

Byli zaledwie dwie przecznice od mieszkania Umbera Jonesa, ale policja zatrzymała ich za

przekroczenie szybkości i teraz czekali w nieznośnym napięciu, aż brzuchaty gliniarz wypisze mandat.

–Proszę pamiętać, młoda damo, że każde dziesięć mil więcej na szybkościomierzu zwiększa drogę hamowania o kolejne trzydzieści metrów. Jest wieczór i kręcą się tu dzieci

oraz ludzie, którzy spożyli za dużo alkoholu. Chyba nie chce pani kogoś zabić tylko dlatego,

żeby nie spóźnić się minutę na jakieś spotkanie, prawda?

Jim krzywił się i zaciskał dłonie w pięści. Rany boskie, skończ z tym wykładem i puść nas

wreszcie – mamrotał. Jednak policjant, zanim wydarł mandat z bloczka, powoli obszedł

samochód sprawdzając światła i postukując w karoserię. Można by pomyśleć, że zastanawia

się nad kupnem, pomyślał Jim.

–No dobra – powiedział w końcu gliniarz i wręczył Beattie mandat. – Tylko proszę pamiętać o złotej regule.

–O jakiej złotej regule? – zapytała zaniepokojona Beattie.

Daj spokój, pomyślał Jim.

–Lepiej spóźnić się na tym świecie, niż przedwcześnie zjawić się na tamtym.

Odjechali wolniutko, pozostawiając policjanta stojącego na ulicy i

odprowadzającego ich

spojrzeniem. Kiedy tylko skręcili za róg, Beattie znów nadepnęła pedał gazu.

Tylne opony

zapiszczały jak zarzynane śwynie, pozostawiając na betonie sześciometrowe smugi spalonej

gumy.

Russell, Sue-Robin i Seymour już dotarli do frontowych drzwi wiodących do mieszkania

Umbera Jonesa.

–Ani śladu Raya i Sharon – mruknął Seymour. – Mam nadzieję, że zdołali zwinąć tę

laskę.

Russell pchnął drzwi, jednak okazały się zamknięte.

–Najlepsze, co możemy zrobić, to stać tu i czekać. On może jest dymem, ale nawet dym

potrzebuje maleńkiej szpary, żeby przejść.

–Boję się – powiedziała Sue-Robin.

Russell zdjął folię z kubka od kawy.

–Gotowe – oświadczył. – Teraz nie musicie się bać. Jeśli się zbliży, zdołamy go zobaczyć.

–I co wtedy?

–Nie wiem. Pewnie uciekniemy.

Sue-Robin zajrzała do kubka.

–Myślisz, że to naprawdę zadziała? To chyba nie są tylko prochy jakiejś starej kobiety,

co?

–Pan Rook powiedział, że to zadziała – odparł Russell.

Wziął szczyptę w palce i powąchał.

–Dziwnie pachnie.

–Wspaniale, Russell. Właśnie wciągasz kogoś do nosa...

Russell rzucił proszek przed siebie i zaraz potem przez moment dostrzegł coś w powietrzu

–jakby oderwane od reszty ciała palce. Przycisnął się do drzwi.

–Co jest? Co się dzieje? – zapytała przerażona Sue-Robin.

–On tu jest – odparł Russell cichym, zduszonym głosem. – Jest tutaj! Stoi tuż przed

nami!

Sue-Robin złapała kubek i cisnęła garść proszku w powietrze. Przez kilka sekund widzieli

zarys Umbera Jonesa, stojącego tuż obok i unoszącego do ciosu nóż. Miał

**zaciśnięte zęby i**

**twarz wykrzywioną grymasem wściekłości.**

**Russell zdążył odskoczyć od drzwi w tej samej chwili, gdy ostrze rozcięło mu rękaw**

**koszuli.**

**–Uciekajcie! – krzyknął do Sue-Robin i Seymoura. – Wynoście się stąd!**

**Drzwi zaskrzypiały złowrogo i dał się słyszeć przeciągły świst, jakby przelatywał pod nimi**

**silny prąd powietrza. To Umber Jones właśnie przecisnął się pod progiem i sunął po schodach**

**na górę.**

**–Jaki jest numer do Raya? – zapytał pospiesznie Russell. – Powiedzcie mu, że Umber**

**Jones wrócił!**

**Sue-Robin złapała swój komórkowy telefon, ale kiedy wystukała numer Raya, nikt nie**

**odpowiedział.**

**–O Jezuu, to wszystko wymyka się spod kontroli! – jęknął Russell.**

**Usłyszeli szybko nadjeżdżający samochód, a potem pisk hamulców. Odwrócili się i**

**zobaczyli, że przyjechał Jim z Beattie i Johnem.**

**Kiedy Jim dołączył do nich, spojrzał na ramię Russella. Rozcięcie lekko krwawiło, ale nie**

**było głębokie.**

**–Co się stało? – zapytał. – Gdzie on jest?**

**Russell ruchem głowy wskazał na mieszkanie Umbera Jonesa.**

**–Chyba spapraliśmy sprawę, panie Rook. Tylko go zdenerwowaliśmy. I to bardzo.**

**Na górze otworzyło się okno i wyjrzał przez nie pan Pachowski.**

**–Co się tam dzieje? Wynoście się stąd albo wezwę policję!**

**Jim zignorował go i z całej siły kopnął w drzwi mieszkania Umbera Jonesa lewą, a potem**

**prawą nogą. Framuga zatrzeszczała, ale nie ustąpiła.**

**–Hej! Co tam robicie? – wołał pan Pachowski. – To wandalizm! To przestępstwo!**

**–Och, zamknij się, stary durniu! – warknęła Sue-Robin.**

**Jim ponownie kopnął w drzwi, lecz nie puściły.**

**–Niech pan się odsunie – powiedział Russell. – Takie rzeczy trzeba zostawić ekspertom. – Cofnął się o sześć czy siedem kroków, a potem z rozpędu rąbnął w**

**drzwi ramieniem i całym swoim stu pięćdziesięciokilogramowym ciałem, wrywając je z zawiasów i**

**wpadając wraz z nimi do przedpokoju.**

**–Chodźmy – rzekł Jim. – Miejmy nadzieję, że nie jest za późno.**

**Kiedy dotarli do drzwi mieszkania Umbera Jonesa, stwierdzili, że są lekko**

**uchylone. Może**

**zostawił je tak Tee Jay, żeby duch jego wuja mógł łatwiej powrócić. W środku dostrzegli**

**tylko pełgające płomyki świec.**

**Jim otworzył drzwi trochę szerzej, a potem odwrócił się do Russella, Sue-Robin i Seymoura i przycisnął palec do ust.**

**–Chodźcie za mną – powiedział.**

**Skradali się przez ciemny pokój w kierunku sypialni. Mimo swojej wagi Russell poruszał**

**się zdumiewająco cicho. Drzwi sypialni były szeroko otwarte i Jim dostrzegł czarne lakierki**

**na stopach leżącego na łóżku Umbera Jonesa. Płomyki świec pełgały i syczały, rzucając**

**rozedrgane błyski na ściany. Podszedł bliżej. Przez szparę przy framudze ujrzał stojącego**

**tyłem do niego Tee Jaya, przystrojonego w sierść i pióra. Widział też kawałek spódniczki**

**Sharon. Ray leżał na podłodze.**

**Przesunął się jeszcze trochę, żeby widzieć resztę pokoju. Dym – duch Umbera Jonesa był**

**tam, stał przy łóżku, na którym leżało jego pogrążone w letargu ciało.**

**–Potniemy ich jednego po drugim – mówił Umber Jones. – Każdemu dwieście ciosów.**

**Wspaniała ofiara dla Voduna i Barona Samedi.**

**–Umrzeć dla Voduna to największy zaszczyt – powiedział Tee Jay do Sharon. – Ale to**

**najboleśniejszy rodzaj śmierci... tak bolesny, że z ulgą powitasz Barona Samedi, kiedy po ciebie przyjdzie.**

**–Pieprzę cię – wymamrotała Sharon, ale Jim widział, że jest bardzo wystraszona.**

**Jim obejrzał się na Russella, Sue-Robin i Seymoura.**

**–Russell, wpadniesz tam i przytrzymasz Tee Jaya – szepnął mu do ucha. – Ja złapię**

**laskę loa. Jeśli mi się nie uda, ty ją chwyć, Sue-Robin, a potem uciekaj ile sił w nogach. Do**

**samochodu i jak najdalej stąd.**

**–Ty jesteś przytomna – powiedział Umber Jones do – Sharon – więc ciebie zabijemy**

**najpierw.**

**Jim zobaczył, jak powoli odkręca prawą rękę, odsłaniając nóż.**

**Teraz albo nigdy, pomyślał.**

**Dotknął ramienia Russella i ruszyli.**

**Russell wpadł jak bomba do pokoju i rozłożył Tee Jaya jednym z najlepszych**



baseballowych ataków, jakie Jim kiedykolwiek widział. Sharon wrzasnęła, a Umber Jones błyskawicznie obrócił się w ich stronę. Pchnął nożem mierząc w twarz Jima, ale Jim zdołał odchylić głowę.

–Tym razem zabiję cię, przyjacielu – syknął Umber. – Tym razem pochowam cię na zawsze.

Jim próbował podejść do łóżka, lecz duch Umbera Jonesa odpędzał go potężnymi zamachami zakończonych ostrzem ramienia. Tymczasem Sue-Robin przeczołgała się pod łóżkiem na drugą stronę, sięgnęła ręką i wyjęła laseczkę z dłoni Umbera Jonesa. Duch Umbera zawył z wściekłości i skoczył do niej. Sue-Robin zawołała: –Uwaga, panie Rook! – i rzuciła laseczkę nauczycielowi. Jim złapał ją i rzucił Seymourowi.

–Uciekaj! – krzyknął.

Chłopiec natychmiast zniknął za drzwiami, przebiegł przez następny pokój i wyskoczył na korytarz, po drodze wpadając na pana Pachowskiego.

Umber Jones ruszył za nim, ale Jimowi nagle przyszła do głowy nowa myśl: jeśli dzięki sile woli mogę opuścić moje ciało i przenosić materialne obiekty, to powinienem także przytrzymać ducha Umbera Jonesa. Kiedy „dym” Umbera śmignął do drzwi, Jim doskoczył do niego i rąbnął go w szczękę, a potem w brzuch. Kompletnie zaskoczony Umber Jones poleciał na ścianę, ze zdumieniem spoglądając na Jima.

Jim spróbował uderzyć go znowu, ale tym razem jego pięść przecięła powietrze. Mimo wszystko zdołał jednak zatrzymać Umbera Jonesa wystarczająco długo. Z ulicy dobiegł pisk opon ruszającego samochodu.

Umber Jones przez dłuższą chwilę spoglądał na Jima oczami wyrażającymi niemą groźbę, a potem powoli skierował się do łóżka, na którym spoczywała jego cielesna powłoka.

–Pewnego dnia, przyjacielu, znajdę inną laskę loa i wtedy wrócę po ciebie. Obiecuję ci to.

Stał obok ciała i położył dłoń na jego piersi. W tym momencie przez wybite okno wszedł David Littwin. Nie zwracając na nikogo uwagi, podszedł prosto do łóżka.

**Jego**

odstające uszy wyglądały zabawnie w migoczącym świetle.

**–Uważaj, Davidzie – ostrzegł go Jim. Chociaż Umber Jones nie miał już laseczki i nie**

mógł wezwać duchów, żeby pomogły mu ranić ludzkie istoty, lepiej było zachować ostrożność.

**Ale David wycelował palec w ciało Umbera Jonesa i powiedział głośno i wyraźnie:**

**–Babai babatai m’balatai... hathaba mfatha babatai.**

Duch Umbera Jonesa spojrział na niego z niedowierzaniem, a potem odwrócił się i popatrzył na Jima. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

**–Zaczarował mnie! Twój dzieciak rzucił na mnie czar! Nigdy nie wrócę do mojego ciała!**

**Pomykał od jednej ściany pokoju do drugiej jak wirujący dym – ale tylko dym, zwykły**

**dym pozbawiony jakiegokolwiek siły. W końcu zatrzymał się w kącie pokoju, dygocząc ze**

**strachu i rozpacz. Jim podszedł do niego.**

**–Miejmy nadzieję, że ludzie, których zabiłeś, będą bardziej litościwi od ciebie – powiedział i przekręcił gałkę włącznika klimatyzacji.**

**–Nie – wymamrotał Umber Jones, gdy silnik klimatyzatora ożył z cichym pomrukiem.**

**–Chcę zachować moją postać... chcę zatrzymać moją duszę.**

**Był jednak bezsilny. Klimatyzator już wciągnął skraj jego płaszcz, a potem rękawy.**

**Umber Jones stopniowo zmieniał się w spiralę dymu, który zniknął w klimatyzatorze jak złe wspomnienie.**

**Jim podszedł do Russella, który wciąż siedział na Tee Jayu.**

**–Dzięki za wspaniały pokaz – oświadczył. – Tobie też dziękuję, Sharon. Za to, że tyle**

**wiesz o swoim dziedzictwie. I tobie, Sue-Robin.**

**Potem położył rękę na ramieniu Davida i rzekł:**

**–A ty, Davidzie, do końca semestru jesteś zwolniony z zajęć dykcji.**

**Następnego dnia spotkał Susan przechodząc przez szkolny parking. Podeszła prosto do**

**niego i pocałowała go w usta.**

**–Cześć – powiedziała. – Gdzie zabierzesz mnie dzisiaj wieczorem?**

**–Nie wiem. Myślałem o barbecue a la Rook. Steki z tuńczyka i trochę sałatki.**

**–To brzmi zachęcająco.**

**Ramię w ramię podeszli do jego samochodu.**

**–Masz już jakieś wiadomości o Tee Jayu? – zapytała.**

**–Musi przejść przez długie badania psychiatryczne. Wuj Umber naprawdę pomieszał mu**

w głowie. Jednak po jakimś czasie może...

–On naprawdę myślał, że jest czarownikiem voodoo?

–Och, tak. I w pewnym sensie nim był. Widzisz, był młody i silny. Otaczała go

aura

energii i życia. Duchy uwielbiają to... i dlatego częściej pokazują się małym

dzieciom niż

starym ludziom.

–Nie wiem, o czym mówisz.

–To już nie ma znaczenia – powiedział, otwierając przed nią drzwi samochodu. Ale teraz rozumiał, dlaczego Umber Jones tak często pokazywał się w jego klasie.

Jego mroczna i

wypalona dusza pławiła się w ciepłe młodości jego uczniów. Pożerał ją, co czyniło

go

silniejszym. Przeszłość żywiąca się przyszłością.

Tego samego wieczoru, kiedy siedzieli nad basenem, Susan przysunęła się do

niego,

pocałowała go w usta i lekko ugryzła w ucho.

–Wiesz – wymruczała mu w ucho – kiedy tylko cię zobaczyłam... zakochałam się

w

tobie od pierwszego wejrzenia.

Uśmiechnął się, pocałował ją i nic nie powiedział.

–I wiesz co? Miałam dziś taki okropny atak kichania. Chyba coś mnie podrażniło –

mówiła dalej. – To było zaraz po lunchu... po naszej rozmowie. Kichałam,

kichałam i nie

mogłam przestać. Czułam się tak, jakbym nawdychała się pieprzu.

Jim nadal uśmiechał się lekko. Wcale nie pieprzu. Proszku pamięci. I teraz

pamiętasz, że

zakochałaś się we mnie; tak samo jak ja pamiętam, że pokochałem ciebie.

Węgiel drzewny na palenisku jeszcze płonął, ale już zaczynał dogasać. Jim

wysunął się z

objąć Susan i powiedział:

–Muszę coś załatwić. Zaczekaj momencik.

Odszedł od basenu i ruszył na parking. Otworzył bagażnik samochodu i wyjął

laseczkę loa.

Przechodzący opodal Myrlin spojrzał na nią i zapytał:

–Masz kłopoty ze stawami, Jim?

Jim obdarzył go cukierkowatym uśmiechem.

–Masz kłopoty z włosami w nosie? – odpalił.

Myrlin zmieszał się i czmychnął.

Jim wrócił do grilla niosąc laseczkę loa. Przez chwilę trzymał ją w ręce i patrzył na

wieńczącą ją srebrną czaszkę. Nie miał pojęcia, jaka moc kryje się w tym kawałku

drewna,

ale wcale nie chciał tego wiedzieć. Uderzeniem o kolano złamał laskę na pół i

rzucił ją na  
palenisko grilla.

Płonęła tam przez chwilę, a Jim i Susan leżeli obserwując to. Nagle buchnęła  
żywszym

plomieniem i zaczęła sypać skrami jak sztuczne ognie. Nad grillem uniósł się  
gęsty szary dym

i uleciał w wieczorne niebo. Jim mógłby przysiąc, że przez moment ten dym  
przybrał postać

Umbera Jonesa.

–Kocham pana, panie Rook – powiedziała Susan i znowu go pocałowała.

Jim nic nie odpowiedział, tylko patrzył na dym unoszący się nad gąszczem juki;  
po chwili

nadleciał łagodny wietrzyk i na zawsze porwał go z ich życia.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-10-31

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*